Bibl. [illegible] 2 egz.
BH - brak

Nr. 335

MARIA CZESKA-MĄCZYŃSKA

W OBRONIE GDAŃSKA

POWIEŚĆ
Z CZASÓW WOJEN POLSKO-SZWEDZKICH

WYDANIE NOWE

Nr. 335

Wojewódzki Ośrodek Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego
BIBLIOTEKA
w Białymstoku

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI STEFANA KAMIŃSKIEGO

12908 II

D184/2020.
Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Gdańsku
203274
10.879.

M-04809

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA K. PODGÓRCZYKA I SP. W KRAKOWIE

1946

ROZDZIAŁ I.

Dziwny połów.

Piaszczystym wybrzeżem morza szło dwóch rybaków, dźwigając sieci i kosze; snać o pierwszym świtaniu dnia wypłynąć chcieli na morze, bo wokół panowała jeszcze cisza nocy, szare mgły kłębiły się nad brzegami, chwytały poszarpanych, piaszczystych wydm i sennego sosnowego boru. Morze szeptało coś cicho, drobne, leniwie idące fale śląc ku brzegowi i jeno od czasu do czasu szorstki, żałosny krzyk mew drżał w przestrzeni. Ludzie milczeli, morze ma to do siebie, że tych, którzy z nim obcują, cichymi czyni i skupionymi w sobie, i jak trudno przejrzeć toń, tak i trudno poznać dusze rybaków.

— Będzie może dobry połów, dzień zda się pogodny wejdzie — rzekł wreszcie, spluwając przez zęby, młodszy z dwóch ludzi.

Starszy ramionami ruszył:

— Et...

Była w tym wykrzykniku obojętność i jakiś tępy ból. Bo i naprawdę obojętny mu był połów, wczoraj dopiero na małym, piaszczystym cmentarzu osady pochował swoich dwóch chłopców, zmarli jeden w kilka godzin po drugim, na jakiś straszny, dławiący kaszel, co z połowy osady zabrał małe dzieci.

Miłował ich...

Pusto się stało w chacie, tak strasznie pusto, jak gdyby z niej szczęście i radość odeszły na zawsze...

Młodszy miał siedem, starszy osiem lat.

Ot, wróci z połowu i nikt nie powita szczebiotem pytań, a gdy do Gdańska pojedzie z towarem, to nie będzie już kupował kukiełek białych, ni miodowych cukierków, nie ma dla kogo...

— Biedna Katarzyna — użalił się nagle nad żoną; on do pracy poszedł jak co dnia, świeży, słony podmuch, co od lat leci, niesie z sobą ukojenie, rychło łódź i połów skupią całą jego uwagę, fizyczna praca, wysiłek mięśni zabiją smutek, chociażby na przeciąg godzin kilku, ale ona, biedna, sama w chacie opustoszałej została...

— Ano, wola Boża... Bóg dał, Bóg wziął, nie Jemu i Jego wyrokom sprzeciwiać się tobie, biedny, marny człowiecze. Jeno, że tak na sercu ciężko, gdy się te dwie lniano-włose główki wspomni i ten cmentarny piach!...

Zza mgły ukazało się słońce, złota bezpromienna tarcza, jak hostia w dłoniach niewidzialnego kapłana, rozbłysła nad bezmiarem morza, budząc życie. Złote się stały nagle fale drobne, jedna drugą goniące, mgły szare przepoiła białość wschodzącego dnia, ocknął się bór sosnowy i zaszumiał, świergot ptasząt beztroskliwy modlitwą ku niebu się wzbił, a kędyś z daleka, od kościołów Gdańska nadlatywał, zgłuszony przestrzenią, głos kościelnych dzwonów:

„Ave Maria".

Obaj rybacy uklękli, czapki z głów zdjęli, na ich twarze śniade, surowe, spalone na kolor miedzi od wichrów i słońca, na pochylone głowy jasne, padł rozbłysk wschodzącego dnia łuną różową.

— Zdrowaś Maria, łaskiś pełna, Pan z tobą... — powtarzali pobożnie.

Modlitwa ludzi łączyła się z świergotem ptaków i pogwarem fal w jedną zgodną melodię.

I znowu szli, zostawiając w piachu wybrzeża głębokie ślady grubo obutych nóg. Milcząc wyciągnęli łódź, weszli w nią, rozwinęli i przymocowali żagiel, w jednej chwili wydął go po-

ranny wiatr, i łódź zaczęła się ślizgać po falach w mglistą, roztopionemu złotu podobną dal. Nagle Tomasz Mrąwa, starszy z dwóch rybaków, ujrzał coś, co pochłonęło całą jego uwagę: w stronę brzegu niosła coś fala, kształt jakiś ciemny wznosił się i opadał, wyłaniał na chwilę i znikał w topieli. Bystre oczy rybaka śledziły z zajęciem i wkrótce rozróżniły wyraźnie, w tym ciemnym przedmiocie głowę ludzką.

— Topielca do brzegu niesie — wskazał młodszemu towarzyszowi. — Pewno wczorajsza burza statek rozbiła jaki, albo łódź.

— Ot morze... zdradliwe ono jest, a taki do serca człowiekowi lgnie, że bez niego rybakowi nie żyć.

— Może jeszcze żyw.

W milczeniu, jedną wiedzeni myślą, zawrócili łódź, w chwilę potem krzepkie ich dłonie pochwyciły deskę, do której przywiązany był trzechletni może chłopczyk.

Tomasz Mrąwa rozerwał na piersi chłopca ubranie, i ucho do serca przyłożył i zdało mu się, że posłyszał słabe, zamierające tętno.

— Zda mi się, że żyw.

Jęli pracować w milczeniu rozcierając chłopca silnymi, szorstkimi dłońmi, podnosząc mu i opuszczając ramiona, aż wreszcie woda rzuciła się gardłem, a wraz potem drgnęły długie rzęsy i piąstki podniosły się do oczu, jak gdyby chciały je przetrzeć ze snu...

Chłopiec spojrzał nieprzytomnymi oczyma, i usteczka zaczęły drżeć, krzywić się, wyginać w żałosną podkówkę...

Tomasz zrzucił kaftan i zatulił w niego dziecko, a łódź znowu śpiesznie ślizgała się po falach w kierunku brzegu.

Wraz z powracającym życiem i przytomnością, budził się w chłopcu lęk; te brodate, surowe twarze, niezgrabne postacie przepełniały go niepokojem, szukał spojrzenia matki i ojca, pytał o coś swoim niezrozumiałym dziecięcym szczebiotem; rybacy usiłowali go uspokoić, ale dziecko nie mogło pojąć

obcych dla niego kaszubskich słów i płakało, tuląc czarną, rozwichrzoną głowinę do brzegu łodzi.

— Ot, biedne, obce pisklę...

— Cichoj, cichoj, maluśki.

— Pańskie dziecko, ubranko z przedniego aksamitu i srebrne guzy na nim.

— Biedne dziecko...

Łódź wryła się głęboko w piach wybrzeża, rybacy wyciągnęli ją na brzeg. Tomasz wyciągnął do dziecka ramiona i zniżył swój szorstki głos do szeptu:

— Pójdź, maluśki, do chaty cię zaniosę... do chaty.

— Mamo! mamo! — łkało dziecko, zanosząc się od płaczu.

Tomasz chciał pogłaskać czarne, mokre włosy dziecka, ale chłopiec cofnął się tak gwałtownie, spojrzał tak chmurno i czupurnie, że dłoń rybaka opadła.

— To ci się nam połów udał! — zaśmiał się Piotr Hir, młodszy z dwóch rybaków. — Aksamitna ryba, ani to tknąć.

— Może się i udał — odburknął starszy.

Podobała mu się twarzyczka dziecka, smagła, ściągła, o wymownych czarnych, pełnych łez i trwogi oczach i usteczkach dumnych, podobała mu się obronna pozycja małego, zaszył się w kąt koło paki na narzędzia, rozparł nóżki i piąstki zacisnął, a w jego wyzywającym spojrzeniu zdawało się, iż można było czytać: ano, spróbujcież mnie teraz wziąć, będę kopać.

— I cóż teraz, ojcze Tomaszu? Rozbeczy się nam znowu, ani chybi.

— Jakoś to będzie.

— Bierzcież go sami.

Tomasz po brzegu spojrzał, w płytkiej wodzie pobrzeża dojrzał muszlę, poszedł po nią i do dziecka rękę z nią wyciągnął.

— Caca...

— Be!...

Pierwszy raz się zrozumieli...

— Caca... — powtarzał Tomasz, obracając tak muszlę, iż mieniła się w słońcu tęczą barw; chłopiec patrzał, do łodzi się tulił, ale już z mniejszym przekonaniem powtarzał swoje:

— Be!...

Wabiła go gra kolorów i gdyby muszli nie była trzymała ogromna, czarna ręka Tomasza, byłby już rączynę wyciągnął po nią.

— I cóż z nim myślicie — pytał Piotr.

— Jest u mńie miejsca dość i serca starczy, sierotą on pewno jest.

— Kłopot będziecie mieć, toć pańskie.

— Biedne dziecko, Piotrze, co już nigdy pewno swoich nie obaczy. Chodź, maluśki, zaniosę cię do mamy i caca ci dam... chodź.

— Do mamy — tyle zrozumiał i nagle cały jego opór prysnął, „do mamy", taki był znużony, tak mu się oczka kleiły... do mamy...

Objęły go silne ramiona, a wprędce czarna głowina dziecka zaczęła ciężyć na ramieniu rybaka, a gorąca, drobna rączka objęła go za szyję, chłoptaś spał.

A Kaszubie nagle przypomniało się tamtych dwóch, ileż razy ich tak nosił, ileż razy mu tak zasypiali w ramionach i wielka litość w nim była nad tym pisklęciem obcym i nad samym sobą.

— — — — — — — — — — —

Matka Katarzyna rozebrała chłopczynę z mokrych szat, nie obudził się gdy z niego zdejmowała ubranie, spał nawet wtedy, gdy zeń ściągała koszulkę z cienkiego, holenderskiego płótna, ale bo też tak troskliwe, tak lekkie w dotknięciu były te spracowane ręce ubogiej rybaczki. Pod koszulką, na cieniutkim złotym łańcuszku, wisiał przedziwnie wyrabiany obraz Matki Bożej na złotej blaszce, z napisem w otoku i ten łańcuszek rozpięły ciemne ręce rybaczki. Myślała, że zawiesiły go tam

pewno białe, smukłe palce jakiejś wielkiej i możnej pani, która zapewne śpi na dnie Bałtyku... Ot, los!

Tomasz sprowadził babkę Teresę, znała się ona na ziołach, wiedziała, jak ludzi i bydło leczyć, a nikt w osadzie nie pamiętał jej młodej, zawszę miała w pałąk zgięte plecy, zmarszczkami pooraną twarz i mądre, starcze oczy. I ona sama nie miała pojęcia wiele ma lat, ot moc tego była, tyle widziała, tyle przeżyła, że wszystko się jej zdało jak sen, czasem miły, czasem straszny, a najczęściej taki szary, jako to niebo jesienne w dżdżysty dzień, gdzie woda, świat, wszystko szare się staje i smutne. Popatrzyła na chłopca, głową pokiwała:

— Nic mu nie będzie, gorączości w nim nie ma żadnej, a jak gorączości nie ma, to i głupstwo. Nakryjcie go dobrze, niech się wypoci, dajcie mu spać, jak długo sam zechce, a gdy się obudzi, to mlika mu z miodem dajcie, niech pośpi jeszcze. A tamto, po waszych dzieciach na dwór wyrzućcie, na słońce, niech ta wicher wyfuka. Trza o dziecku do klasztoru dać znać i ten obrazek zmyślny, coście przy nim znaleźli, pokazać.

— Chciałabym, by przy nas ostał... tak pusto, tak strasznie pusto w chacie... — Biednej matce łzy, jak groch duże, z oczu się puściły, otarła je zapaską i pochyliła się, by drzewa na komin dorzucić.

A babka Teresa siedząc na brzegu barłogu, patrzyła w twarz dziecka. Oddychał równo, rumieniec wykwitnął na smagłej twarzyczce, odrzucona nad głową mała, pulchna rączka, jak płatek kwiatu leżała na czarnych włosach. Babka Teresa wstrząsnęła głową:

— Nie na rybaka on, Katarzyno, ni do wioseł i rydli te rączyny, niechby go lepiej do klasztoru wzięli, byłby tam więcej wśród swoich.

— Woda go przyniosła, Boży on dar, a zresztą niczyj on i nikomu do niego nic. Jak rodzice przyjdą po niego, toć oddam, ale obcym nie. Gdyby nie Tomasz, byłby zmarł.

— Ano... A widzieliście kiedy, by sokół z kurami po podwórzu dreptał i gnój dziobem rozrzucał?

— Także coś!

— Ano, widzicie, i on nie do dymnej, rybackiej chaty się urodził.

— Serca tu będzie miał i chleba dość, nasz on...

— Wasz... albo i nie wasz.

Stara Kaszubka patrzyła w ogień długo, w milczeniu, wreszcie rzuciła chmurnie:

— Patrz jeno, byś mu krzywdy nie zrobiła, Katarzyno.

— Nie powiemy mu, że go woda przyniosła, będzie rósł, jakoby były rosły moje chłopaki, mnie matką, a Tomasza będzie zwał ojcem. I nie będzie mu krzywdy, bo nie będzie wiedział, że było mu kiedyś inaczej.

— Ze trzy roki będzie miał, zapamięta już coś z tego, co było, ludzie mu powiedzą.

— Zapomni, będzie myślał, że sen, a ludzi uproszę i zmilkną... Ot, Mrąwowie znowu syna mają i koniec.

— Może... może... dobra z ciebie kobita, do sieroty lgniesz, jak do swego, aleć krwi człowiekowi nie odmienisz, ani ducha... Ten nie będzie po Szymonie sieci dziedziczył...

— No to nie, to w świat pójdzie, aleć mały teraz i serca mu trzeba i staranności i te mu dam... Matką byłam... a on jest dzieckiem, co matkę straciło... biedusia moje...

— — — — — — — — — — —

W kilka tygodni matka Katarzyna do klasztoru OO. Dominikanów poszła, bo ryby tam dostawiała zawsze, a ks. przeor z mądrości wielkiej słynął. Staruszek to był siwy i cichy o gołębim sercu i duszy gołębiej. Wysłuchał cierpliwie bezładnego trochę opowiadania Mrąwowej, oglądnął bacznie on obrazek złoty, pamiątka to była z pielgrzymki do ziemi świętej, a na odwrotnej stronie wyryte było po łacinie: „Stachowi z błogosławieństwem — ojciec". Trudno było na podstawie tego o po-

chodzeniu dziecka wnioskować, Boży on był teraz i niczyj więcej.

— I cóż z nim myślicie?

W zamyśleniu słuchał staruszek gorących słów kobiety, gdy chyląc mu się do ręki mówiła, że pragnęła go chować na miejscu swoich zmarłych, jej poczciwe, niebieskie oczy żebrały o przyzwolenie.

Mogę mu dać lepszy wikt i wychowanie, serca mu lepszego nie stworzę, niechże do czasu u niej zostanie, boć dziecku najpierw matka potrzebna, a nie księga.

Więc uśmiechnął się do kobiety życzliwie:

— Niechże ci rośnie na pociechę on Boży dar, a gdy dziesięciu lat dojdzie, a ja żyć jeszcze będę, to przyjdź, zobaczymy, ku czemu serce ma i ochotę. Zechce rybakiem być, toć w każdym stanie na dobrego i prawdziwego człowieka urość można. Błogosław ci Bóg za serce twoje dla sieroty, kobieto dobra.

Matka Katarzyna jak na skrzydłach leciała wtedy do domu, na podwórzu Stach bawił się z dziećmi sąsiadów i ujrzawszy ją, biegł ku niej roześmiany:

— Mamo, ą tu łódka jest!

Wyciągnęła z koszyka kukiełkę białą i przygarnęła go do piersi tkliwie:

— Mój ci ty... mój...

ROZDZIAŁ II.

Nad polskim morzem.

— Patrzno, Magda, łaciasta ci w konicz lezie, a ty se na morze poglądasz.

— O jej!

Dziewczynina się porwała, czerwona spódniczka furknęła przez zieleń łąki, jak olbrzymi mak wiatrem niesiony, drobna, szczupła uwiesiła się u szyi krowy i zaczęła ją namawiać:

— Łaciasta droga, złota, wyleź-że z konicza, kiej spojrzysz, trawkę masz zieloną, słodką, smakowitą, weźno do pyska... Łatucha serdeczna, jak nas gospodarz złapie, to...

— To Magdusi zapaskę odbierze — zaśmiał się chłopak, chwilkę patrzył na próżne wysiłki dziewczynki, bo łaciasta tak zasmakowała w koniczu, że się jeno mocniej na nogach rozparła, a pieszczotliwe prośby dziewczynki zbywała uspokajającym porykiwaniem, jak gdyby chciała rzec: nikt nie widzi, dajże mi podjeść trochę, bo smakowne jest! — potem doskoczył, za rogi łaciastą schwycił, po potężnym zadzie prętem śmignął i krowa, nie przyzwyczajona do takiego obejścia, zadarła ogon wysoko i wpadła na zieloną łąkę.

— Ale ci śmigła! Śmigaj i ty za nią Magda; spójrz jeno, jaką ci dziurę wyżarła w koniczu, a nuż by kto od łąków nadszedł, byłby dopiero kram. Bez co żeś się tak na morze zagapiła? Nie znasz go to?

Dziewczyna spojrzała oczyma podobnymi do bławatków.

— Marcin mi znowu tyle nagadał, jako to w morzu jest.

— Co jest?

— Posłuchaj kiedy Marcina, jak ci zacznie o morzu prawić, to by się słuchało bez końca. Marcin, jak młody, to już w morzu nurkował, za zatopionymi okrętami szukał, strasznie długo wytrzymać potrafi bez oddechu i zna dno morza... Wy, chłopaki, to uciekacie od Marcina...

— Boć i on nam krzywy, za byle co skrzyczy, a przy tym chłopaki mówią, że wszystko co on plecie, to bajdy.

— Właśnie, bajdy — oburzyła się Magda.

— Ano, bo nieraz na morzu byli, a nic nie widzieli, ani tych kwiatów, co tam gdzieś mają być, ani zwierząt, co świecą jak lampy, ani nic.

— Bo może to nie każdy zobaczyć godzien.

— Niby dlaczego?

— Bo są ponoć takie rzeczy na świecie, które dojrzy jeno

taki, co jeszcze w życiu nie skłamał, albo taki, co ma drugi wzrok...

— Oj Magdo, Magdo, musi, że pod tą wiechą złocistą trociny masz, jako te kukły, co je w Gdańsku sprzedają.

Zapłoniła się dziewuszka i by ukryć napływające do oczu łzy, schyliła się po aster biały, lśniący wśród trawy. Gniewało ją to samą, ale o byle co, zaraz łzy ją dusiły w gardle i napływały do oczów, nieraz sobie postanawiała wytrwać bohatersko, a zawsze rozpływała się we łzach bez powodu. I teraz wiedziała, że Stacho patrzy ku niej swymi czarnymi, roześmianymi oczyma i że jeno przez litość dla niej nie zapyta:

— A cóż tam źródełko? Sączy się już...

Przezwał ją źródełkiem złośliwie, i teraz inaczej nie zwali jej we wsi, tylko Magdą Źródełko.

Szli teraz oboje przez łąkę, w stronę sosnowego lasu, bo tam zbiły się w gromadkę powierzone ich pieczy krowy. Paśli oboje gromadzkie krowy i mieli do pomocy psa. Olbrzymi kundel mieszanej rasy leżał teraz w słońcu i na powitanie dzieci machał protekcyjnie ogonem, zerkając od czasu do czasu na stado, to znowu kłapiąc pyskiem dla odpędzenia much natrętnych, co mu siadały na rozerwanym uchu.

Bór sosnowy łagodnie spadał tutaj aż ku morzu, ostatnie sosny wglądały w głąb, chyląc się ku wodzie, jak gdyby własną zdumione urodą.

Cisza była w przestrzeni, i jeno słychać było plusk fal, jakiś senny, jak gdyby rozleniwiony spiekotą dnia letniego.

Hen, daleko na skraju horyzontu, znaczyły się słabymi konturami mury warownego Gdańska, potężne baszty, śpiczaste dachy domów i smukłe, strzeliste wieże kościołów.

Stach kozik wyjął i jął majstrować z przejęciem łódeczkę maluśką z czerwonej sosnowej kory, przed tym już zrobił dwie łyżki, ozdobnie wyrzynane i miał je zatknięte za pasem, dla mamy.

Czarna czupryna opadała mu falą zwichrzoną na czoło wysokie, przecięte śmiałą linią sobolowych brwi, śmiały się spod nich oczy czarne, duże, zmienne w wyrazie, smukły był i gibki „wystrzelony nad miarę i „urodziwy nieswojsko", jak mawiał o nim stary Marcin. Bo i cała rybacka młódź konopiaste miała czupryny i oczy od barwy wody do ciemnego bławatu przechodzące, szerokie bary, grube kości, rozwinięte silnie szczęki, a Stach był inny, był... „nieswojsko urodziwy".

Dziewczyna patrzyła z zajęciem, jak kozikiem dłubał, wreszcie rzuciła pytanie:

— Co Brysiowi w ucho?

— Pies gończy naderwał, posmarowałem mu oliwą, ale muchy utrapione wciąż siadają. Pan jakowyś jechał do boru, a za nim dwa psy, cudne, mówię ci...

— Pies nigdy nie może być cudny, bo tak mówić to grzech. Cudny może być obraz święty, albo ziemia, co nas żywi, albo i morze, ale nie bydło.

— Widzicie, jaka mądra!

— Mama mówili i babcia też, a babcia wszystko wiedzą.

Dziewczyna przechyliła swoją jasną główkę, i wtulając ją w ramiona, szeptała:

— Wiesz, ja się babci bardzo boję, bo ona na wszystkich chorobach się zna, na wszystkich ziołach, wie co krowie podać, żeby mleko znikło, a ile ma lat, to nikt nie wie, strasznie musi być stara, mówiła matka, że najstarsza w osadzie, a po niej dopiero Marcin Rybitwa. A ty, Stachu, bałbyś się być tak z babcią w jednej chałupie?

— Niby dlaczego?

— No... bo tak wszystko wie... Wczora na przykład, poszłam na strych, no i skusiło mnie, wzięłam sobie kilka osuszek, złażę z drabiny, a babka się do słońca grzeje, jeno spojrzała na mnie, tak mi palcem pogroziła: „Kradzione nie tuczy".

— Bo cię zna i wie, że koło osuszek i kiełbasy zawdy cię kusi — zaśmiał się Stach. — Jabym się jej nie bał, bo się

zresztą niczego nie boję, ani ludzi, ani morza, a jak dorosnę, to w świat muszę iść kędyś daleko, daleko... za to morze zaglądnąć, co za nim jest, a potem jeszcze dalej! Nie ścierpiałbym tak, w jednej osadzie przez całe życie wciąż to samo. Zgryzota jeno, czy zboże urodzi, czy go grad nie zbije, czy ryba się ułapie, czy się dobrze ususzy, osoli i wciąż jedno w kółko. Ja muszę w świat iść i to rychło, chciałbym coś umieć, a co się przy gromadzkich krowach nauczę?

— A kędybyś to wybierać się chciał, synku?

Chłopak się porwał, dziewczynka krzyknęła, ale poza nimi nie stał żaden duch morza, jeno babka Teresa. Bryś się porwał, z najeżoną sierścią szczekać zaczął, zdzieliła go sękatym kijem po podwiniętym ze strachu ogonie i siadła między dziećmi, kładąc w pobok naręcze ciężkie ziół rozmaitych. Suche jej węzłowate ręce, do korzeni drzewnych raczej podobne niżeli do rąk ludzkich, zaczęły one zioła według gatunku gromadkami układać.

— No, więc czymżebyś ty chciał być?... Co umieć?

— Jak mnie raz ojciec wziął do Gdańska, widziałem tam rzeźby cudne, figury, bitwy... Chciałbym tak umieć kawałek drzewa wziąć i mieć na nim po jakimś czasie wszystko co zechcę, co widzę... Czy tę krowę na łące, czy kwiat, czy was, babko Tereso... Widziałem księgi i pergaminy pokreślone dziwacznie, a z tych ksiąg ponoś świat cały poznać można, jeno te znaki trzeba się nauczyć rozpoznawać... Oj, chciałbym ja się czytać nauczyć.

Chłopak kozik odłożył, jego szeroko rozwarte, pełne blasku oczy biegły kędyś w dal, z niespokojną gorącą tęsknotą; a silne, smagłe dłonie zacisnęły się kurczowo. Patrzyła się w niego babka Teresa i uśmiech opowił jej zwiędłe wargi, a Stach kończył:

— Abo takim zostać, co kościoły i zamki stawia, hej! takie cuda z kamienia, jak w Gdańsku, co wieżami aż do chmur sięgają, Panu Bogu na chwałę, czy ludziom na pożytek.

— Naprzykrzyło ci się krowy gromadzkie pasać, dyć ci przy nich jak w raju i czegóż ci więcej trza? Chleb ze serem ci zza pazuchy wygląda, Bryś stada pilnuje, a ty se w słoneczku leżysz albo po gajach buszujesz, źle ci to? A matka cię miłuje, boś u niej jeden. A ojciec, komuż sieci zostawi i łódź i dobytek jak nie tobie? I swoje dobre imię rybackie. Nie byłoby ci żal od nich precz iść?

— Wróciłbym kiedyś...

— Et... a ty, Magduś? — zwróciła się do wnuczki — cóż tybyś chciała? Także może za światami szczęścia szukać? Co?

— Chatę bym chciała mieć, gospodynią być.

— Ot rybaczka prawa! — uśmiechnęła się staruszka.

Chłopak się na morze zapatrzył, szły po nim fale drobne, jak łuska rybia i pieszczotliwie zmywały biały piasek pobrzeża... Pewno... byłoby mu żal... Oczyma duszy ujrzał dymne wnętrze rybackiej chaty, z porozwieszanymi sieciami, z modelem okrętu na przypiecku, z czysto zawsze wyszorowanym stołem i ławą sosnową, z cynowymi statkami, ustawionymi rzędem na półce. I matkę Katarzynę widział w białym czepeczku, zawsze czynną, zawsze uśmiechniętą, i ojca przysadzistą krępą postać. Byłoby mu żal... Wróciłby przecież, życie długie, rozglądnąłby się jeno po ludziach, nauczył czegoś więcej, cóż by robił w długie zimowe wieczory, gdy nie ma połowu. Nie uśmiechała mu się wcale perspektywa siedzenia z fajką przy piecu, jak to zwykł był czynić Tomasz Mrąwa, albo te gawędy o morzu, odgrzebywanie zawsze tych samych przygód. Dlaczego inni chłopcy w osadzie jeno o rybactwie myślą, o tym, by kiedyś na morze popłynąć, a on ma w duszy jeno tę tęsknotę za czymś innym, nieznanym, nowym... Zły być muszę i już... Ojcu ból chcę zrobić i matce...

— A przecież i tak w świat pójdę — szepnął półgłosem, jak gdyby na zakończenie rozmyślań, a babka Teresa głową kiwnęła; po jej wąskich, siecią zmarszczek otoczonych ustach przesunął się znowu ów cichy, mądry uśmiech.

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Gdańsku

— Zawdy mówiłam, że próżna praca z sokoła chcieć zrobić koguta, przeor mądry, a myślał, że podoła...

Magda spojrzała na Stacha porozumiewawczo, oto znowu babcia mówi tak, że nie można zrozumieć, niby sens ma, a dziwne... Biedna babcia, może ona i naprawdę kiepską już głowę ma.

Stach namyślał się chwilę, patrząc ku starej kobiecie, rozkładającej dalej swoje zioła, a potem nagle do ręki się jej pochylił:

— Babko Tereso, mówią ludzie, że wszystko znacie, że nawet przyszłość odgadnąć potraficie.

— I przeszłość, mój synku.

— No przeszłość swoją to chyba każdy zna!

— Nie zawsze... A nie mówisz jeszcze, że z diabłem trzymam i na czarach się znam, i to przecież gadają jeszcze ludzie...

— Żyjecie długo... toć i wiedzieć możecie wiele.

— Tak, kto ma oczy i uszy otwarte, ten wiele wie i widzi, a inni żyją i do mogiły schodzą, i nic ich życie nie nauczyło... A w życiu to tak skarby różne się zbiera i bez ładu i składu do skrzyni wrzuca, bo nawet czasu nie ma, by je oglądnąć, a dopiero na starość to człek one skarby uzbierane rozpatruje i odkrywa ich wartość. A cóż ty byś z przyszłości wiedzieć chciał?

— Czym będę?...

— To od ciebie samego zależy, synku. Człowiek sam własny kuje los. Będziesz pracowity, bogobojny, sprawiedliwy, to będzie ci się dobrze działo i drugim przy tobie. A będzie z ciebie zbytnik, lekkomyślnik, to i pod płotem możesz skończyć, z wieczną do ludzi i Boga urazą. Bo człowiek zawdy własny upadek drugim przypisuje. A to jest tak: ot masz w ręce kawałek drzewa. Prawda?... Możesz z niego zrobić łyżkę ku jedzeniu i pożytkowi ludzkiemu i figurę Świętego, do którego pomodliliby się twoi ziomkowie, a możesz także to drzewo

w piec wrzucić i garść ci jeno popiołu ostanie. Rozumiesz? Tak i życie, dał ci je Bóg i rodzice, aleć ty nim gospodarzysz, a jako wygospodarzysz, takim je będziesz miał.

Chłopak na łódeczkę wyrzniętą patrzył, rozważał słowa starej kobiety, a potem głową wstrząsnął i roześmiał się:

— To trzeba jeno dobrze gospodarzyć i już!

— W sednoś trafił. Pracy człowieka błogosławi Bóg...

— A tyś, babko, całe życie w osadzie spędziła?

— Tak, synu, do Gdańska jeno z rybami jeździłam i do Oliwy na odpusty szłam.

— I nigdy was, babko, nie ciągnęło, by zobaczyć, co za morzem jest, ani skąd ta Wisła płynie?

— Ziemia tam, synu, jak wszędzie i ludzie jak wszędzie, widziałam takich, co stamtąd przyjechali: kupców, rybaków, rycerzy, w Gdańsku nieraz ich pełno, mowę jeno jeńszą mają, ale różni są między nimi, porządni i lekkomyślni, pracowici i próżniacy, jak w każdym stanie i w każdym ziemi kącie. Mówiłam ci i z takimi, co w Ziemi świętej byli i widzieli miejsca, po których Chrystus Pan chadzał, za czasów żywota swego, a mówili, że i tam źli są ludzie i dobrzy, a ziemia podobna i niebo podobne, jeno gaje jeńsze i zioła, chaty ludzkie inaczej stawiane, ale w chatach jako i u nas, w jednych czysto, a w drugich brud. I widziałam takich, synku, co świat zeszli, a szczęścia nie znaleźli, bo w duszy spokoju nie mieli i wszędzie ten niepokój ciągli z sobą...

— Matka·idźie! — porwał się Stach i z Brysiem na przegony puścili się po zielonej murawie; dobiegli, pies skakał, łasił się, szczekał, chłopak wiadra matce odebrał, do ciemnej ręki przylgnął ustami.

— Cóżeś to robił?

— Nic, łyżkim wam dwie wystrugał i dla Magdy łódeczkę.

— Przyniosłam ci ziemniaczanego placka, świeżutki...

— Ojciec na morzu?

— A gdzieżby? Wrócą o zachodzie, jak krowy przygnasz, to wyjdziesz przed niego, a w taki dzień to ryby lubią w sieci leźć, to by mu było ciężko dźwigać, pomożesz...

— A potem, to pójdę się chlapać do morza.

— Oj ty, ty, co ci to za przyjemność w zimnej wodzie się ciapciać.

— Matuś, to tak człowieka krzepi, taki się silny i rześki czuje.

— My się tam nie kąpiemy, a żyjemy. Stary Marcin mówi, że wilgoć kościom niedobra, zresztą zwyczaju nie ma. Jeszcze dzieciaki, no, to te... ale starszemu, wstyd by był.

— Czego?

— Wstyd i już.

— Matuś, to jutro targ w Gdańsku?

— Ano.

— A pojedziecie?

— Pewno, masła mam trochę i jajek, ryby są wędzone i suszone, a jak się ojcu połów uda, to będą i świeże. Jeżeli jeno Bóg da szczęśliwie jutra doczekać.

— Zdrowiśmy przecież!

— Ach, synku, u rybaków to tak, dziś życie, a jutro śmierć, z morza się żyje, ale i życie zazwyczaj morzu trzeba oddać.

— A weźmiecie mnie?

— Ciebie! Także coś, a któż będzie krowy pasł?

— Przy Brysiu to i Magda wydoła, a ja... Moi złociści, do Dominikanów wam ryby zaniosę... Moiściewy... matuś złocista.

— Widzicie, jak się to przypochlebia... oj ty, ty, zobaczymy, co ojciec powie, jak wróci.

— To co i wy! Pozwoli! Hu! ha! pozwoli.

Stach na murawie wywinął kozła, a potem tak szybko powtarzać go zaczął, że nie było można rozróżnić rąk, ani nóg, ani rozwichrzonej głowy czarnej, jeno jak gdyby barwną, toczącą się po łące kulę.

Magda zaczęła w dłonie klaskać z uciechy, Bryś szczekać, a krowy ogłupiałe zbiły się w stado, cielęta wziąwszy między siebie, i patrzyły nieufnie. Dwie kobiety roześmiały się także, patrząc na to widowisko, a matka Katarzyna rzekła ze źle ukrywaną dumą:

— Widzicie, babko, jaki to urwisz!

— Widzę i to też, widzę, że wam to pisklę rychło krowy rzuci i waszą chatę dymną i w ślady ojców sokołów poleci

— Mówił co? — zaniepokoiła się Katarzyna.

— Nic... jeno, że go w świat ciągnie, a jak tak tęsknota w człowieku siedzi, to i nie poradzi...

— Nie znacie na to nic, babko?

— Nic...

A oto Stach już przywiódł pierwszą krowę, trzymał ją na sznurze i dawał jej trawy w czasie gdy matka doiła.

Ciur — ciur...

Leciało białe, pieniste mleko do skopa.

Ciur — ciur...

ROZDZIAŁ III.

Targ w Gdańsku.

Pogodne, bezchmurne było niebo i czyste, spokojne, szmaragdowe w toni morze.

Zewsząd snuły się w stronę Gdańska białe żagle łodzi.

Stach, siedząc obok matki wśród koszów z rybami i z nabiałem, patrzył z zachwytem, jak coraz bliżej a bliżej widniało przed nim wspaniałe miasto. Już można było dojrzeć dokładnie lekką, gotycką wieżę ratusza i smukłe, ostro zakończone wieżyce Mariackiego kościoła, śpiczaste dachy domów, potężne zarysy fortów i baszt strażniczych i las masztów drzemiących w porcie. Wyglądało to z daleka, jak gdyby rój motyli białych przysiadł nad topielą.

Na łodzi było wesoło, kilka odświętnie ubranych rybaczek tłoczyło się ze swoimi koszami, Tomasz Mrąwa i Andrzej Rybitwa wiosłowali, bo wiatr był przeciwny i trzeba było żagiel zwinąć; opowiadano sobie różne nowiny wiejskie, śmiano się dowcipkowano. Stach nie słyszał tego wszystkiego, serce się w nim tłukło, pod płótnianką szarą, ochędożną, ze skórzanym paskiem i szeregiem guzików rogowych; dziwne wrażenie robiło na nim zawsze to miasto, wzruszenie i podziw chwytały go za gardło.

I teraz chłonął oczyma wieże kościołów, ostrołuki okien i tę grę świateł, jaką rozpalało wschodzące słońce w szybach domów. Gdańsk zdawał się płonąć, każde okno gorzało łuną, szczyty dachów lśniły, iskrzyły się krzyże kościołów, a mury z czerwonej cegły zdawały się ociekać krwią, nawet morze dookoła przybrało barwę purpury.

Nagle po morzu popłynął radosny ton, potężniał, rósł, fala go podawała fali, — to dzwony u św. Katarzyny grały swoją melodię dziwną, cudną, zwołując na pierwszą Mszę św. Przyłączyły się do nich wkrótce inne, potężne śpiżowe tony kołysały się nad wodą, płynęły kędyś w dal.

W łodzi zamilknął gwar, rybaczki ręce splotły na obłękach koszów, rozbawione twarze nagle poważne się stały i skupione.

A pieśń dzwonów, cudowna pieśń o Bogu snuła się dalej, przenikała w głąb ludzkich serc, szła w dal ku błękitom nieba i w głąb, w tajemnicze światy morza.

Łódź wpłynęła tymczasem do portu; prześlizgiwała się zręcznie wśród okrętów żaglowych i galarów ładownych, aż osięgnęła koryto Motławy, która przecina Gdańsk, dozwalając łodziom dotrzeć aż do ośrodka miasta. Z jednej i drugiej strony ujętego w kamienne brzegi koryta, wznosiły się wysokie, wąskie domy z czerwonej cegły, o śpiczastych przyczółkach gotyckich, ostrołukach okien, zdobnych białym, ciosowym kamieniem. Minęli już potężny dźwigar, wzniesiony jeszcze za krzyżackich cza-

sów, a umieszczony w olbrzymim budynku. zdobnym okrągłą basztą. Łódź Mrąwy zatrzymała się pośród innych rybackich łodzi, a matka Katarzyna wetknęła Stachowi kosz ze świeżymi rybami, starannie ułożonymi na szerokich liściach podbiału.

— Sam do Dominikanów trafisz?

— Byłem przecież z wami, mamo, ze trzy razy, a dobrze sobie zmiarkowałem.

— No to leć, a wracaj duchem.

Stach rozradowany za kosz pochwycił, na brzeg wyskoczył, szły za nim zatroskane nagle oczy matki Katarzyny: A nuż pobłądzi? Dopyta się, rozumu mu Pan Bóg nie poskąpił — uspokoiła się zaraz, a na długie rozmyślanie i czasu nie było, bo już tłoczyli się ludzie po towar.

— Gdzie Stach? — zapytał Mrąwa.

— Posłałam go z rybami do Dominikanów.

— Było poczekać.

— Chłopak duży już, dopyta się, a niech się to przeleci i targu więcej zobaczy, młodego wszystko ciekawi. Dwa złote — rzuciła odpowiedź komuś z kupujących.

— A masło?

— A jaja?

Mrąwowa miała i jedno i drugie, ale ponieważ nosiła zawsze nabiał do Uphagenów, więc wstrząsała głową przecząco.

Targ szedł żwawo, towar Mrąwy miał swoją dobrą markę w Gdańsku, wiedziano, że ryby były zawsze solone i wędzone starannie, tak, iż mogły iść choćby na kraj świata, nie ulegając zepsuciu, więc też wprędce kosze dnem zaświeciły, i matka Katarzyna poszła na drugi targ, by zakupić soli, mąki i różnych w gospodarstwie potrzebnych drobiazgów.

Stach tymczasem szedł szybko, przystając jednak od czasu do czasu, to go zadziwił czyjś strój obcy, ówdzie towar rozrzucony w kramie. A było się czemu dziwować i na co patrzeć: tu szedł szybko bogaty kupiec, w ciemnym, z hiszpańska uszytym stroju, z cienką krezą koronkowego kołnierza na aksamicie czar-

nym, tam Turek z nieodłączną długą fajką wałęsał się wśród kramów, ówdzie Wenecjanin czarnowłosy i czarnooki w czapce z piórami, to znów jechała konnica, w rajtarskich butach za kolana, w kapeluszach. Tam mieszczka bogata szła w robronach sztywnych, jak gdyby sunąca na drobnych nóżkach głowa cukru, to znów wpółnagi robotnik portowy dźwigał ciężkie paki do składów, jechały wozy towarami ładowane, ruch, gwar, życie wrzały dookoła.

Dopadł Stach wreszcie klasztoru Dominikanów, do furty zadzwonił, ukazał się po chwili brat furtian, szczupły, zawiędły, o ostrej, suchej, wygolonej twarzy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. Amen. O to ty, od Mrąwy, idźże do kuchni klasztornej, a gdzież matka?

— Dziś mnie samego posłali, bo czasu nie mają, no i trafiłem — dorzucił z akcentem dumy.

— No, no, to i do kuchni trafisz.

— Jeszcze by też...

Ostra twarz braciszka rozpogodziła się uśmiechem:

— A zapytaj brata Feliksa, czy nie ostało od wczoraj placka z serem, to ci pewno da.

Otoczone murami podwórze klasztorne cieniły potężne lipy, w kwiecie teraz stały i cudna, miodna ich woń kołysała się w przestrzeni. Z kościoła dobiegał głos organów i chłopiąt młody śpiew.

Stach przystanął, tak tu było dziwnie pięknie, tak cudnie przedzierało się słońce przez gąszcz drzew i padało złotymi plamami na biały piasek podwórza, studnię z żurawiem i mury. Ogród klasztorny ciągnął się dalej, odgrodzony od podwórza kratą, przebłyskał purpurowymi i złotymi jabłkami sad, pszczoły uwijały się brzęcząc, świergotały jaskółki, dopadając co chwila do gniazd przylepionych do klasztornych okien. Przed kuchnią, na kamiennym progu, grzał się na słońcu biały, opasły kot i ułomny brat Feliks obierał ziemniaki, łysa czaszka kiwała

się na niskiej szyi jakimś dziwnym miarowym, wiecznie tym samym ruchem. Czasem ręce brata kucharza opadały na kolana, a wyblakłe oczy szły kędyś ku szczytowi lip, za lotem pszczół, w niebios błękity.

Stach przystanął nieśmiało, Pana Boga pochwalił, brat Feliks drgnął i jakby się ze snu ocknął.

— Ach, ryby, dobrze, synu, dużo ich tu jest?

— Mendel.

— A wędzone są dla ojca przeora?

— Zdaje się, że są pod spodkiem.

— Zapłatę tobie dać, czy matka przyjdzie?

— Nie mówili mama.

Stach miał wielką ochotę wspomnieć o placku z serem, gdy z kuchni wytoczył się gruby jak kula brat kuchmistrz, o twarzy tak czerwonej i tak zażywnej, że ginęły w niej prawie małe, błękitne oczka. Młynkował tłustymi, okrągłymi, jak kiełbaski palcami na potężnym brzuchu.

— Oho... oho... rybki niebożęta, zaraz na masełku skwierczeć będziecie, w jajeczku się was ukąpie, w bułeczce otoczy i buch na masełko... Pływać musicie, pływać niebożęta. Czekajno, chłopczyno, gdzieś się tam ostał kawałek placka z serem, palce lizać, mówię ci, dziecino, jest w nim i szafran, i jaja, i miodek, i korzenie, w życiuś takiego nie jadł. Oj, zna się brat Wojciech na kuchni, królowi by gotować mógł. Uf! ale gorąco, za dużo człowiek ma sadła, ksiądz przeor mówi: umartwiaj się, bracie Wojciechu, pość, a czyż to nie umartwienie prawdziwe, tak się we własnym tłuszczu, na słonecznym ogniu smażyć?!

Podreptał brat kuchmistrz w głąb czarnej i ponurej klasztornej kuchni, a za nim chudziutki brat Feliks poniósł kosz z rybami.

Z kościoła wysypał się na dziedziniec szereg ojców. Byli między nimi staruszkowie ciężarem lat zgięci, mężczyźni w sile wieku i młodzieniaszki, ale wszystkie twarze miały pokrewny

wyraz łagodnego spokoju. Szli w milczeniu wśród arkad dziedzińca i tylko po kamieniach klekotały głucho drewniane sandały.

Przed Stachem zatrzymał się wysoki, pochylony starzec i kładąc szczupłą, przejrzystą białą rękę na jego wichrowatej czuprynie, zapytał:

— Czyjżeś ty, synu?

— Mrągów, proszę dobrodzieja, ryby przyniosłem.

Stach mu się do ręki pochylił, ale trafił w rękaw i czerwony się zrobił ze wstydu.

Przeor znać sobie coś przypomniał, bo uważnie na chłopca patrzył, uderzyła go już przed tym jego obca, niezwykła uroda. — Mrąwa... Mrąwa... — przypominał sobie — gdzieś dawno, zapłakana rybaczka o oczach macierzyńskiej miłości pełnych, i ów ryngraf złoty misternie kowany... rozbitek, sierota... ach, tak... Staruszek dobrą miał pamięć, nie zapomniał nazwisk raz słyszanych, ni widzianych twarzy, chociażby lata od tego czasu minęły.

— Jakże cię wołają?

— Stach.

— Ładne imię, a wiesz, kiedy twego świętego patrona?

— Ósmego maja.

— A wiesz ty twojego patrona historię?

— Biskupem był i zasiekł go król Bolko.

— A przez co?

— Bo się za sprawiedliwością ujmował.

— Któż ci tak dobrze o twoim patronie świętym opowiadał?

— Babka Teresa, taka stara, stara babka.

— Chodź ino ze mną, pójdziemy w sad.

Placek z serem przepadł — pomyślał Stach, zerkając z żalem w stronę klasztornej kuchni, aleć cóż było robić, chłopczyna szedł, kędy go wiódł staruszek ksiądz.

— Jabłka lubisz?

— O jej...

— No to pójdź, urwiesz sobie. A po drzewach łazić umiesz?

— Na sam szczyt wylizę.

Własna młodość, odległa bardzo, zmartwychpowstała w pamięci przeora, taki sam był z niego chłopak czupurny.

Hej, życie... życie!

Któż by dziś uwierzył, on stary, pochylony przeor i ułomny brat Feliks i wszyscy, wszyscy byli niegdyś także takimi małymi, wesołymi, radosnymi dziećmi... Ot i on sam sobie przypomina minione czasy dzieciństwa, jak coś bardzo, bardzo odległego i obcego. Dobrotliwie rękę na ramieniu chłopca wsparł i poszli w sad. Ciągnęły się tu szeregi starannie pielęgnowanych drzew owocowych — o wapnem obielonych pniach, chłodniczek też był niezgorszy, cztery lipy go tworzyły, zasadzone na wzniesieniu, a pod nimi stół stał z kamienia i dwie omszone ławy.

Pachło rozgrzaną łąką, leczniczymi ziołami, od muru gdzieś płynęła upojna woń lilij białych, w kwiecie stojących.

Stach spojrzał w tym kierunku i zobaczył tulące się do muru szeregi jednakich, białych krzyżów, a z tych mogił klasztornych wykwitały smukłe, wyniosłe łodygi lilij, wietrzyk kołysał kielichami i słał w przestrzeń upojną woń z tych kadzielnic żywych.

— O widzisz, tu masz dojrałe wyleźże i zerwij sobie z osiem. Potrafisz tyle naliczyć, patynków nie zdejmując.

— Do dziesięciu umiem bez błędu.

— Zaraz zobaczymy.

— Kiedy dobrodziej jeno osiem zerwać pozwolił.

— Widzicie go wisusa, jak się to przymówić umie.

Stach w mig był na drzewie, szybko i zręcznie wspiął się w górę, czasem wychylała się z ciemnej zieleni listowia jego twarzyczka smagła, rozradowana, o oczach błyszczących uciechą. Zeskoczył wreszcie, w czapce i w pole bluzy miał jabłka duże, złociste, od słońca zarumienione, dziesięć ich było.

Oczy chłopca zaciekawienia pełne, przebiegały ten ogród, który wydał mu się zakątkiem raju, bo czego tu nie było? Oto skończył się sad, i snuły się równiuśko grzędy jarzyn, nieznanych Stachowi z nazwiska nawet, gąszcz malin tłoczył się pod murem, rozbłyskując jagodami, jak krew czerwonymi, a dalej były szeregi róż i kwiatów różnych dla przyozdobienia ołtarzy i ziół leczniczych grzędy.

Chłopak pytał o nazwę każdego krzewu, każdego kwiatu, jego zachwycone oczy piły bogactwo kształtów i barw, a rozszerzone nozdrza wdychały z rozkoszą nieznaną, kwietną woń. A przeor odpowiadał cierpliwie, uśmiechał się łagodnie, cieszył go ten szczebiot dziecięcy i te oczy zaciekawione bystre, chwytające zda się słowa z ust.

Odnoszono się do niego zawsze z czcią i lękliwą nieśmiałością, wychowańcy klasztoru patrzyli ku niemu trwożliwie, a on przecież tak dużo serca dawał i tak pragnął serca.

— Myślałeś już kiedy o tym, czym być zostać chciał?

— Ja?

— No, właśnie, ty.

— O, proszę dobrodzieja...

— No, śmiało, rybakiem pewno?

— Nie.

— Dlaczego?

— Uczyć bym się chciał.

— Do morza nie masz serca?

— Nie...

— Hm... A tu byś został... co? — zagadnął przeor.

— Tu? w klasztorze?...

— Ano... wyrósłbyś na sługę Bożego, uczyłbyś się, niósłbyś ludziom światło i wiarę.

Chłopiec spojrzał w krąg, jego czarne oczy zatrzymały się na klasztornym murze z czerwonej cegły, spoczęły na gmachu klasztornym, patrzącym drobnymi okienkami cel, przypomniały

mu się chłodne, mroczne korytarze i ten dziwny podświadomy lęk, który odczuwał w nich zawsze...

I tu miałby... całe życie...

Morza więcej nie widzieć, nie słyszeć plusku fal.

Ogród nagle stracił cały swój dotychczasowy czar, nie widział już jabłoni owocem obciążonych, kwiatów cudnych o pysznych, soczystych barwach, gąszczu malin, ni plątaniny róż, jeno ten mur czerwony, zdaje się wszędzie wypełzał z ukrycia i rósł gdzieś aż ku niebu, straszny, nieprzebyty klasztorny mur.

— O nie.

— Dlaczego?

— Albo ja wiem... straszno tu.

— Straszno?

— Mur zewsząd... wyłazi.

— O synu, w tych murach spokój mieszka i szczęście, i cisza wielka... na świecie jej nie ma... Aleć ty za młody jeszcze jesteś, by zrozumieć. A cóż byś ty rad?

— Kościoły stawiać, albo rycerzem być... konie mieć...

— Tędy cię wiedli. W klasztorze mógłbyś się nauczyć kościoły stawiać... Klasztor jest źródłem wiedzy, jeno pić. A czemuż to do morza serca nie masz, przecież urosłeś nad nim?

— Miłuję je i lękam się go, czy ja wiem czemu.

— Niechno Mrągowa przyjdzie tu kiedy do mnie, to pogadamy. Mówiłeś już o tym ojcu?

— Nie, ojca to będzie boleć, zawdy mówi, że mi łódź i sieci ostawi i dobre imię rybackie... sam nie wiem jeszcze...

Stach przypomniał sobie nagle, że mu matka kazała duchem wracać, a on tyle czasu zmitrężył i zaczął się niepokoić, przemyśliwać jakby to rzec, a szczupła ręka przeora wciąż spoczywała na jego ramieniu. Staruszek mówił mu łagodnie i dobrotliwie o tym, jakie skarby ducha daje i jak je mnoży wychowanie klasztorne. A Stachowi myśl uciekała do barwnego, życiem kipiącego miasta, myślał o placach targowych, o tłumie

kupujących i przekupni, o kramach z zamorskimi towarami, wszystko było takie ciekawe, wszystko tak oczy rwało, a tu trzeba iść spokojnie przez ogród, który zdążył już przejrzeć od końca do końca i w którym nic już nie wabiło jego uwagi. Głodny był przy tym, a jabłka niesione wabiły. Och, z jaką rozkoszą zatopiłby zęby w ich złotym naskórku, soczyste być muszą.

— Zrozumiałeś?... — zakończył staruszek pytaniem.

Stach się przestraszył, bo gdzieś mu te słowa księdza przelatywały wedle uszów, jako i ten brzęk pszczół, miodu szukających. Co miał rozumieć, nie wiedział. Odparł też z determinacją nagłą, chyląc się do ręki przeora:

— Proszę dobrodzieja, matka mi kazała duchem wracać.

— Rychłoś sobie przypomniał... A zrozumiałeś dobrze, to, com ci mówił?

— Nie.

— To pała zakuta jesteś, synu miły! — zaśmiał się staruszek, klepiąc go po ramieniu: — Albo puściłeś moje słowa mimo uszu, myśląc o czymś innym. Przyznajno się.

— O targu i o kramach.

— I o jabłkach, co? Widzę, że ci do nich oczy wylatują, jedzże jedz...

— I o jabłkach — przyznał Stach, zatapiając zęby w soczystym jabłku.

— A ot Mrągowa czeka, snać niespokojna była o ciebie, macierz miłująca.

Doszli do podwórza i Stach zobaczył matkę Katarzynę, siedziała na progu kuchni i gawędziła z ojcem Filipem, który teraz skrobał młodą marchewkę. I nie przeczuwał nawet Stach, że była to w jego życiu ważna chwila, gdy ono jabłko z apetytem kończył, a ksiądz przeor matkę Katarzynę na bok odwiódł.

— To ten chłopiec, coście go to z morza wyłowili?

— Tak, ojcze przewielebny.

Mrągowa dygotała ze wzruszenia.

— Ładny chłopak, bystry chłopak. Wieleż on już czasu u was?

— Z osiem roków będzie.

— A wtedy na ile wyglądał?

— Na trzy.

— Jedenaście, może dwanaście lat, na naukę jaką byłby mu czas, szkoda by go było zaprzepaścić.

— Rybakiem zostanie.

— A serce do rybactwa ma?

— Nawyknie.

— Rzekliście mu, jako to z nim było?

— Nie.

— Czemuż to? Ojcom się pacierz od dziecka należy, dali mu życie, a może im było modlitwy dziecięcej potrzeba, bo ta najniewinniejsza ze wszystkich najpewniej trafia przed Boży tron, a oni nagle poginęli, to i w grzechu pewno. Źleście zrobili, matko, trzeba to naprawić, trzeba mu o pochodzeniu jego rzec i obrazek on złoty oddać, niech go strzeże od złego, bo w tej inteneji pewnie ojciec mu go dał.

— Myślałam, że tak prędzej do nas nawyknie.

— Ale to był grzech, a gdybyście dalej milczeli, wina by to była ciężka... Rozumiecie, matko? Wiem, żeście to z dobrego uczynili serca i w dobrym zamiarze, aleć teraz wiecie, iżeście źle uczynili, więc i naprawić trzeba.

— Powiem tak, jak przewielebny ksiądz przeor każą, jeno...

— No co?

— Aby my mu się obcy nie stali...

— Byliście wy mu, jak macierz druga i zawdy on do was lgnąć będzie, nie lękajcie się. Z gruntu by zły być musiał, żeby było inaczej.

— — — — — — — — — — —

Wyszedłszy z klasztoru matka Katarzyna zamyślona była i chmurna. Stachowi za to usta się nie zamykały, opowiadał o swoich przygodach w klasztorze, częstował matkę plackiem, który mu gruby brat Wojciech nie zapomniał wsunąć wraz z przestrogą:

— A jedz pomału i w skupieniu godnym, nie tak raz, dwa i już, jako wasze rybackie, kartoflane; placek, synu, plackowi nierówny, a ten ci w gębie się rozpływa smakiem przedziwnym, że ci i król lepszych jeść nie może. Ot, poprostu, szkoda go dla ciebie, bo go z szacunkiem należytym zjeść nie potrafisz... Ale... „słowo się rzekło, kobyła u płotu", niech ci idzie na zdrowie.

I brat Wojciech podsunął mu pod same usta swoją tłustą rękę.

Placek był rzeczywiście wyborny i Stach po chwili wahania i walki z własnym, dziecięcym łakomstwem, schował jednak połowę klasztornego daru dla ojca.

A wokół wrzał ruch targowy. Ot, tu kupiec rozrzucił materie wschodnie. Co za przepych barw, po prostu, jakbyś najpiękniejsze barwy zachodzącego słońca rozrzucił po kramie. Bogata mieszczka trzyma w ręce materiał srebrnolity, a on spływa tak miękko, mieni się tak cudnie, rzekłbyś od wiślanej fali pożyczył miękkości i koloru.

A tam znowu sprzedają weneckie wyroby, delikatne, kruche cacka, jak gdyby je nie ludzkie robiły ręce. Można by tu godzinami stać i patrzeć na naszyjniki robione drobną emalią, na szkła rżnięte przedziwnie, załamujące w tęczę słoneczne promienie. A tam rzędy na konie, ówdzie misy i talerze gdańskiej przedziwnej roboty, tu zbroje, tam buty z czarnej, czerwonej i żółtej skóry, wysokie za kolana i dla niewiast maluśkie, złotem szyte na korkach, aby się większe zdały.

— Mamo, patrz!

Stach przystanął. W poprzek placu targowego przymocowana była cieniutka, stalowa linka, wysoko kędyś aż pod dachami domów, a po niej szedł chłopiec drobny, szczupły, w błę-

kitnych aksamitach cały, twarzyczkę bladą i smutną okalały mu włosy złote, w lokach, na wąskie ramiona opadające i wyglądał na tej linie, chwiejącej się i kołyszącej za każdym jego krokiem, jak cherubin z kościoła.

On przecież zlecieć musi — myślał Stach i serce mu biło niepokojem i wzruszeniem — a jak zleci... i oczy chłopca z przerażeniem patrzyły na bruk targowego placu.

— Matko, i po co on tam wlazł?

— Dla chleba, synku, różnie ludzie na chleb zarabiają, ot, komediant wędrowny, nie bój się o niego, nie spadnie, nawykł już chodzić po linie, jako ty po ziemi.

Tymczasem blady, złotowłosy chłopczyna, wyciągniętymi rączkami chwytając równowagę, przeszedł nad placem, spuścił się na ziemię i zaraz potem z cynową miseczką w ręce znalazł się wśród gawiedzi ulicznej. Stach zobaczył z bliska jego ubranie błękitne, dzwoneczkami obszyte, wytarte i ciasne i twarzyczkę o głębokich, smutnych oczach.

— Można mu dać jabłko... mamo?

— Twojeć są.

Więc Stach, wiedziony uczuciem litości, podsunął obcemu chłopięciu zawartość swojej czapki.

— Bierz... — prosił nieśmiało. — Wybierz sobie najładniejsze.

W błękitnych oczach linoskoczka rozbłysła radość, wziął jedno jabłko i małą szczupłą rączkę wyciągnął:

— Dziękuję ci.

— Weź sobie jeszcze, o widzisz to, takie rumiane, weź.

— Podobała ci się moja sztuka?

— Nie bałeś się?

— Czego? Co najwyżej to mógłbym zlecieć, a to nie byłoby wcale najgorsze, gorsze bicie i głód. Zostań jeszcze, teraz będzie pokazywać sztuki Dedalus, a potem ja będę kręcił talerze, zobaczysz, jak ja to umiem.

— Wit! — rozległo się od budy ostre wołanie, chłopczyna drgnął, lęk wyjrzał z oczu błękitnych, i szybko zniknął w tłumie.

— Zostańmy jeszcze, mamo — prosił Stach.

Katarzyna zgodziła się chętnie, bo i ją zaciekawiały przedstawienia komediantów. Teraz właśnie przed małą budą na kółkach ukazał się starzec z białą długą brodą, o nosie przełamanym, zdaje się z powodu jakiegoś wypadku, z zezowatymi, niesympatycznymi oczyma, strój miał śmieszny, pomimo, iż był czarny i poważny krojem, bo nie nadawał się do jego ruchów żywych, długi płaszcz plątał się zabawnie między długimi chudymi nogami. Za starym szedł pies biały, w obroży misternie kowanej. Starzec ukłonił się na cztery strony świata, podrzucając zawsze nerwowo lewym ramieniem i oznajmił suchym, gardłowym głosem:

— Mieszczanie i mieszczki przesławnego, portowego miasta Gdańska, marynarze z obcych krain i wy rybacy stateczni, raczcie spojrzeć na tego psa, niepozorny on jest, ale mądrość w nim mieszka, większa, niżeli w ludziach, bo wielu z was przesławni i czcigodni słuchacze, czytać nie umie, a rachuje z trudem, używając palcy rąk i nóg ku pomocy, a Dedalus miesiące zna, litery rozumie i liczyć potrafi.

— Oho! Stary szalbierz — rozległo się z tłumu, który skupił się teraz zaciekawiony wokoło budy starego.

— Przekonacie się zaraz sami, że stary Piegonius, Dezydery Franciszek Piegonius nie łże... Spójrzcie ino, tę oto obrożę misterną ofiarowała Dedalusowi królowa Krystyna szwedzka, a tę kokardę błękitną: Polski pani, miłościwa królowa Maria Ludwika. No, Dedalus, niedawno na królewskich prezentowałeś się dworach, teraz na ulicę wygnał cię los, ale pokaż i tu, co umiesz: który w roku miesiąc zwie się februarem?

Pies patrzył bystro w oczy pana, wreszcie szczeknął dwa razy w odstępach równych.

— A junius?

Pies zaszczekał sześć razy, budząc w tłumie podziw i uciechę wielką, wraz z jakimś przyjemnym dreszczem grozy:

— Czarodziejstwo chyba!

— Diabelska sztuka, nie może inaczej być!

— A...

Stach nie dokończył, bo w pierwszy szereg przecisnął się radny miasta Gdańska, bogaty kupiec i majster rzeźbiarski Otto Gross i zapytał, naśladując łudząco głos starego:

— A januarius?

Pies zaszczekał raz, dwa, trzy, cztery. Próżno rozwścieczony Piegonius usiłował przydeptywać mu łapę i spiorunować wzrokiem, Dedalus przyzwyczajony do następnego numeru programu szczekał z zapałem, oznajmiając miesiąc jedenasty.

Gawiedź kładła się od śmiechu, patrząc na gniewne podrygi starego Piegoniusa, a Otto Gross rzucił psu przygotowany dlań kawałek kiełbasy i rzekł z uśmiechem:

— Nie czarodziejstwo to żadne tworzy, jeno kije.

Nie było się już co przechwalać z następnym numerem programu, więc Piegonius kopnął Dedalusa i zakomenderował ochrypłym głosem:

— Witek, na linę!

— A talerze?...

— Na linę mówię, słyszałeś?

Chłopczyna porwał się na głos starego i z wdzięcznym ukłonem ujął linę, by się po niej wydrapać, gdy Otto Gross zatrzymał go swoją silną, męską ręką.

— Hola! mój mały! Dość tego na dzisiaj, z dziesięć już razy przeszedłeś nad placem. Zepsułem wam targ, toć i wynagrodzić muszę, pójdziecie ze mną... No stary, nie bocz się, jeno zbieraj twoje skarby i chodź. Otto Gross nie robi krzywdy nawet takim starym szalbierzom, jak ty... Pójdziemy naprzód, mały...

Idąc u boku bogatego kupca, Witek szukał oczyma swego małego przyjaciela i skinął mu ręką z uśmiechem.

A Stach ucieszył się pogromem Piegoniusa i tym, że mały komediant dzisiaj z pewnością nie będzie głodny i idąc przez niezmiernie ożywione i natłoczone ulice Gdańska, myślał o tych kijach, którymi stary Piegonius uczył Witka i Dedalusa. Jego nigdy nie bito, Tomasz Mrąwa pokrzyczał czasem, czasem za ucho pociągnął, ale nie bił nigdy.

I dlatego Stach podwójnie żywo odczuwał niedolę tego drugiego dziecka.

Poszli jeszcze z Katarzyną na ulicę ław chlebowych, po chleb świątły, a potem po sól, wreszcie przysiedli u kramu z jedzeniem ciepłym.

Wyludniło się trochę, zmniejszył się gwar, a oto rozdzwoniły się dzwony wszystkich kościołów, wieszcząc południe.

ROZDZIAŁ IV.

„Nie nasz".

Gdy wieczór, jak zwykle po wieczerzy, Stach do pacierza uklęknął i odmawiał modlitwy, walcząc z ogarniającą go sennością, usłyszał obok siebie łagodny głos matki Katarzyny:

— A teraz, synku, zmów „wieczny odpoczynek" za dusze tych, co w morzu utonęli, za dusze... rodziców twoich.

Stach spojrzał ku niej szeroko rozwartymi, zdziwionymi oczami.

— Jakże to, matuś? Przecież żyjecie?

W oczach Mrąwowej błysnęły łzy, przygarnęła go do siebie, słyszał nierówne bicie jej serca, gdy tuląc go do siebie, szepnęła:

— Boś ty... nie nasz.

— Jak to nie wasz? Co też gadacie, matuś? Nie wasz? A czyjże?

A Tomasz Mrąwa, który przy stole sieci naprawiał, rzekł, nie podnosząc głowy od roboty:

— Przed dziewięciu laty, morze cię na nasz brzeg wyrzuciło, synu, a ja cię znalazłem, odratowałem i przygarnąłem. Pusto nam było w chacie, bo właśnie synków nam dwóch dławica zabrała i cieszyliśmy się tobą, jak darem Bożym, bo i prawda, radość z tobą weszła do naszej chaty i kochaliśmy cię, że i swoich nie mogliśmy lepiej. Ale teraz ksiądz przeor matce powiedział, że to grzech cię w nieświadomości pochodzenia chować i grzech, że nie wiedząc o śmierci rodzicieli twoich, nie modlisz się za nich, a oni nagle ze świata zeszli i pewno nie mieli sposobności pogodzić się z Bogiem i dlatego matka ci to dziś mówi.

Oczy chłopca błądziły od chmurnej, ostrej w wyrazie, ale dobrej twarzy Tomasza, do łagodnej, łzami zalanej matki Katarzyny.

— Nie nasz...

Więc ci dobrzy, kochani ludzie nie byli jego rodzicami... Żal przejmujący serce mu schwycił; przytulił usta do ciemnej spracowanej ręki rybaczki, jak gdyby pragnął okazać jej tym pocałunkiem całą swoją wdzięczność.

Odeszło go gdzieś spanie, jeno serce dygotało tak jakoś dziwnie i do oczu napływały łzy, jak gdyby coś tracił bezpowrotnie i nie mógł się z myślą tej utraty pogodzić.

To nie byli jego rodzice...

To nie był jego rodzinny dom...

O dlaczegóż mu to powiedzieli... wszak teraz dopiero stał się sierotą.

Matka Katarzyna podniosła się, uśmiechając przez łzy, poszła w kąt chaty, kędy stała skrzynia gdańska o pięknych okuciach, otwarła ją i wyjmowała ostrożnie, starannie ułożoną odświętną odzież, sznur bursztynów i swój wianek ślubny, aż wreszcie gdzieś z dna wyciągnęła małe zawiniątko i położyła przed Stachem.

— W tym cię wyrzuciła wodą, nic tu nie brakuje, tę koszulinę cieniutką miałeś na sobie i te porcięta z niebieskiego

aksamitu i ten kubraczek na srebrne zapinany guzy, a pod koszuliną miałeś ten obrazek Matki Najświętszej misternie w złocie kowany. Jest na nim napis, o tu, „Stachowi z błogosławieństwem... ojciec".

— Więc mnie ten ojciec kochał... błogosławił — w rękach chłopczyny drżała złota blacha.

— Zdjęłam ci to, boć za bogate to było do dymnej chaty rybackiej...

Stach dotykał aksamitu ubrania, patrzył w uśmiechniętą słodko twarz Matki Bożej i było mu tak jakoś dziwnie, bardzo dziwnie.

Usiłował sobie coś z przeszłości przypomnieć i nie mógł. W snach tylko czasem widywał wyniosłą postać niewieścią, o oczach czarnych jak noc, o białych, cudnych rękach, prześliczną, obcą panią i zawsze budził się z żalem, że się skończyła noc, a z nią sny.

Miałaż by to być matka?

Czyimż był synem?

Jak wyglądali rodzice?

Kędy był rodzinny dom?

Wszystkie te pytania szalały w mózgu chłopięcia i pozostawały zagadką niemożliwą do rozwiązania.

A Tomasz mówił, wiążąc zręcznie grubymi palcami, porwane oczka sieci.

— Nie rzekliśmy ci dotąd nic, i gdyby nie ksiądz przeor, nie bylibyśmy powiedzieli wcale, boć się nam na nasz chłopski rozum zdawało, że tak lepiej. Chcieliśmy cię chować, jako bylibyśmy własnych chłopców chowali, gdyby ich nie był zabrał Bóg. Możeś ty i szlachcica jakiego syn, może kupca bogatego, Bóg to jeden wie, aleć cię morze wyrzuciło na brzeg i nikt o ciebie przez cały ten czas nie zapytał, nikt nie szukał, więc prócz matki i mnie i tak nikogo na świecie nie masz, sieroto, i nikt się o ciebie starać nie będzie, jeno my. Była matka wtedy u księdza prze-

ora, bośmy myśleli, że nazwisko może jakie jest, aleć jeno błogosławieństwo ojcowskie tam stoi i więcej nic. Obrazek ma pochodzić z Jerozolimy, jako twój ojciec znać pielgrzymkę do grobu Chrystusowego odbywał. Więc niech ci te aksamity w głowie nie przewrócą, boć całe dziedzictwo twoje, to jeno ta garść gałganków. No, a teraz dokończ pacierze i idź spać.

— Ojcze!...

I pierwszy raz wydał się Stachowi ten okrzyk obcy, pomimo iż przywykł tak zwać Tomasza Mrągwę, odkąd zapamiętać zdołał.

— Coć, synku?

— A morze nic więcej... nikogo więcej nie wyrzuciło wtedy?

— Drugiego, czy trzeciego dnia, fala przyniosła jeszcze do brzegu trzy trupy, niewolnicy to znać byli od wioseł, bo na rękach był ślad od łańcucha, a zresztą nic...

— To może ci moi rodzice... żyją jeszcze... Może się zdołali uratować? — z jakąś tęskną nadzieją pytał chłopiec.

Ciężka ręka Tomasza Mrągwy spoczęła na czarnej, wichrowatej czuprynie pacholęcia.

— Wieczny odpoczynek należy się im jeno od ciebie, i zmów go, synu.

Pierwszy to był ból, który wstrząsnął duszą chłopięcia.

Nie mógł zasnąć, słuchał szumu morza... wiele by mu ono powiedzieć mogło?

Czyby mogło?...

W izbie rozlegało się potężne chrapanie rybaka, jak zgrzyt piły ostre, świszczące, i spokojny oddech matki Katarzyny...

Przez okno chatyny wkradła się miesięczna poświata i kładła błękitny kwadrat na klepisku.

A w nim była tęsknota i lęk.

Przypomniały mu się wszystkie gadki o topielcach, o duchach, zimny strach przelatywał po plecach, a równocześnie tęsknota w nim była, by przyszła na jawie owa prześliczna, obca pani ze snu...

pie dobrego humoru dziad rzucił im jaki ochłap ze swojego stołu, to dzielili się nim przykładnie.

Taka poczciwa psia morda... i łzy zaczęły lecieć, jak grad jedna za drugą.

— Mazgaj jesteś — usłyszał karcący głos rzeźbiarza. — Przestańże beczeć, bo jeszcze ludzie powiedzą, że ci krzywdę jakową robię, a ja, Bóg widzi, dobrze ci jeno chciałem. Bo cóż z ciebie wyrośnie? Oszust i włóczęga! Umiesz ty chociaż pacierz?

— Pacierz?

— No, „Ojcze nasz", „Zdrowaś".

— Nie wiem, o czym mówicie, panie.

— To ty dużo nie wiesz, mój synu... No, ale jesteśmy w domu, przywiodę pani siostrze gości na obiad... Gdzież ten twój dziad?... Ach, wlecze się z budą.

— Tu mieszkacie, panie?

— Tu...

— Tak wspaniale...

— Po twojej budzie, to naprawdę, bardzo wspaniale...

Witek patrzył na piękną fasadę domu, zdobną rzeźbami w białym kamieniu, od ulicy dzielił go tak zwany w Gdańsku „beischlag" szeroki kamienny taras, wiodły nań wygodne, szerokie schody, z jednej i drugiej strony schodów był maleńki ogródek, pełen kwiatów, cieniły go dwie rozłożyste lipy. Brama była zamknięta. Otto Gross uderzył zwisającym na łańcuchu młotkiem w mosiężną płytę drzwi, rozległ się czysty, jasny dźwięk. Wybiegła zgrabna płowo-warkoczna dziewczyna, ciekawe spojrzenie rzucając na zalęknionego chłopczynę, pokraczną postać Piegoniusa i jego oryginalny zaprząg.

— Jejmość Anna wróciła z targu?

— O już dawno, zaraz do stołu podadzą.

— Dodaj dwa nakrycia, starzec i chłopczyna jedzą dziś z nami, a psa weź do kuchni i nakarm uczciwie...

— Nie gryzie?

— Łagodny jak baranek — pośpieszył zapewnić Piegonius. — A jak mu, dostojna dziewico, pokażesz kość lub kiełbasę, to pójdzie za tobą chociażby na kraj świata.

„Dostojna dziewica" parsknęła śmiechem.

Otto Gross ujął za rękę małego komedianta i szedł z nim w głąb domu. Przez obszerną, bogatymi kobiercami i bronią zawieszoną sień, wchodziło się po kręconych, bogato rzeźbionych schodach drewnianych, do położonej na pierwszym piętrze izby stołowej. Ściany tu były z czarnego dębu, sufit w kasetony rzeźbiony, olbrzymi kominek z holenderskiej kafli zajmował pokaźną część komnaty. Na środku stał stół olbrzymi, dębowy na baniastych nogach, a obok krzesła, gdańskiej roboty, obite wytłaczaną, złoconą skórą i ławy kobierczykami wschodnimi kryte, pod ścianą stały szafy olbrzymie z bielizną stołową, a wokół biegły półki rzeźbione, na których stały misy i talerze srebrne, dzbany przecudnie wyrabiane, holenderska porcelana i weneckie szkła barwne, misternie rżnięte. Dobrobyt wiekami nagromadzony wyglądał tu z każdego kąta. Przez wysokie duże okna o drobnych szybkach wpadała słonecznego światła fala i kładła się na podłodze białej, budziła grę barw w kobierczykach wschodnich.

Stół był już nakryty obrusem z cienkiego holenderskiego płótna, a pani Anna, wysoka, siwiejąca już jejmość, krajała właśnie chleb biały, pięknie wypieczony.

Nie zdziwiła się, ujrzawszy dziwnych gości prowadzonych przez brata, był to bowiem dzień tygodnia, w którym zawsze u nich jakiś ubogi zasiadał do stołu, Panu Chrystusowi na chwałę. Uśmiechnęła się do onieśmielonego chłopczyny i powitała starego przyjaźnie.

— „Gość w dom, Bóg w dom". Nakrajno chleba, Ottonie, bo zaraz przyjdzie czeladź z warsztatu.

Piegonius posunął się naprzód, składając ukłon przesadny, aż się rozwiały jak skrzydła poły jego długiego chałata i pulchnej

ręki panny Anny dotknął zatabaczonymi wąsiskami, składając głośny, mlaszczący pocałunek.

— Jejmość pani, a mojej specjalnej dobrodziejce, pokłon i hołd od starego Piegoniusa; artysta jestem i lekarz wędrowny, człowiek nie byle jakiego rozumu i nie byle jakich manier... Może potem jejmość pani oglądnie moje leki: mam wodę wenusejską na restaurację skuteczną kobiecej urody, mam ziele znakomicie działające na zbytnią otyłość, proszki na wszelkie choroby bydlęce, pigułki na dolegliwości spowodowane przepiciem, maść do farbowania siwych włosów.

— A dekoktu na zbytnią gadatliwość nie masz waść? — zapytał kupiec.

Piegonius spojrzał zezem.

— Mam, czy komu w domu jegomościowym potrzeba?

Przerwało staremu wejście czeladzi; przyszli jak stali u warsztatu, jeno ręce obmywszy; było dwóch podmajstrzych i sześciu chłopców warsztatowych; panna Anna zwróciła się do nich z uśmiechem:

— No, jakże się wam tam pracowało, chłopaki?

— Dobrze, dziękować Bogu.

— Nikt nic dziś nie zepsuł?

— Nic.

— Pięknie, a cóż tam twój palec, Heinrichu?

— Goi się, proszę jejmości.

Młodsi chłopcy patrzyli z zaciekawieniem na Witka, i znać było, iż wysiłkiem jeno powstrzymują się od śmiechu, bawiło ich ubranie chłopca, jego nóżki wątłe, opięte białymi pończochami i ruchy nieśmiałe, którym towarzyszył jazgotliwy dźwięk dzwoneczków srebrnych. A mały komediant czuł się zmęczony i przygnębiony, ucieszył się też bardzo, gdy rozłożysta Guta w czepcu i białym fartuchu wniosła na olbrzymiej drewnianej tacy misy z kwaśnym mlekiem, a za nią płowo-warkoczna Krysta, półmiski pełne dymiących ziemniaków, suto skwarkami okraszonych.

U czoła stołu, kędy stały fotele gdańskiej roboty, stanął Otto Gross, a tuż obok niego jego siostra. Kupiec przeżegnał się, a za nim powtórzyli to wszyscy, z wyjątkiem małego komedianta i jego dziada, pierwszy zaczerwieniony oczy spuścił, nie wiedząc, co teraz uczynić należy, drugi miał ironiczny uśmieszek w kątach starczych warg i drwinę w rozbieganych, siwych oczach.

— Boże, pobłogosław te dary i nas, którzy będziemy je spożywali — modlił się po niemiecku Otto Gross, a wtórował mu cichy szept siostry i czeladzi.

A słońce kładło się jak gdyby błogosławieństwem na pochylonych głowach i silnych, do modlitwy splecionych rękach tej jak gdyby jednej rodziny, której praca stała się łącznikiem.

Kupiec zauważył zachowanie się starego Piegoniusa i gniew wezbrał mu w duszy; chmurny w milczeniu zajął swoje miejsce, a panna Anna nałożyła jemu i sobie zsiadłego mleka na porcelanowe talerze, czeladź jadła z mis, ustawionych w pośrodku stołu, po jednej na czterech. Ponieważ rzeźbiarz milczał, więc i reszta stołowników w cichości spożywała dary Boże. „Przy jedzeniu, jak w kościele" mawiano wtedy. Po mleku podano wieprzowinę z kapustą i z młodymi ziemniakami. Wreszcie Otto Gross, niewielki, krótko strzyżony wąs w róg serwety otarł, modlitwę dziękczynną odmówił i zwrócił się do Piegoniusa z zapytaniem:

— Jakiego wyznania jesteś waść, iżeś się z nami nie modlił?

Stary się skurczył, jego rozbiegane oczy znikły gdzieś ku ziemi.

— Czyżeś waść nie chrześcijaninem?

Piegonius zakaszlał się, wreszcie jednak odpowiedzieć musiał.

— Mam zwyczaj modlić się w duszy.

Stary wyga, wykręcił się — pomyślał Otto Gross, a głośniej rzekł: — I chłopiec wasz też nie zna pacierza.

— Próżniak jest, i ciężko go nauczyć, Dedalus pojętniejszy.

— Czy to wnuk waści?

— Wędrowni artyści wszyscy są sobie rodziną, może i wnuk. Stary już jestem i trudno mi sobie przypomnieć, czym mu to właściwie wypadam. — I pragnąc zmienić przedmiot rozmowy, stary zapytał: — Prawdaż to, jako się wyprawa szwedzka na Polskę gotuje? Podobnoć jeno patrzyć, jak Karol Gustaw ze swoim wojskiem wyląduje. Będziemy mieć wojnę.

— Wy na nią nie pójdziecie! — zaśmiał się Wolf Kummerstel, starszy podmajstrzy, człowiek o barkach olbrzyma, jasnowłosy, o łagodnym uśmiechu dziecka, mimo, że siwiznę miał już u skroni.

— Czemu nie, leki znam różne, a na wojnie nie tylko krajać, ale i zszywać trzeba. A Gdańszczanie do obrony się gotują, idąc na targ, widziałem, jako szańce się sypią na Biskupiej Górce, a i w Mindzie warownię się odnawia. Zali Gdańskowi nie lepiej stanąć na stronie Szweda?

— Gdańsk złożył przysięgę wierności Polsce i królowi, i Gdańsk przysięgi dochowa wiernie. Handel nasz i dobrobyt rozwinął się pomyślnie pod protektoratem Polski, zdrajcami nigdy nie byliśmy. Kupcami jesteśmy, święte jest w handlu słowo, i ma większą wartość, aniżeli nawet moneta złota. Kupiec, na którego słowie polegać nie można, nie ma ani kredytu, ani poważania, myśmy miasto kupców. — Otto Gross z dumą podniósł głowę, a w jego głosie zadźwięczał śpiżowy ton.

— Aleć Polska nieprzygotowana na wojnę; od targu na targ idę, z odpustu na odpust, i znam kraj, bo stary Piegonius nie darmo ma oczy i uszy; niechęć jest możnych przeciw królowi, w skarbie pustki przez złą gospodarkę, wojsko liche. Gdy Szwedzi przyjdą, zaleją Polskę, jak potop, bo jedni im się oprzeć nie zdołają, a drudzy opierać się będą... Król Jan Kazimierz niedostępny to pan, cudzoziemiec, strojem i duszą...

— A Karolus co? Polak może? Z jednego pnia Wazów obaj idą, jeno Kazimierz po matce ma polską krew w żyłach.

— Król szwedzki umie zjednać sobie ludzi, umie pogadać.

— O tak, obieca złote góry, i da, po długim targu ziarnko piasku, znają go Gdańszczanie.

— Ależ Szwedzi wam przecież bliżsi i językiem i mową.

— Coś wielki z waćpana Szwedów zwolennik?

— Ja tak jeno, po sprawiedliwości.

— Krzyżacy, też byli nam bliscy językiem i narodowością, a pod rządami komtura von Plauen niedola i nędza weszły do miasta. Znam to dobrze. Mój to przecież pradziad, ratman Bartłomiej Gross życie wtedy położył.

Rzeźbiarz urwał, czoło na dłoniach wsparł, w pamięci stawało mu opowiadanie babki, krwawa, straszna wizja mroziła krew w żyłach:

— Za rządów krzyżackich upadł wszędzie handel i dobrobyt miasta, zakon na wszystkim kładł swoją drapieżną zachłanną rękę, to też rosła cicha nienawiść. A gdy wieść przyszła o zwycięstwie Władysława Jagiełły pod Grunwaldem, lud Gdańska gromił niedobitków krzyżackich, a burmistrz i ratmani wyprawili się, by złożyć hołd królowi polskiemu i oddać mu pod protektorat Gdańsk. Dowiedział się o tym rządzący jeszcze podówczas w mieście z ramienia zakonu komtur von Plauen i po powrocie zaprosił na ucztę posłów do króla. Poszedł sędziwy burmistrz Konrad Letczków i w sile wieku będący zięć i ławnik Gross i Arnold Hecht, niesposób bowiem było odmówić komturowi, zresztą nie przypuszczali, iż wiedział o ich poselstwie do polskiego króla. Komtur był uprzejmy, były wina przednie i miód, obfitość potraw i obietnica rządów sprawiedliwych, w zamian za przychylną postawę ludności. Wtedy burmistrz rzekł: iż trudno będzie przekonać Gdańszczan o sprawiedliwości rycerzy krzyżowych, a Polska dla wszystkich swoich poddanych lekką miała rękę.

— Byliście u Jagiełły z hołdem — zaśmiał się komtur.— Czyście się jednak nie pośpieszyli zanadto panowie radni, boć ja tu jeszcze rządzę, a wasze życie i mienie w moich jest rękach.

— Byliśmy — chłodno, z godnością odparł Konrad Letczków. — Bo w związku z Polską widzimy przyszłość miasta i naszego potomstwa i choćbyś nas dzisiaj zabił, komturze, Gdańsk do Polski należeć będzie, bo w związku z Polską wolność mu zakwitnie i dobrobyt.

— Ty... tego nie ujrzysz, burmistrzu.

Komtur ręką skinął, wtargnęła do sali gromada zbrojnych... W tydzień potem, gdy miasto coraz groźniej i natarczywiej żądało wydania burmistrza i radnych, kazał przyjść Gdańszczanom na zamek komtur von Plauen i oddał trzy krwawe, straszne, rozkładem pochwycone trupy.

Żona Grossa, Anna z domu Letczków, na widok trupów ojca i męża, oszalała z bólu, nie dbając o życie własne, padła przy zwłokach na kolana, wzywając pomsty nieba na głowę krwawego komtura.

— Gdybyś była mężem, jako jesteś kobietą, uczyniłbym to, jakom to uczynił ojcu i małżonkowi twemu — wybuchnął komtur.

— Gdybym była mężem, jakom jest kobietą i z tobą, komturze, samowtór w polu stała, tą oto ręką pomściłabym na tobie ojca i małżonka. Alećem niewiasta, nie mnie mordercze przystoi żelazo, więc się jeno Bogu skarżę na przemoc twoją i bezprawie okrutne, jakie się mnie stało niewieście nieszczęsnej i dziatkom moim małym, wbrew Bogu i prawom wszelakim. Wyzbyłam ojca i małżonka, mienia i prawa, ja i dzieci moje, bez wszelkiej winy i wyroku. Więc Ty, Boże wszechmogący, miejże zmiłowanie i ześlij karę należną za bezprawie tak wielkie. Tobie, o Sprawiedliwy, zemstę zostawuję!

Pamiętał Otto łzami nabrzmiały głos babki, gdy powtarzała przekleństwa Anny Gross i własną grozę.

W Polsce ostoję miał zawsze Gdańsk, przy Polsce był jego rozwój i wolność, za przynależność do Polski dziadowie jego życie dali i on je da, gdy tego zażąda Bóg.

Ścisnęła się w pięść silna ręka Ottona Grossa; dziś Gdańsk bronić się potrafi, dziś nie przywoła już obcych ciemiężycieli ku pomocy, walczyć będzie i zwyciężać. Niech oblegają! Trzeba będzie może przedmieście spalić, część składów poświęcić na zniszczenie, aleć nie wezmą, boć głodem najczęściej biorą warownie, a oni mąki mają pełne śpichlerze, a ryb obfitość zawsze doniesie morze i Wisła. Zaraz na najbliższym posiedzeniu rady Otto Gross postanowił głos zabrać w tej sprawie, rysował mu się tak jasno plan obrony, a posłuch miał w radzie, jako prawnuk tych, co za Gdańsk i jego przyszłość życie dali...

Zbudziło go z zadumy pytanie Piegoniusa, który gawędził z Kummerstalem.

— Zali to prawda, że Alojzy Winter został komendantem Gdańska? Siła o nim słyszałem dobrego, gdy jeszcze szwedzkim pułkownikiem był.

— Tak — przytwierdził Otto, jego spojrzenie padło na małego komedianta, chłopaczek kiwał się sennie na ławie, znać zmęczony był bardzo. Biedota — pomyślał i zwrócił się do Piegoniusa: — Cóż myślicie dalej robić z tym waszym małym, przecie chyba całe życie nie każecie mu skakać po linie jak zamorskiej małpie... Czas by mu się rzemiosła jakiego jąć.

Piegonius spojrzał bystro:

— Nikt wędrownego komedianta na naukę nie weźmie, nasz fach ma zaszarganą reputację.

Zamyślił się chwilę Otto i rzekł:

— Ja bym go wziął...

— A któż będzie przy mnie starym? Kto ugotuje? opierze? Chyba, że... — stary łypnął oczyma — chyba, że wynagrodzicie mi to godnie, tym bardziej, że miłuję to dziecko jak swoje własne. Dla jego dobra jednak, jeżeli talarów nie poskąpicie, panie... A cóż wam talary?! Dziś wydacie, a jutro zarobicie w dziesięcioro, nie tak jak biedny artysta, co jeno talentami wrodzonymi i głupotą ludzką spekuluje.

— Dosyć! — podniósł się od stołu Otto Gross. — Pójdź waść za mną, sprawę załatwimy w kantorze na dole. — Przechodząc koło małego, oparł rękę na jego jasnej głowinie i twarz mu się stała znowu łagodna i dobra. — Zostaniesz u mnie, mały, wyuczę cię rzeźby albo stolarki, nikt cię tu bić nie będzie i nigdy nie będziesz głodny, a wyrośniesz na porządnego człowieka, a nie na żebraka i włóczęgę.

— — — — — — — — — — —

Po odejściu Ottona Grossa chłopiec nagłym ruchem twarz ramieniem zasłonił i rozpłakał się.

— Nie płacz, dobrze ci u nas będzie.

Anna Gross oparła swoją małą, pulchną rękę na złotej głowie chłopięcia i przytuliła ją po macierzyńsku. Stara panna obejmowała swoim dobrym, miłości spragnionym sercem, wszystkie obce dzieci i była dla czeladników i chłopców warsztatowych brata jak gdyby macierz prawdziwa. Przychodzili do niej, zwierzali się ze swoich trosk i kłopotów, ona tak żywo przejmowała się każdym ich zmartwieniem, łagodziła spory, radziła i koiła. I teraz garnęła tego najmłodszego i najbiedniejszego, którego dziad rad był sprzedać, byle jak najdrożej.

A chłopiec, którego w życiu nikt tak nie przygarnął, który w krótkim swoim istnieniu znał tylko przekleństwa, narzekanie i kije, płakał teraz w objęciach starej panny z radości, że ktoś dobrym był i dla niego i ze smutku, iż mu z Dedalusem rozstać się przyjdzie.

— No, uspokójże się, dziecko, któż widział, mężczyzna nigdy nie powinien płakać, chociażby serce mu pękało. Lękasz się nas? Co?... No powiedz otwarcie.

— O nie... nie... nie... jeno... — spowiadało się dziecko, przytulając rozpaloną twarzyczkę do ucha starej panny. — Mnie

nikt nigdy nie przytulił tak i tak mi jakoś... i za dziadem mi żal trochę, a za Dedalusem to bardzo.

— Któż to Dedalus?

— Nasz pies.

— Wiesz co? To chodź na dół, pożegnasz się z nim, dobrze?

— — — — — — — — — — —

W kantorze położonym za sienią, obok warsztatów, Otto Gross podszedł do biurka, pęk kluczy wyjął i szufladę odemknął. Kose oczy starego głodnym spojrzeniem objęły rulony, w których spoczywało złoto i srebro. Sam próżniacze życie przekładał nad pracę, ale owoców pracy zazdrościł.

— Chłopak ma jakie papiery?

— Żadnych, kto się tam troszczy o dziecko komedianta, wolne jest jak ptak.

— Jak mu na imię?

— Witek, chciałem rzec Witold.

— Skądże mu takie imię?

— Ot, tak.

— Jakiego wyznania?

— Rzymsko-katolickiego podobno; zresztą... licho wie.

— Rodzice żyją?

— Nie, kupiłem go od cyganki, jako wam teraz sprzedaję.

Otto odliczył dziesięć talarów i rzucił staremu.

— Mało... mało, panie... Żywiłem go tyle lat, serce dla niego miałem ojcowskie, wnuka własnego nie-mógłbym więcej miłować, dołóżcie, panie.

Pogarda drgnęła wokół ust Ottona, dorzucił jeszcze talara, szufladę zamknął, bez słowa starego za ramię ujął i wskazał mu drzwi.

Chciał jeszcze coś rzec Piegonius, ale spojrzenie, które spotkał, zmroziło słowa nawet na jego wygadanych ustach. Uśmiechnął się więc złośliwie, przesadny ukłon oddając kupcowi i wyszedł mrucząc:

— Jak nie, to nie...

W chwilę potem szedł znów za Dedalusem, ciągnącym budę, a jego bystre, rozbiegane oczy śledziły uważnie ruch portowy. Nie obejrzał się nawet na dom Ottona Grossa, jeno Dedalus był niespokojny, przystawał co chwilę, oglądał się, skomlił cicho... czuł jeszcze może gorący pocałunek dziecięcych ust, które przylgnęły do jego czoła długo, długo... na pożegnanie... Może zrozumiał, że swojego młodego przyjaciela utracił.

— — — — — — — — — — —

Gdy Witek po raz pierwszy w życiu zasnął na prawdziwym posłaniu, mając dach nad głową, Anna Gross zeszła do kantoru i pochyliła się nad sprawdzającym rachunki bratem.

— Zdaje mi się, że to dobre dziecko, Ottonie.

Kupiec się uśmiechnął.

— Dzieci prawie zawsze mają w sobie zarody dobre i złe, wychowanie jedne rozwija, a drugie głuszy. Z naszych chłopców zawsze jakoś mamy pociechę...

— Bóg ci błogosławi, boś zbożne przedsięwziął dzieło, ratując dzieci bezdomne i dając im chleb, pracę i zasady uczciwe.

— Anno droga! — spojrzenie Ottona wybiegło w dal zmierzchnącego nieba i silna jego dłoń spoczęła pieszczotliwie na pulchnej ręce starej panny. — Odmówił nam Bóg własnej rodziny, zabrał moją Krystę umiłowaną, twój Bertold w świecie przepadł, toć stworzyliśmy sobie rodzinę pracy, nie mogąc mieć rodziny z krwi.

— Może jeszcze kiedy... młody jesteś jeszcze Ottonie, za młody, aby w bólu jeno trwać, może ci Bóg kobietę godną ześle... i naprawdę własną rodzinę — nieśmiało szeptała stara panna.

Otto wstrząsnął głową:

— Jać nie boleję... wiem, że kiedyś ujrzę ją znowu i nie odejdę już od niej, byle jeno życie dobrze przeżyć, byle Bogu i krajowi jak najwięcej z siebie dać. Raz jeno, wiosną, drzewina kwitnie. Anno...

Raz jeno wiosną...

O tak... serce starej panny też niegdyś miłowaniem biło, też miało swoją wiosnę, dawno, dawno... i poszedł Bertold w świat, do Włoch kędyś i słuch o nim przepadł... a potem mówili ludzie, że się za morzami ożenił, kościoły cudne stawiał, miłość miał i sławę... Ucieszyła się wtedy... i modliła się odtąd zawsze, by mu Bóg to szczęście zachował, ale dla niej nie zakwitnęły już drzewa po raz drugi...

Uśmiechnął się Otton i rękę siostry ujął:

— A czyż to z naszych chłopaków nie mało mamy pociechy? Przygarniamy, chowamy na ludzi, idą w świat i dobre o nich przychodzą wieści i wdzięczne słowa. Synowie to są naszej myśli, naszej pracy, naszego ducha, a było ich z tuzin, a gdy Bóg da, to z tuzin jeszcze będzie, zanim miniemy.

ROZDZIAŁ VI.

Burza.

— Pojedziesz dziś ze mną, pięć łodzi nas jedzie na otwarte morze, na całą noc i postanowiłem, byś i ty zaczął już rybackie rzemiosło. Bo i komuż ostawię kiedyś statki rybackie i łódź, jeżeli nie tobie, synu?...

Stary Mrąwa czekał wybuchu radości, chłopiec jednak w milczeniu zaganiał krowy do obory, a jego ciemna smagła twarzyczka nie miała śladu uśmiechu. Gdy zbierali dziś z Magdą muszle po wydmach, nadszedł Marcin Rybitwa i opowiadał im o morzu rzeczy cudne i straszne zarazem. Hej! dalekie on kraje widział, wody dalekie, nurkować umiał sławnie za młodu i na dno dotrzeć potrafił i widział tam zaczarowany świat, ciemnozielone mchy, drzewa jakieś smukłe o rozstrzępionych konarach, to jako wierzby płaczące, owisłe, zda się silne i pełne życia, a gdyś ręką tchnął, to chwiały się jak z galarety, a gdyś nad wodę

z sobą wyciągnął, to garstkę oślizgłego, zielonego błota trzymałeś w dłoni. I były tam na dnie kwiaty przedziwne od najbledszego różu do ognistej purpury, żałobnego fioletu: kwiaty bujne, jakich nie ma na ziemi, ale gdyś je z sobą wziął, to trzymałeś garstkę jak gdyby flaków szarych, bezbarwnych, wstrętnych, które na gorącu cuchnęły niedługo, jak nieświeże mięso. I widział tam rozgwiazdy lśniące, jak gdyby lampki umieszczone w toni, i ryby przesuwające się w otchłani ciemnej, jak świetlne smugi. I opowiadał o korzeniach, które raz znalazł, a wokół których oplotły się jakieś dziwne rośliny... I za nim te rośliny wyciągały nagle wydłużające się ramiona i on czuł już na nodze śmiertelnie silny oplot takiego ramienia i łaskoczący rwący ból... Miał nóż przy sobie, odciął, odpadło zaraz, jak uwiędły liść.

A Stach myślał, że tam, gdzieś na dnie, w tym baśniowym kraju, spoczęli jego kochani, że i ich gasnące oczy widziały cuda morskiego dna, i morze samo wydało mu się smutne i tajemnicze... jak grób.

A potem Marcin Rybitwa opowiadał im o widmie statku, który czasem ukazuje się żeglarzom, gdy okręt ma spotkać nieszczęście. Sam go nie widział, ale opowiadał mu jeden, co tylko cudem uszedł śmierci. Z daleka zda się okręt prawdziwy, żagle ma i ludzi u wioseł i latarnie zapalone rzucają długie, zielonawe smugi na wodę, ale taka groza dziwna idzie od tego statku, iż serce przestaje bić i pot oblewa człowieka. A cisza jest wtedy, morze czarne się staje i martwe, wiatr milknie, a on okręt żałobny płynie z szybkością niezwykłą i flagę ma spuszczoną w pół masztu. A gdy mija, to widać twarze zastygłe, martwe, twarze ludzi, na których rękę położyła śmierć. I śmierć niosą ci tajemniczy żeglarze, bo okręt, który się z nimi spotkał, nie dobije do żadnego więcej portu na ziemi.

— Czy to prawda... — myślał Stach — czy jeno baśń!

Ale w oczach Marcina, w starych, przygasłych, w dal wpatrzonych oczach, było coś równie niesamowitego, jak i w jego

opowiadaniach. On ponoć czasem przyszłość widzi, ma dar „drugiego wzroku" i gdy rzeknie rybakom: „nie jedźcie dziś na morze", to żaden nie wyruszyłby, chociażby kazał sam król, bo wtedy Marcin „coś" widział. Nie powie stary, co, przyjdzie jeno do chałup i wyciągając swój chudy, żylasty palec, mówi cicho: „nie jedźcie". A w jego głosie jest prośba i rozkaz, niesamowity dźwięk, co po plecach przechodzi dreszczem grozy.

Dawniej, bardzo nieraz pragnął Stach jechać z Mrągą na nocny połów, ale odkąd wie, że tam w głębinie spoczęli jego rodzice, kocha morze i lęka się go.

Przezwycięża się jednak, bo wie, że jego niechęć do rybackiego zawodu boleśnie dotknęłaby Tomasza, więc zagnawszy krowy, całuje silną, spękaną rękę rybaka i zdobywa się nawet na uśmiech.

— Dziękuję, ojcze.

— Będziesz kiedyś kochał morze, zobaczysz...

Czas schodzi szybko na przygotowaniach do połowu, a nagle Mrąga z dumą podaje Stachowi jakiś węzełek, jest tam całe w Gdańsku kupione ubranie rybackie.

Nie byłby Stach chłopcem, gdyby radośnie nie wezbrało mu serce, będzie ubrany jak dorosły, zaimponuje innym podrostkom z osady. Ubiera się szybko i wypada z izby, bo chciałby się pokazać Magdusi, widzi ją z daleka, dziewczyna siedzi nad rzeką, krasi się tam jej czerwona spódniczka, nogi spuściła do wody: bim-bam, bim-bam, a fale się rozbiegają, za każdym uderzeniem rozpryskują wysoko i deszczem tęczowych kropel opadają z powrotem.

Pozna, czy nie pozna? — myśli Stach i idzie ku niej wolno, naśladując kaczkowaty chód starych marynarzy, próbuje nawet spluwać przez zęby, bardzo daleko i bardzo energicznie, ale wraz wstaje w nim jakaś niechęć do tej zabawy, jest w jego naturze umiłowanie piękna i razi go wszelka brzydota. Wygląda zresztą ogromnie zabawnie w szerokich spodniach i skórzanej

czapce i Magda też ujrzawszy go wybucha śmiechem, który rozlega się hen, daleko, po wiślanych łęgach.

— Przestańże głupia! — irytuje się Stach, ale równocześnie przypomina sobie, że dorośli rybacy nie dają się byle czym wyprowadzić z równowagi, więc zagłębia ręce w kieszeniach, wlatują mu aż gdzieś po łokcie i oznajmia uroczyście: — Jadę z ojcem na ryby, na pełne morze, na całą noc. I będę rybakiem, jak ojciec, wiesz? Ojciec zostawi mi kiedyś łódź i sieci, a teraz jestem już dorosły... zupełnie dorosły — zapewniał z naciskiem, widząc szelmowskie, roześmiane oczy dziewczynki.

— O, ci dorosły! A w ubranie to by dwóch twojej miary wlazło, jej... jakie te porcięta śmieszne, wiszą jak na patyku.

— Magda! Żebyś nie była dziewczyną, to bym cię sprał.

— Ale! ale! — podryguje dziewczynina, obiegając go w krąg, i drobnymi, chudymi paluszkami naśladuje skrobanie marchewki. — Ale! ale! złapże mnie wpierw, ty, dorosły!

Hej! jakby się Stach za nią puścił, za płowy warkocz ułapił, wytarmosił należycie, ale dorosłemu nie wypada, więc odwraca się i wolno odchodzi, pogardliwie kiwnąwszy głową i odąwszy usta. Jeno na pożegnanie rzuca akurat tak samo, jak sąsiad Hir, gdy się z żoną pokłóci:

— At z babami! Kto by zaś ładu doszedł. Kara Boska na ludzi i tyle!

— Smarkacz! — wyrywa się oburzonej Magdusi.

Tego by już święty nie wytrzymał: — myśli Stach i w jednym mgnieniu z bijących się dzieci tworzy się piszcząca, śmiejąca, wrzeszcząca kula.

— Stach... puśćże już, bo ledwo zipię... Jezu! moje włosy...

— Odwołasz?

— Zaraz!

— No?

— No! — Dziewczynina wyrwała warkocze z rąk chłopca, i frunęła jak motyl wzdłuż wiślanego brzegu.

O, ty!

Stach rzucił się za nią, zawadzało mu jednak duże ubranie i ciężkie ciżmy, zawadził kędyś o kamień i buchnął jak długi.

— Ha! ha! ha! — śmiała się dziewczynka, ale wlot znalazła się przy nim z minką nagle zatroskaną: — Nie zrobiłeś sobie nic złego?

— Nie, o kamień jeno rękę otarłem, nic to. A ty żałujesz? Bo jak nie odwołasz, wiesz? to kwita z przyjacielstwem, już ci nigdy muszli nie uzbieram, ani nic...

— Kiedy bo...

— No?

— Strasznieś śmieszny...

— To się śmiej... kozo.

— Gniewasz się?

— Nie...

— Stachu, chodź ino, a żywo — nawoływał stary Mrąwa, więc Stach pognał przez pole, rzuciwszy na odchodnym:

— Wiesz, jak rybakiem zostanę, to się z tobą ożenię.

— Wielka mi łaska.

Magda wróciła do przerwanej roboty i znowu kopała nogami wiślane fale.

— — — — — — — — — — —

Zachodziło słońce, gdy łodzie odbiły od brzegu. Stach robił wiosłami, bo wiatr był słaby, a jego roześmiane oczy śledziły grę obłoków, tak lubił śledzić bieg i te postacie różne, co się z nich tworzyły. Czasem dostrzegał w ich rozwianych kształtach osoby jakieś, czasem zamki potężne, chwilami łodzie, mknące kędyś z wichurą. Ot i teraz zaróżowiony zachodni obłok biały, wygląda jak kundel rozszczekany, taką ci widać straszną, szeroką otwartą paszczę, a ot, główna część paszczy nabrzmiała nagle, zrobiła się z niej główka, i z kundla dzieweczka, biegnąca kędyś, z ramionkami wyciągniętymi, w słoneczną dal, aż tu główka rośnie, rośnie i tworzy się z niej łódź z rozpiętym ża-

glem, oderwała się od korpusu i płynie, a z korpusu zrobiła się jak gdyby gromada jagniąt białych i pognała za nią.

Rybacy milczą, łodzie mają po sześciu ludzi załogi, ale wszystko to ludzie nieskorzy do mówienia, żują tabakę, przesuwając ją z jednej strony ust na drugą i spluwając od czasu do czasu w morze.

Stracili wreszcie zupełnie z oczu linię wybrzeży, został jeno bezmiar wody i nieba, mrok zaczął zapadać, chłód szedł od wody i słony, wilgotny dech, a jednak parno i duszno było w powietrzu.

Stach pierwszy raz był tak daleko na morzu, zarzucono sieci, zapalono pochodnie, czerwony blask oblał twarze rybaków, i rzucił smugi świetlane w wodę.

Cisza, jeno morze gwarzy, bulgocze, szepcze, czasem ryba łukiem lśniącym pluśnie nad falą.

A teraz morze jakieś ciche się staje i martwe, ledwie znać grę drobnych fal.

— Burza będzie, czy co?... Taka cisza to zły znak.

Podnieśli sieci, ryby się w nich kłębiły, świecąc srebrem podbrzuszy. Tyle ich było; wyrzucili je na pokład, teraz i Stach był czynny, — drobne wyrzucano z powrotem w morze, grubsze sztuki wrzucano do napełnionych wodą beczek. Robota szła żwawo, chociaż ryby śliskie i zwinne wysuwały się z rąk, pluskały po pokładzie, usiłowały śmiałym rzutem wodę i wolność osiągnąć.

Na niebie robiło się tymczasem ciemniej i ciemniej, wypełzały z krańców horyzontu chmur czarne zwały, księżyc jeszcze świecił, jeszcze jego srebrny blask drżał na falach, ale woda była czarna, dziwnie spokojna, jak gdyby w bezruchu oczekiwania ostygła.

— Ot, jednak lepiej będzie ku domowi sterować, bo burza będzie...

Mrąwa bystro na niebo spojrzał, na te chmury, lecące z chyżością ptaków i na morze martwe i ciche.

— Zostawcie ryby i do wioseł! nie zarzucać sieci, dobrze jak przed burzą brzeg osiągniemy.

— Hej! ho! wracamy!

— Hej! ho... do brzegu.

Nawoływanie szło od łodzi do łodzi i żałosnym echem konało w falach.

— Szkoda ryb, idą jak nigdy, — westchnął bogaty Szymon Kotyrba, który zawsze bardzo był zachłanny na grosz.

— Lepiej wracać, bo mógłbyś i ty dostać się do ryb, zamiast ryby do ciebie. Widzisz, jakie morze ciche, a jak ono ciche, to cosik knuje... Niedobra taka cisza.

— A machajcie, chłopcy, żwawo wiosłami.

— Strach popędzi, — żartował Hir.

Potężny był wysiłek ramion, ale nie dopomagał wiatr i łodzie szły wolno, znacząc za sobą na wodzie szeroką, srebrną smugę.

— Ty, Stachu, z rybami dalej rób, — nakazał Mrąwa. — Przy wiosłach niewielka z ciebie pomoc.

— Pocoście go brali? — mruknął Hir niechętnie. — Syn rozbitka, takich morze nie lubi, będzie jeszcze nieszczęście jakie.

Nastało milczenie, nagle księżyc zniknął w zwałach ciężkich chmur, i coś jak szum, jęk, śmiech, gwizd, przeleciał nad senną falą, w jednej chwili zwichrzyło ją, spieniło, skłębiło. Nadlatywał wiatr.

— Wiatr za nami — ucieszył się Mrąwa.

Gdzieś daleko ogień błyskawic rozpalał niebo i raz wraz widać było zygzakowate linie piorunów... Cudny to był widok, ale była w nim i groza bezmierna. Potężna fala wiatru dopadła łodzi, porwała ją, wyrzuciła na wierzch spienionej fali, zepchnęła w dół. Morze szalało. Teraz już na nic by się nie przydał wysiłek ramion, teraz wszystkim rządził Bóg i los.

Stach przytulił się do rei; niespokojnymi, pełnymi trwogi, ale i zachwytu pełnymi oczami śledząc burzę.

Zimne, upiorne światło błyskawicy, jak gdyby znakiem krzyża rozcinało chmury i widać było wtedy straszne, spienione kotłowisko fal, i pięć łodzi gnanych, niesionych wichrem, lecących w dal, znikających wśród potężnych fal, by za chwilę pojawić się znowu wśród grzywy pian. Ryk gromów nie milknął już prawie, bo fala podawała go fali echem nieskończonym, a wicher gwizdał, płakał, przechodził w szatański chichot, to znowu w skardze żałosnej zamierał, konał w jęku bolesnym, by wybuchnąć po chwili wzmożoną potęgą.

Zginiemy, — myślał Stach, i ręce splótł, modląc się drgającymi ustami, rybacy też już dawno porzucili wiosła, trzymając się jeno kurczowo brzegów łodzi, by ich nie zmiotła wichura, nie spłukała fala. Mrąwa jednym ramieniem otoczył chłopca, drugim trzymał się łodzi... znać i on się modlił, bo Stach widział w błyskawicy blasku, jako usta mu drgały...

I przypomniał sobie Stach różne, drobne grzechy codzienne, czy mu je daruje Bóg? Jak też to tam będzie? Jakie uczucia ma się w chwili śmierci? Czy to bardzo boli? Czy swoich zobaczy? O Boże! Boże! Strasznie mu życia żal, tak nic jeszcze nie widział, prócz morza i krów gromadzkich... nic, a tak go ciągnął świat.

Aleć już widać brzeg! Jezusie! I słabe światło latarni, jak gwiazda zbawcza przyświeca z daleka... Jeno jeszcze chwila... jeszcze chwila, byle jeno wiatr kierunku nie zmienił.

Znowu błyskawica... o Boże... jedna łódź... trzy ich jeno widzi, a czwarta?

— Wiatr się obrócił!... — słyszy nagle głos Mrąwy, i oto lecą znów ku pełnemu morzu, a światło zbawczej latarni mniejsze się robi... już jeno jak punkcik świetlany, jak robaczek świętojański świeci w oddali.

— Czy musimy zginąć, tatusiu?

— Wola Boska...

Nagle chwila ciszy, wiatr zatrzymał się, jak gdyby nabrać chciał świeżego tchu i oto tuż obok dojrzał Stach obłąkaną lękiem twarz Hira i słyszy jego ochrypły, gardłowy głos:

— Przez tego bębna giniemy... wrzucić go do wody i już! Zobaczycie, że się morze uspokoi...

— Do wody z nim! — krzyczy Kotyrba, usiłując przekrzyczeć ryk fal i huk gromów.

I Stach widzi ręce wyciągające się ku niemu... zbrodnicze ręce.

— Wara mi od dziecka, bo wiosłem bez łeb zdzielę każdego, co mi się śmie go tknąć!

Mrąwa rozparł się kolanami, w potężnych rękach wiosło wzniósł do ciosu, a Stach jedną ręką łodzi się trzymał, a drugą zawinął koło ojcowskiej kurty, bo się lęka, że zmiecie mu go fala.

A wiatr łódź rzuca, słoną pianą obryzguje twarze.

Modli się Stach, modli się całą duszą, a oczy zamknął, żeby już nic nie widzieć...

Wiatr znowu zmienił kierunek i rzucił łódź ku brzegowi.

Mijają chwile, czy wieki, upłynęła minuta, czy doba cała. Bóg jeden wie, chłopiec czeka, że lada chwila ręce tych ludzi go porwą i rzucą w głąb, w tę straszną, rozszalałą topiel.

— — — — — — — — — — —

A tam na brzegu kobiety klęczą, wicher rozwiewa chusty i spódnice, targa długą, siwą brodą Marcina Rybitwy... Nie dbają, że deszcz, grzmoty, burza, rozszerzone niepokojem oczy wytężyły w dal, w czarną noc, czekając błyskawicy. Z rykiem gromów i fal miesza się litania, powtarzana spiżowym głosem starca i rozełkanym chórem głosów kobiecych:

„Matko najczystsza...
Módl się za nami.
Matko najśliczniejsza...
Módl się za nami".

Łka rozpaczliwie młoda żona Antka Garbonia.

Czerwony blask rozpalonych żagwi smolnych, które płonąc sypie w morze tysiące żarnych łez, rzuca refleks na twarze kobiece, zamarłe w oczekiwaniu, i na wysoką, pochyloną postać Marcina Rybitwy, którego starcze oczy nie straciły nic z dawnej bystrości.

I on pierwszy dojrzał pięć punktów w oddali, niesionych wichurą.

— Wracają!

— Boże!

— Czy wszyscy?

— Nie zdołałem policzyć...

I znów trwożne oczekiwanie na promień światła zza nawały chmur. Czasem, gdy wiatr na chwilę przycichnie, gdy między hukiem gromów, a rozszalałego morza głosami, pochwyci się chwilę cichszą, to słychać głośną modlitwę rybaczek. W pokorze poddają się wyrokowi nieba, taki już los, rybaka śmierć zazwyczaj na morzu porywa, dziś wesół jest i plany na jutro układa, a jutro wniosą go do chaty, napęczniałego wodą topielca, albo też go już nigdy więcej nie odda morza głąb.

Nareszcie błękitny błysk.

— Pięć łodzi.

— Wszyscy...

— O Boże, dzięki ci.

— O Boże miłosierdzia, żeby jeno dobili szczęśliwie.

I nagle ochrypły wzruszeniem głos Marcina:

— Wiatr ich ku morzu gna... módlmy się, w Bogu jeno nadzieja.

— Nie widać ich...

— Pognało na morze...

— O Królowo Anielska.

— Módl się za nami.

— Królowo Patriarchów.

— Módl się za nami.

Błysk...

— Cztery jeno widać... tam, hen daleko... coraz to dalej...

— A piąta?

— O Matko Boga.

Są już może między nimi wdowy, są sieroty, jeden lęk jest w nich wszystkich i jeden ból, jak gdyby nagle siostrami się sobie stały, i modlą się dalej, głosami łamiącymi się od łkań.

— Wiatr mają znowu za sobą... — I po chwili, gdy nowa błyskawica rozświetla morze i niebo: — Są, pięć łodzi... pięć... wszyscy!

W jakiś czas potem są już blisko, blisko; zręczna i pewna, mimo starości ręka Marcina Rybitwy zarzuca liny.

— Wszyscy jesteście?

— Antka Garbonia spłukała fala...

— O Jezu! Jezu!

— — — — — — — — — — —

Mrąwa ma jechać do Gdańska, aby zawieźć do Mariackiego kościoła grube świece woskowe w podziękowaniu za ocalenie i małą łódeczkę ze srebra, na której kupno złożyli się wszyscy, zawiesić u ołtarza.

Od onej nocy popsuło się coś w zgodnym życiu rybaków, Hir chodzi bokami i Kotyrba wieczorami na fajkę nie zachodzi, znać wstyd im. Antka Garbonia na drugi dzień wyrzuciła woda. Przynieśli go do jego chaty; martwy, cichy, obcy, leżał na marach w pośrodku izby, nie zbudził go bezgłośny szloch matki, ani rozdzierający krzyk młodej żony, ni dziecka kwilenie żałosne.

Stach długo patrzył na martwe zwłoki rybaka, i jakieś postanowienie dojrzewało w nim w czyn.

A gdy poznosili do chaty Mrąwów świece woskowe, grube świece dziękczynne, Tomasz zaczął się przyodziewać do drogi, Stach zaś upadł mu do nóg, i błagał:

— Ojcze! ojcze! dajcie mnie rzemiosła jakiego wyuczyć, a ja już na morze nie pojadę z wami.

Matka Katarzyna przypadła do niego:

— Przez tę burzę, a wstydź się, wstydź, każdy rybak musi przez to przejść.

Ale Mrąwa rzekł cicho, a mocno:

— Chłopak ma słuszność, pojedziesz ze mną do Gdańska, do księdza przeora cię zaprowadzę, on światły, mądry, najlepiej doradzi. Smutno nam będzie starym bez ciebie, aleć Gdańsk blisko i serca do nas nie stracisz... prawda, synaczku?

— Nigdy, ojcze.

— Nie chcesz być rybakiem? — nie mogła się jednak wstrzymać od pytania, Katarzyna.

— O mamo...

Chłopak urwał, na ojca spojrzał, po smagłej twarzyczce przesunęła się łuna rumieńca, nie chciał zdradzić zabobonnej trwogi rybaków, ni ich zbrodniczych zamysłów, wszakże wśród nich wzrósł.

— Ot, strach ich opętał — wytłumaczył mu wtedy Tomasz Mrąwa i dodał: — złe zawdy zapominać ludziom należy, a jeno dobre pamiętać, to wtedy lżej żyć. Im i tak wstyd. Przebacz im, i nie miej do nich żalu i z nikim o tym nie mów... dobrze?

Więc pragnął zapomnieć i nawet Magdzie się nie zwierzył z przejścia onej nocy, jeno do morza serce stracił zupełnie.

— Trudno dziecku odmienić krew, — mówił Mrąwa, — nie na rybaka znać urodzony, nie lgnie do morza, chociaż nad nim wzrósł. I morze też czuje, że to nie swój człowiek i broni swoich ryb, stary jestem, a nie pamiętam takiej burzy, jak ta ostatnia, lada chwila wszyscy mogliśmy pójść na dno. I Marcin Rybitwa rzekł mi onegdaj: — twój chłopak niech nie będzie rybakiem. Żal mi jeno, że kiedyś sieci po mnie zostaną i dobre imię rybackie bez dziedzica, aleć trudno... trudno. Przyodziewek mu daj lepszy ze skrzyni, koszulę, bochen chleba i boczek wędzony do węzełka, bo jak dobrze pójdzie, toć już może i w Gdańsku ostanie.

Poszła do komory Katarzyna, jako kazał mąż, ale tam na skrzyni z mąką przysiadła, twarz w dłoniach ukryła, a przez palce pociekły łzy.

Ot i pójdzie w świat jej Staszek, pójdzie między ludzi, Bóg jeden wie, na jaką dolę.

— Matulu umiłowana, nie płaczcie — objęły ją nagle chłopięce ramiona, gorące usta przywarły do jej rąk: — Matulu, przyjdę w niedzielę, w targ się zobaczymy, toć często jesteście na targu.

— Czemu to, synku, tak jest, że z gniazd odlatują młode? Pewno, żeby się człowiek zbytnio do życia nie przywiązał i śmierci nie lękał. Hej! radosneż to były dni, gdyś mi się za spódnicę trzymał, i kajem się ruszyła, lazł za mną. Skarb taki... Ot i minęły.

— Matko! matko! zładuj mu tam ten węzełek, bo jechać czas, — nawoływał z izby Tomasz.

Więc przytuliła chłopca raz jeszcze gorąco.

— Niech ci tam we świecie Bóg błogosławi, dziecino ty moja dobra, wiary ojców pilnuj, bo w Gdańsku lutry, chociaż dobre ludzie, ale w błędzie żyjące. A kłamstwa się strzeż i brzydź, syneczku.

ROZDZIAŁ VII.

U mistrza Grossa.

Ksiądz przeor poradził, by Stacha do Ottona Grossa oddać na naukę, jego zakład rzeźbiarski słynął daleko. Wykonywano w jego warsztacie bogate sufity, z czarnego dębu, intarsje do szaf, stołów i foteli, poręcze kręconych schodów, szło to do Wenecji, Holandii, Szwecji, a po falach Wisły w głąb kraju do Warszawy i Krakowa. Bo gdy na targi gdańskie zjeżdżała szlachta, a za nią ciężko ładowne szkuty i galary wiozły psze-

nicę, bydło wypasione, skóry, to z powrotem każdy coś zakupił w wytwórniach gdańskich dla ozdoby codziennego gniazda, tym bardziej, że roboty gdańskich rzemieślników tak były piękne i wytworne, iż przewyższały nieraz prace zagranicą wykonane, znacznie zaś były tańsze. Otto Gross należał do tych niewielu synów Gdańska, co wierni pozostali rzymsko-katolickiemu Kościołowi, a przy tym był to człowiek dobry, przygarniał i chował na ludzi sieroty, i on i jego czeladź tworzyli jak gdyby jedną, ściśle połączoną rodzinę.

Napisał więc przeor list i woskiem przypieczętował, szły za jego gęsim piórem ciekawe, bystre oczy Stacha, podziwiając te literki drobne, starannie kreślone, w których człowiek mógł uwięzić i zamknąć myśl. Uśmiechnął się przeor i zasypując piaskiem pisanie, rzekł:

— U mistrza Grossa i ty się sztuki pisania nauczysz, bo on co wieczora czeladników swoich w piśmie i czytaniu ćwiczy, jako że mówi, iż w kupieckim rzemiośle księgi są konieczne, bo pamięć nie wszystko zatrzyma, a dowodów nieraz trzeba, boć różni są ludzie.

Otto Gross był w swoim kantorze na dole, pochylony nad stołem, rysował projekt bogato rzeźbionych odrzwi, gdy opasła Guta wpuściła Mrawę i Stacha.

Kupiec list przeczytał, na chwilę zbiegły się ciemne brwi, tworząc poprzeczną bróżdę, spojrzał uważnie na chłopca, na jego smagłą twarzyczkę i obcego typu urodę i dłoń do starego rybaka wyciągnął:

— Dobrze, ojcze, a nie bójcie się o waszego chłopaka, moi czeladnicy są dla mnie, jak gdyby moje własne dzieci. Co trzecią niedzielę możecie go zabrać o świtaniu, a przywieźć wieczorem, częściej nie, bo w niedziele czytamy zazwyczaj razem, starsi chłopcy do Mszy św. służą, a młodsi śpiewają u Dominikanów na chórze. Do rzeźby masz ochotę? — zwrócił się do Stacha.

Chłopiec nieśmiało wyciągnął z kieszeni swoje trzy naj-

piękniejsze łyżki, były zgrabnie z drzewa kozikiem wystrugane, a trzon miały rzeźbiony w liście.

— Wcale udatne, — pochwalił Otto, oglądnąwszy je uważnie. — Jeno ochotę miej do pracy i wytrwałość, a da Bóg, niejeden dom Boży i ludzki przyozdobi twoja ręka. Bo widzisz, nikt się nie urodził od razu wielkim człowiekiem, każdy od maleńkiego zaczynał, wielki malarz — od krzywej kreski, wielki rzeźbiarz — może od takiej łyżki kozikiem wyrżniętej, a dopiero wytrwałość i praca sprawiły, iż otrzymawszy od Boga dar talentu, potrafili nie zmarnować go, jeno rozwinąć.

— A dopraszam się łaski jegomościa, wiele też za naukę zapłacić będzie trzeba? — pytał nieśmiało Mrąwa.

Kupiec się roześmiał.

— Za naukę to on sam kiedyś odpłaci robotą, u mnie jest, dziękować Bogu, dość chleba. Nie dziękujcie ojcze, — przerwał żywo, bo mu się stary do ręki pochylił. — Nad sierotami Bóg czuwa, a za sieroty Bóg płaci. Dajcież i mnie coś u Pana Boga zarobić. No, a może zobaczyć chcecie, gdzie wasz chłopiec będzie pracował? Chodźcież za mną.

Od podwórza domu był warsztat obszerny, jasny. Robotnicy zajęci byli właśnie rzeźbą sufitowych kasetonów w czarnym dębie, jeden rysował, drugi wzór z grubsza wycinał, trzeci wykończał, a w końcu jeden z podmajstrzych, gdy zaś była robota najważniejsza, sam mistrz Otto nadawał rzemieślniczej robocie czeladników owe śmiałe linie, silnie pogłębione wnęki, owe delikatne dotknięcia, które nadawały jej piętno artystyczne.

Dwóch młodszych czeladników toczyło nogi do szaf, a Kummerstel wycinał z cieniutkich kolorowych deseczek ornamenty, które potem pod jego zręczną ręką łączyły się, tworząc przepiękną ozdobę jakiejś dużej, dębowej kasety. Ta robota najbardziej przykuła uwagę Stacha, tak szybko, śmiało, pewnie, cieniuchna piłka w olbrzymich rękach Kummerstela biegła po linii rysunku, wycinając fragmenty wzoru.

Jeden bok kasety był już wykończony, rozmaite kolory drzewa tworzyły tam ornament tak drobiazgowo wykończony i tak piękny, iż nikt by nie przypuszczał, że wyszedł on spod niedźwiedzich łap Wolfa Kummerstela.

Nagle przy stole stanął chłopczyna w wieku Stacha i zaczął drugi bok kasety powlekać klejem, a Wolf Kummerstel nakładał szybko wycinanki drzewne, tworząc z nich wzór.

Oczy Stacha rozwarły się szeroko zdziwieniem, w małym, wątłym chłopczynie poznał bowiem linoskoczka z targowego placu.

Skądże by się ten tu wziął?

Ale właśnie „mały komediant" podniósł spuszczone dotąd oczy, i przyjazny uśmiech ożywił jego bladą twarzyczkę.

— Jak się masz?

— Dobrze, a ty skąd się tu wziąłeś?

— Od dwóch niedziel jestem tu w warsztacie i już się na coś przydam.

— Tak, chętny jesteś bardzo, — przyświadczył Wolf Kummerstel, — jeno zda mi się mistrzu, że trza będzie tego małego pani Annie jeszcze oddać, boć to wątłe i kaszle czegoś.

W oczach Witka rozbłysły łzy, nie miał wcale ochoty iść „babom do pomocy".

— O nie, proszę jegomości, tylko ja zawsze kaszlę, z dawna, nie dopiero teraz, to z tego, żeśmy w zimie tak w polu sypiali w naszej budzie. Ale teraz, odkąd mi jejmość te kwiatki lipowe gotuje, to mnie już nic w piersiach nie boli.

— O co ci chodzi? — uśmiechnął się Otto, kładąc rękę na jasnej główce chłopięcia. — Przez lato milej w ogrodzie, niż w warsztacie, będziesz z jejmością Anną i Gutą grzędy plewił, polewał, a pod jesień, jak wzmocniejesz, to do warsztatu staniesz. Źle ci to będzie? — Co? Wiecie, — do czeladników się zwrócił, — że i nasza robota zdaje się ulegnie zmianie: Szwedzi wylądowali na Pomorzu, jutro ma być walne posiedzenie rady miejskiej, jako że od szwedzkiego króla przybył do Gdańska wy-

słaniec, niejaki Koch, z wezwaniem, aby miasto przeszło na szwedzką stronę.

Stanęła praca, chłopcy otoczyli mistrza, ciekawe, rozbłysłe ogniem oczy zawisły na ustach Ottona Grossa.

— I cóż?

— Jutro będzie posiedzenie pełnej rady i odpowiedź się królowi szwedzkiemu da... — W szarych oczach Ottona Grossa przewinął się błysk dumy. — Nie byle jaką odpowiedź, chłopięta moje! Radzili my nad nią dzisiaj całą noc i jutro pewnie zatwierdzi ją rada. Aleć spoczną warsztaty, bo was, starszych, do wojska zabiorą, a młodzi będą też koło szańców pracować w miarę sił.

— Nic to, by jeno Bóg dał zwycięstwo!

— Z dobrą sprawą zawdy jest Bóg... Gdańsk potrafi wytrwać wiernie Polsce i jej królowi, bo kupiec zawsze powinien dotrzymać danego słowa. Zresztą, alboż z Polski nie przychodzi do nas dobrobyt? Alboż nie jesteśmy jako jej wierzeje, tu od strony morza. Myśmy jej konieczni, a ona nam. I choćby całą Polskę zalały wojska szwedzkie, my się ostaniemy wiernie i będziemy jej bronić i dostępu do morza wrogowi nie damy.

— A jeżeli, jak mówi król szwedzki, ma w Polsce najpierwsze rody za sobą, jeżeli polską przywdzieje koronę? — pytał Wolf Kummerstel.

— I my wtedy w Karolu Gustawie polskiego uznamy króla, boć Polsce i jej królowi, a nie specjalnie Janowi Kazimierzowi wierność ślubowaliśmy. Aleć nie najazd rozgrywa, jeno wola narodu, najezdnikowi Gdańsk się oprzeć potrafi, wolę narodu uszanować również zdoła, — dorzucił Otto Gross, a stary Kaszuba rzekł nieśmiało z początku, a z naciskiem siły w ostatnich zdaniach:

— Dyć, proszę jegomościa, koło Gdańska wszędzie sami Polacy mieszkali; my tu i ojcowie nasi od najdawniejszych czasów, toć polska ziemia i polski naród dla Kaszuba, to jak polski ojciec,

polska matka... a w Gdańsku cały biedniejszy naród to też Polacy... więc się i ta ziemia z prawa Polsce przynależy.

— Tak, a my wprawdzie z obcych stron jesteśmy, aleć już między wami od setek lat, dolę i niedolę znosiliśmy razem niejedną i powinniśmy się kochać jak bracia, co wprawdzie nie z jednego ojca są, ale się u jednej chowają macierzy...

— Oj, mój jegomości, gdyby to wszystkie Niemce myślały tak, jak wy... aleć... — Mrąwa urwał.

— Niemcy może różnie myślą, ojcze, ale Gdańszczanie podobnie, jako ja, — zakończył Otto, a potem zwracając się do chłopców, dorzucił: — Posłuchajcie-no dzieci, boć Szweda jeszcze u nas nie ma, a robota już stoi. Czas to pieniądz. A ty Stachu, z nowymi kolegami się zapoznasz po wieczerzy, jutro ci już robotę jaką ważną wynajdziemy, ot uprzątniesz warsztat na początek, a dziś, niech ci Witek pokaże, gdzie sypiacie, zostawisz tam twój tobołek. Połóż Witek klej, rozstaniesz się z nim i z warsztatem do jesieni, cóż to? Beczysz? Toś ty mazgajski.

Rozrzewniony chłopiec chował się za Wolfa Kummerstela, a ten mu szeptał półgłosem:

— No, no, Witek, przecież i tak będziesz z nami, a jak będziesz grzeczny i posłuszny, to ci zrobię z odpadków coś ładnego. Taką malutką skrzyneczkę, dobrze?

— Dla mnie? naprawdę dla mnie?

— No... — po twarzy olbrzymiego Wolfa przesunął się dobry uśmiech. — Zamkniesz tam sobie twoje skarby, twoje dzwoneczki i Dedalusową sierść.

Stach tymczasem Mrąwie do spracowanych rąk przypadł, rybak mu na czole krzyż naznaczył, a usta zadrgały mu, jak gdyby gryzł coś bardzo gorzkiego.

— Da Pan Bóg, zobaczymy się w targ, bo tu matka, albo ja do ciebie zaglądniemy i przyodziewek tobie przyniesiemy. Ostańże z Bogiem, chłopcze, i ucz się pilnie.

W chwilę potem „mały komediant“ wiódł swego niezmiernie zdziwionego towarzysza przez wspaniałe wnętrze domu, hen, wysoko aż na piąte piętro, gdzie były sypialnie czeladników i chłopców.

Pokoje były jasne, wysokie, o szerokich oknach, dających wiele światła, posłania schludne, w środku każdej izby duży stół, otoczony stołkami.

— Tu widzisz, prawda, że przyjemnie?... Tak czyściutko, każdy ma swoje posłanie, swoją pościel, swój kuferek, zaraz ci tu jeszcze panna Anna i twój wstawić każe.

— Kiedy ja żadnego nie mam.

— Dadzą ci i bluzę robotniczą i ubranie od święta, dobrze nam tu jest wszystkim, że i w niebie nie może być chyba lepiej. Jejmość Anna taka o wszystkich troskliwa, taka dobra. W lecie dwa razy w tygodniu wszyscy po robocie, z prowiantami wyruszamy pod Biskupią górę, to już pomagać jejmości w ogrodzie, podlewać, owoce zbierać, jest ci też wtedy uciechy, jest. Co się nagonimy, nabroimy, ile śmiechu i uciechy.

— I dawnego życia ci nie żal?

Witek nie odpowiedział zaraz, jego błękitne oczy spojrzały w dal i nagle wezbrały łzami.

— Ja muszę być bardzo zły i niewdzięczny, bo mi tu tak dobrze, tak bardzo dobrze, a przecież mi czasem żal... tych nocy pod gwieździstym niebem, szumu drzew, zapachu rosy... tych letnich nocy włóczęgi. Ot, spójrz lepiej, jaki cudny widok, z tego okna tu port widać, tu statki, taki ci stamtąd zawsze leci gwar i ruch, a z tego okna znowu całe miasto widać. Widzisz te wieże? Ta bardzo wysoka, strzelista, ostro zakończona, to ratuszowa, tamta smukła, stożkowata, to od Panny Marii, niska, czworokątna, z czterema małymi wieżyczkami, to od kościoła św. Katarzyny, przysadziste, z baniastą kopułą, to od św. Brygidy, a tam widać „łabędzie“ i Rybi targ, a jak się bardzo wychylisz, to i Motławę zobaczysz. Mówię ci, wieczorem, gdy słońce zachodzi,

to zda się, że te budynki z czerwonej cegły krwią broczą. Ja tak lubię wyglądać tymi oknami, patrzeć na ruch portowy, a jak się rano zbudzisz, to ci już przez okno słońce świeci i ptaszki na lipie przed domem świergocą, a potém zaraz modlą się dzwony. O, jak ja lubię dzwony, takie są dostojne, takie wspaniałe.

Stach oknem się wychylił, pierwszy raz ogarniał tak z góry widok miasta i dziwne mu było wszystko, począwszy od tych pokoi jasnych, wysokich, pełnych powietrza i słońca, do tych ludzi, snujących się tam w dole. Stachowi przypomniało się mrowisko, tam też mrówki szły tak śpiesznie w różne strony i dźwigały larwy młodych, tak jak tu, robotnicy portowi uginali się pod ciężarem bali i pak z towarami.

— A tobie rybactwa nie żal?

— Nie...

— To był twój ojciec?

— O nie, nie mam ojca, ani matki, morze mnie wyrzuciło. Sierota jestem.

— Wszyscyśmy u pana Grossa sieroty, ani jeden rodziców nie ma, z wyjątkiem podmajstrzego, co ma rodzinę.

— A ty pamiętasz kogo ze swoich, bo ja to nie.

— Pamiętam najpierw obóz cygański, i starą cyganichę Motrę, co mnie na plecach nosiła, a potem dziad mnie zabrał, nauczył chodzić po linie, talerze kręcić... Ot, jeno Dedala, to mi bardzo, bardzo żal i tych nocy pod gołym niebem, latem tych ranków, takich świeżych i wonnych, a zresztą... toć całe życie biedę jeno znałem... Tu dopiero poznałem, co to ludzkie serce i za jejmość Annę, za mistrza... życie bym dał...

— Ty, Witek...

— No?...

— My się będziemy razem trzymać, dobrze?... Będziesz mi jak brat... chcesz?

Stach przytulił swój mały policzek do bladej twarzyczki „małego komedianta" i kończył:

— Strasznieś mi do serca przypadł.

— I ty mnie. O słyszysz... prawda, jakie to cudne... prawda?

Szczupła ręka Witka, pochwyciła silną dłoń Stacha... przez okno płynęła muzyka dzwonów, wzywających na wieczorne „Ave Maria". Obaj chłopcy przyklękli i trzymając się za ręce, powtarzali słowa „Anielskiego pozdrowienia", a w dziecięcych ich sercach gościła dawno nieznana radość.

Tak zastała ich Guta, wtarabaniwszy się do pokoju z posłaniem dla Stacha, i na jej tłustej twarzy odbił się błysk wzruszenia... nawet ona odczuła piękno tej wśródwieczornej chwili, potęgę modlitwy dzwonów i szept tych dzieci sierocych, powierzających się opiece niebios Królowej.

ROZDZIAŁ VIII.

W przededniu walki.

Port w Gdańsku zamknięto, nagle ustał wszelki ruch, przestały zgrzytać dźwignie, umilkły nawoływania robotników portowych, nawet potężny kupiecki młyn zastygł w bezruchu, a w wolno płynących nurtach Motławy przeglądały się olbrzymie śpichlerze, dziwiąc się, iż nikt nic z nich nie wynosi, ani nie wnosi do nich, że zniknęły ładowne ciężkie szkuty, łodzie, galary i jeno wiatr ciepły obskakuje i roztrąca się o ich mury olbrzymie; — obcy im był taki spokój, obcy taki bezczyn.

I mieszkańcom miasta dziwnie się zrobiło jakoś, gdy rada miejska, dostawszy pewne wieści o lądowaniu armii Karola Gustawa na Pomorzu, postanowiła port zamknąć. Odjechały okręty obce, zamknęły port statki bojowe, lufy dział kierując na morze, zewsząd jeno gdańskie powiewały bandery.

Zmienił się charakter miasta, bo zniknął gwar obcej mowy, mieszanina barwna strojów i typów z różnych części ziemi. Czasem przeszła ulicą kompania żołnierzy, przesunęła się mieszczka okoliczna, zresztą ulice były wymarłe i ciche, życie przeniosło

się na dalsze przedmieścia. Bogaty kupiec, rzemieślnik, robotnik portowy i żołnierz, wszystko to teraz pracowało nad wzmocnieniem i budową szańców.

Król szwedzki posłów słał za posłami, rozumiejąc i oceniając dobrze znaczenie Gdańska dla Polski, pragnął zdobyć miasto pochlebstwem, obietnicą, zapewnieniami łask i swobód rozlicznych. Gdańsk jednak zbyt dobrze znał młodego króla Szwecji, zarówno jego niesłowność, jak i dzielność, jego silną wolę i twardą rękę, jak i tę umiejętność dawania obietnic w chwili właściwej i niedotrzymywania ich nigdy... A ta niesłowność najbardziej właśnie raziła kupiecką ludność Gdańska, oni bowiem nawykli szanować dane słowo i dotrzymywać go. Na pamiętnym posiedzeniu rady, gdy odpowiedzi udzielono Kochowi, nie zaznaczył się nawet rozłam zdań; niemiecka ludność Gdańska, owi bogaci kupcy, rzemieślnicy, właściciele statków, obawiała się, że otworzywszy Szwedowi bramy miasta, otworzymy je równocześnie własnej finansowej ruinie, bo Karol Gustaw wszystko co się tylko da, do Szwecji wywieźć każe. Dobrze więc zrozumiany interes kupiecki kazał Gdańszczanom bronić się przed najezdnikiem, pomimo, że był mu bliższy językiem i wiarą. Zaś izba trzecia rady, na którą składali się przedstawiciele gminy: rzeźnicy, piekarze, robotnicy portowi, rybacy, słowem szara masa ludu, była rdzennie polska, więc za Polską trzymała i do Polski lgnęła.

Mijały miesiące, król szwedzki oblężeniem groził, szwedzkie okręty blokowały port, z głębi Polski coraz smutniejsze nadchodziły wieści. Wielkopolska poddała się Szwedowi, poddała się Litwa i Korona, w sierpniu 1655 r. wojsko szwedzkie opanowało Warszawę, 19 października kapitulował Kraków, a król Jan Kazimierz na Śląsk uszedł... Jak potop rozlali się Szwedzi po kraju, broniła się jeszcze Częstochowa, Lwów i niewzruszony w swojej wierności trwał Gdańsk.

Miasto zbroiło się, fortyfikowało, stawiało groble w Żuła-

wie, zamek w Grebyniu, szańce warowne w Güttlandzie. Przeprowadzono roboty wodne, by w razie ostatecznego niebezpieczeństwa zalać okolicę wodą.

Wieść o ucieczce Jana Kazimierza była dla miasta ciosem, jakiś żałobny smutek padł na ulice Gdańska, wraz z pierwszym śniegiem, niebo ołowiane w barwie, morze szare i wzburzone, a w przyszłości wizja szeregu ciężkich dni.

Lecą płatki białe, puszyste i kładą się obfitym nalotem na dachach kościołów, na pustych ulicach i placach, wpadają w zmętniałą wodę Raduni i Motławy...

Lecą płatki białe...

W warsztacie mistrza Grossa też wiele się zmieniło: ustał zgrzyt piłek, dłót, zmilkły wesołe śpiewy czeladników, zaczęta łoża kościelna próżno czeka wykończenia, natomiast leżą miecze i kolczugi, długie rusznice i pistolety. Czeladnicy pracowali przy robotach fortecznych, mistrz Otto chorągwią mieszczańską dowodził, dwanaście takich chorągwi, po stu pięćdziesięciu ludzi w każdej, wystawiło miasto, oprócz regularnego żołnierza i pogotowia, które obejmowało wszystkich, zdolnych do noszenia broni.

Stach i Witek nosili żywność pracującym na szańcach kolegom, i jedna tylko niedziela skupiała wszystkich do wspólnej modlitwy i wspólnego stołu.

Mistrz Otto wieczorami uczył czytania i pisania Stacha i Witka; uczyli się chętnie, było w nich pragnienie wiedzy i pilność wielka, a mistrz był dobrym nauczycielem, łagodny, cierpliwy, umiał przykuć uwagę chłopców, umiał zachęcić i nagrodzić, otwierał przed nimi nowy świat, świat myśli ludzkiej w księgi zaklętej.

Ot, i teraz, drzewo bukowe na kominku płonie, ciepło, zacisznie, za oknem tańczą, szaleją białe, puszyste płatki śniegu, lampa oliwna łagodnie płonąc, rozświetla białe karty księgi i trzy skupione pochylone nad nią głowy.

— Proszę jegomościa...

— Czego przeszkadzasz, Stachu?

— Nic, jeno zapytać chciałem, kiedy się już nareszcie ten Szwed do oblężenia zabierze, czekamy i czekamy, a on nic.

— Doczekasz się i tego, synku. Gdańsk za bogaty, by nie drażnił apetytu jego królewskiej mości, tym bardziej, że nie bardzo ma pełną szkatułę.

— A czy to prawda, że nasz król... uciekł?

— Władysław Łokietek, też jeden z królów Polski, trzykrotnie z kraju wygnany, tyleż razy powracał, bo zmienne jest szczęście, jeno Bóg niezmienny.

— Ja bym tam kraju w nieszczęściu nie porzucił! — wybuchnął Stach.

Uśmiechnął się pan Otto:

— Zasiec byś się dał, czy w niewolę zagarnąć... co? I jaki pożytek miałby z tego naród i kraj?... Widzisz, za granicą siły rozbite zebrać można, pomoc państw sprzymierzonych uzyskać i na wroga z powrotem uderzyć, i gnać go może znowu tak, jak on gnał miłościwego pana naszego. Sprzykrzy się wkrótce Polsce szwedzkie panowanie, boć Karol Gustaw i jego wodzowie rozpływają się w obietnicach i uprzejmościach, ale rabują zamki i kościoły, a i ludowi prostemu nie przepuszczają. Inni są w słowach, a inni w czynach i dlatego nie długo tutaj popasą. Jeno... gdy się zabiorą do odwrotu, to na Gdańsk ciężkie przyjdą czasy, bo już nie będzie chodziło o port warowny i miasto kupieckie, jeno o nagromadzone wiekami bogactwo... o rabunek! Ależ nic to, gdy jeno duch jest dobry w mieście, a zdrajców nie ma, toć i przetrzymamy. Tym bardziej, że ludność okoliczna do Polski przywarła całą duszą, a na Kaszubów słowie można polegać. Wyznaczyło miasto dwa talary za każdego schwytanego i przyprowadzonego Szweda lub szpiega, a broń rozdano wieśniakom i rybakom, by się i oni bronić mogli jako tako.

— Wiem, ojciec też ma rusznicę.

— Cóż, Stachu, a nie tęskno ci za osadą? Za twoimi?

— O nie. Cieszę się bardzo, gdy w niedzielę jestem znowu w osadzie, do matki się przytulę, z ojcem pogwarzę albo z Magdą po wydmach się nauganiam, aleć... trzeba być przecież czymś w życiu... Tu za kilka miesięcy nauczyłem się więcej, niż tam za kilkanaście lat, a jejmość i wy panie mistrzu, tak dobrzy jesteście dla nas, że chyba i u własnych, u rodzonych nie mogłoby nam być lepiej.

— O tak, my byśmy za jegomościa chętnie życie dali. — Do smagłej ręki Ottona przylgnęły gorące usta Witka.

— Oj, ty mały... — No, aleć dosyć na dzisiaj nauki, jutro trza raniej wstać, bo broń poczyścimy.

Chłopcom roziskrzyły się oczy, tak chętnie czyścili broń, wyobrażali sobie wtedy, że są wielkimi rycerzami, co na wojnę ciągną. Czyszczenie odbywało się w kuchni, więc Guta opowiadała im historie różne, piękne i straszne zarazem, aż się im potem zwidywały we śnie smoki legendarne, śpiące królewny i lasy zaczarowane.

Wieczerza upłynęła jak zawsze w milczeniu, i dopiero gdy pan Otto pił zwolna wino grzane, zaprawione imbierem i korzeniami, zaczęła się gawęda. Z macierzyńską troskliwością dopytywała się pani Anna chłopców, czy tamci na wałach zdrowi? czy im czego z bielizny nie potrzeba? czy jedli z apetytem? Odkąd rozprószyła się ta jej przybrana rodzina, taki pusty i wielki zdał się jej dom.

Po wieczerzy chłopcy poszli na górę, przez okno księżyc świecił i widno było w komnacie jak w dzień, biały całun śniegu pokrył dachy, a u św. Katarzyny dzwony grały, jak co godzinę, cudną, dostojną melodię.

Na kominie dogasały bukowe drwa, trochę chłopcom było smutno teraz w tej obszernej komnacie, gdzie było tyle łóżek, a wszystkie niezajęte. Mieli już, jak co wieczora, uklęknąć do pacierza, gdy Stach rzucił:

— Wiesz? Czegoś mi się nic a nic spać nie chce...

— Ani mnie...

— Tak jasno... bawmy się trochę.

— W co? może w przedstawienie, ja będę talerze kręcić, a ty będziesz dziadem.

— I... było już ze sto razy. — Stach zamyślił się i nagle czarne oczy rozbłysły. — W polskiego i szwedzkiego króla, łóżka to będą części kraju, miasta, warownie, ja się będę bronił w każdym, a ty mnie będziesz wypierał. To ci będzie pyszna zabawa! No Witek, mój złocisty, ty będziesz Karol Gustaw, a ja Jan Kazimierz, łóżko po Zychu to Wielkopolska, po Wojtku, Warszawa, tam Kraków, wedle pieca Lwów, a koło misy z wodą — Gdańsk.

— Kiedyż bo, Jan Kazimierz nie był w Gdańsku.

— Głupstwo, to też i teraz Gdańsk jeno obwarujemy poduchami i będzie sobie czekał, zresztą ja jestem nie tylko królem, ale i wojskiem, a ty tak samo. No... raz, dwa i trzy! Wypierajże mnie, ale z impetem, jak Szwed.

W chwilę potem chłopcy, wydając bojowe okrzyki, wywracali się po posłaniach. Stach się cofał, przy czym umiał zachować wiele bohaterskiej wstrzemięźliwości, bo Witek słabszy był od niego, a Jan Kazimierz, nie mógł przecież zwyciężać, tylko zgodnie z prawdą, uchodzić.

Wreszcie znalazł się za granicą ostatniego siennika i położywszy się na ziemi, zbierał, jak twierdził, rozprószone siły, a potem nagle, gdy Witek, złudzony ciszą, wypoczywał wygodnie, patrząc na sylwety wież, oświetlone księżycem, Stach przeszedł do ataku i nastąpił odbiór Polski w tak gwałtownym tempie, że Witek zziajany... uciekł w stronę Gdańska i chowając się za jego pierzynowe barykady, błagał o pokój, „bo już ledwie zipie".

Ale wroga nie wyrzucić z Gdańska?!

Buch! buch!

Poduszka jedna, druga, wyleciała do góry; nieprzygotowany na tak gwałtowny atak Gdańsk, zachwiał się w posadach, gli-

niana misa z wodą spadła z brzękiem, a prąd zimnej jak lód wody, chlusnął na obydwóch zapaśników.

— A to znowu, co za zabawa?

W progu stała Guta, w nocnym kaftaniku, z oliwną lampką w ręce, a jej oburzenia pełne oczy chodziły od łóżka do łóżka, tak starannie były wpierw zasłane, a teraz? — jedna piramida koców, szańcowych poduszek, rozkopanych sienników.

Srogi głos Guty, więcej jeszcze, niżeli woda z obalonego Gdańska sprawił, że zarówno pełen sławy Jan Kazimierz, jak i srodze poturbowany Karol Gustaw, w jednej chwili zaryli się trwożnie w swojej pościeli.

— Witek! Stach! pójdźcieno tu na sprawę! Toć i miska zbita! A smarkacze! A dokuczniki! Nie dość, że wodę wylali, jeszcze i miska w kawałkach. Matko święta, cierpliwości z tymi bachorami, człowieka omal z alternacji krew nie zaleje. A wisusy niechrześcijańskie, toć i z poduszki siano się sypie. Wrzasku toście zrobili tyle, że i jegomość idzie na górę. No, nie chciałabym być w waszej skórze. Wyłaźcie z betów!

I rzeczywiście, za czerwoną z gniewu twarzą Guty ukazała się surowa, zawsze spokojna twarz Ottona Grossa, jednym spojrzeniem ogarnął sytuację, i wąsy zaczęły mu drżeć podejrzanie, a w oczach przewinął się błysk rozbawienia.

— Cóż to znowu za awantury?

Zarówno Jan Kazimierz jak i Karol Gustaw wygramolili się na głos mistrza Grossa i stali teraz obaj cisi, pokorni, a bezmiernie śmieszni, z potarganymi czuprynami, ociekający wodą.

— Cóż to było?...

— Wojna, proszę jegomości, — oświadczył z determinacją Stach.

— Toć widzę, bo i pole bitwy sromotnie wygląda.

— Ja byłem Janem Kazimierzem, a Witek Karolem Gustawem, a łóżka to były warownie i ziemie polskie, on mnie wypierał, bom się i dał, ustępując mu z placu, aleć jak za granicą siły zebrałem, niby tam za siennikami, jak na niego ru-

nąłem, tak wprędce moja była Wielkopolska, a Kraków i Warszawę to zaraz oddał, tak zmykał, w Gdańsku się oparł i o pokój prosił, ale ja, w zacietrzewieniu natarłem zbyt silnie, barykady się wywróciły, Gdańsk się obalił, no i woda się wylała a misa stłukła.

Otto Gross z trudem utrzymywał powagę, bawił go zapał chłopców, pomysłowość, wygląd, najchętniej byłby sprawę zakończył wesołym wybuchem śmiechu, ale obok stała groźna Guta, z rękami na okolistym fartuchu, czerwona jak piwonia.

— Niech jegomość spojrzy, co za porządki porobili. Misę rozbili. Niech jegomość jeno spojrzy, jak oni wyglądają, istne straszaki, zmokłe wrony. Sprzątanie będzie znowu, nim się wszystko do ładu doprowadzi, a toć kolka może człowieka zabić przy takich chłopakach.

— My posprzątamy, — szepnął Witek, patrząc tak pokornie, że nawet Guta złagodniała.

— O ty... bachorze jeden, nie od ciebie to pewnie wyszło, jeno od tego czarnego wisusa z potarganą czupryną. Podrapanyś wedle ucha.

— To nic, zaraz po ścierkę polecę i wodę wytrę.

— Kto obalił i rozchlapał, niech zbierze i wytrze — sentencjonalnie wygłosiła Guta, patrząc na Stacha. W mniejszych był u niej łaskach, aniżeli Witek, bo w czasie opowiadanych przez nią wiarygodnych historii, uśmiechał się czasem z niedowierzaniem.

— No, pomóżcie Gucie posprzątać i spać. Gdyby nie to, żeście tak wykrętów nie szukając, prawdę rzekli, skóra byłaby w robocie.

Otto Gross odwrócił się żywo i wyszedł.

— Jegomość naprawdę jest za łagodny, skórę wam trzeba było dobrze wyłoić, — irytowała się gospodyni, ale wisusy już porozumiały się spojrzeniem, i w jednej chwili dokonany został atak na Gutę, chłopięce ramiona ją objęły, przytuliły, jej biały czepek pokrzywił się od pocałunków.

— A to bąki utrapione... dosyć już, dosyć! Czepek pomniecie.

— A nie gniewasz się, Guto? Co?

— My ci zaraz pomożemy i posprzątamy.

— Żebyś widziała, jaka to była pyszna zabawa.

— I żeby się Gdańsk nie obalił, bylibyśmy zaczęli na nowo, tylko Witek byłby Janem Kazimierzem, a ja Karolem Gustawem, ale tak, hałas się zrobił i po zabawie.

— Oj wy, wy...

Guta udobruchana, gderając jeszcze trochę, zabrała się do słania łóżek, a chłopcy pomagali jej żwawo do należytego uporządkowania pola bitwy.

ROZDZIAŁ IX.

Za Gdańsk i króla.

— Prędzej, prędzej, chłopcy...

Był mroźny dzień styczniowy, gdy z magazynów Ottona Grossa, położonych w Petershagen, wynoszono ostatnie belki i deski. Stosownie do rozkazu komendy głównej, do dwunastej godziny w południe miały być opróżnione wszystkie magazyny, śpichlerze, fabryki, mieszkania prywatne, a nawet kościoły wzdłuż ulicy Motławy w Petershagen, Schottland, Schidlitz, Neugarten i Hopenbruch, przesłaniały bowiem warownie i utrudniały celność strzałów, chodziło również o to, by uchronić miasto od pożarów, a w razie zdobycia pierwszej linii obronnej, nie dać Szwedowi żadnego punktu oparcia, żadnej osłony w pobliżu miasta. Po dwunastej inżynieria wojskowa miała przystąpić do zakładania min, rozsadzania i burzenia przeznaczonych na zniszczenie obiektów. Rada miejska postanowiła ponieść i tę ofiarę, szły bowiem wieści, że Szwedzi odstąpiwszy od oblężenia Częstochowy, zaczęli tracić grunt pod nogami w ca-

łej Polsce, jak gdyby tam od jasnogórskiego klasztoru i garstki jego obrońców, nadpłynął duch energii i bohaterstwa, lud zaczął się burzyć, za broń chwytać, jak spod ziemi wyrastały zbrojne oddziały.

I doszła do Gdańska wieść, że i Jan Kazimierz, zawsze chwiejny i czekający oparcia, zrozumiał, że należy nie u obcych progów pomocy żebrać, ale zaufać Bogu i siłom własnego narodu i o powrocie myślał.

Karol Gustaw natomiast miał podobno zamiar z wiosną rozpocząć oblężenie Gdańska.

W styczniu więc pracowano gorączkowo, by wypróżnić magazyny i zwieźć do miasta zapasy towarów; w domach kupców gdańskich, z mieszkań uczyniono składy, w kątach poukładano meble, a od podłóg do sufitów piętrzyły się wory z mąką, bale bawełny i surowców, sukna, materie jedwabne, każdy dom stał się śpichlerzem.

Otto Gross przebiegł po raz ostatni mury składu, by zobaczyć, czy nie zapomniano czego; smutnie wyglądał ten pusty budynek, o grubych murach, małych okienkach, z poczerniałymi od starości belkami dębowymi, kolebka dobrobytu...

I za parę godzin legnie to w ruinach...

Ano... za Gdańsk i króla...

Wóz ładowny ruszył, Stach prowadził siwego za cugle. Witek i Otto szli obok, uważając, by co nie spadło, mijali właśnie malutki domek z czerwonej cegły, w oknie czarny kot przysiadł i grzał się w zimowym słońcu i starowina jakaś najspokojniej w świecie robiła pończochę. Raz dwa, raz dwa, migały jednostajnie druty; przez szybki domku jarzyły się czerwone kwiaty pelargonii i radosne o dziwacznie rozwianych kielichach fuksje. Otto Gross zatrzymał się, ogarniając zdumionym spojrzeniem domek i jego właścicielkę, po chwili wahania chłopcom polecił, by zaczekali, przeszedł mały, śniegiem zasypany ogródek i drzwi otworzył. Ogarnęło go ciepło buchające z komina i zapach kwia-

tów, staruszka mieszkała jak w cieplarni, nawet po białych ścianach pięła się plątanina ciemno-zielonych bluszczów.

— Hej, babko, zali wam niewiadomo, że do dwunastej w południe całe Petershagen opróżnione być musi?...

Starowina przerwała robotę na chwilę, kiwnęła głową w białym, starannie wyprasowanym czepku i rzuciła spokojnie:

— Ja się nie ruszę.

— No, to was przemocą usunąć każą.

Szybciej zamigotały druty.

— Cóż ja komu wadzę! Burzyć mają, niech burzą, dziewięćdziesiąt lat tu mieszkam, całe moje życie minęło... Niech mnie gruzy zasypią.

— Wyrzucą was przemocą, babko, i na cóż wam to? Widzicie, przyszła taka chwila, że dla dobra Gdańska i króla, każdy z nas coś poświęcić musi, jedni dają mienie, inni życie, toć i wy babko, musicie dać na ofiarę wasze wspomnienia.

— Zostawcie mnie, panie, stara jestem, legnę pod gruzami i nikt nawet wiedzieć nie będzie, kot tylko daremnie będzie czekał śniadania i pieszczoty... Szkoda wam czasu tracić, czas dla kupca to pieniądz, a wy go marnujecie dla mnie starej, Bóg niech wam zapłaci. Za mury miasta z innymi nędzarzami nie pójdę, w twierdzy nie zostanę, bo gęb do żywienia nie potrzebują, gdy ręce do pracy niezdolne.

— Słuchajcie babko, tak czy tak, wyjść wam stąd każą, jeno, że teraz możecie zabrać wszystek wasz dobytek, a potem to tylko tyle, ile udźwignąć zdołacie. Zagrzebać się wam pod gruzami nie pozwolą, trzeba dobrowolnie odejść, uporem nic nie zyskacie.

— A któż w całym Petershagen przewiózłby rzeczy Małgorzaty Rüben? — zaśmiała się gorzko starowina. — Wszakże ci ja, panie, byłam żoną i matką miejskiego kata, a wiecie przecie, jaką pogardą i lękiem przejmuje ludzi nasze rzemiosło. Powiedzą, na co wam koni, matko Rüben? Wam diabeł wszystko przeniesie.

— Ja wam rzeczy przewiozę, z ostatnią furą z mojego magazynu jadę do Gdańska, a potem nawrócę po was i po wasz dobytek... Jedni drugim pomagać teraz musimy, więc jeżeli chcecie, mogę was przeżywić przez czas oblężenia.

Spojrzała ku niemu z ogromnym zdziwieniem w głębi starczych oczu i uśmiech pogodny okolił jej zwiędłe, zgorzkniałe wargi:

— Dziękuję wam, panie, wróciliście mi wiarę w serca ludzkie.

— Stachu! — Otto za próg wyszedł. — Chodźno, synu, pomożesz tej starej niewieście rzeczy poskładać i popakować, ja zaraz po nią z końmi nawrócę. Z Bogiem, matko Rüben, a uwijajcie się żwawo, bo i czasu niewiele mamy.

— Niech wam Bóg błogosławi, panie.

Stach rozejrzał się ciekawie po izdebce, taka była jasna, czysta, kwietna; na ścianie nad łóżkiem krzyż wisiał drewniany i mały rdzawy toporek.

Małgorzata Rüben otwarła wielką skrzynię gdańskiej roboty i zaczęła w niej przy pomocy Stacha układać graty rozmaite. Nie szła jej ta robota; każdy z tych sprzętów budził w niej wspomnienia różne, a ciemna główka chłopca, uwijającego się koło niej, jego młody głosik, ciekawe pytania przypominały jej czasy, gdy biegał tak po tej izbie jej własny syn.

— Podaj mi ten toporek, synku, boć mi go ciężko dostać, hej, jak go tam wieszałam, to jeszcze nie byłam taka pochylona do ziemi, jak dziś... Idą dni, idą, jako ta fala w Motławie, coraz leniwiej, im do kresu bliżej...

Stach toporek zdjął i zaczął go oglądać, staruszka jednak żywo wyrwała mu go z ręki, wpatrzyła się w niego, na ławie usiadła i zwiędłe, spracowane ręce na fartuch biały opuściła... Kędyś, śladem wspomnień poszła jej myśl, ten toporek mąż nosił za pasem i syn, a oto oni dawno już w ziemi, a broń przetrwała, rdza na niej jeno osiadła, jak zakrzepła krew.

Ot, i trzeba między ludzi iść, ha łaskawy, z litości rzucony chleb dobrego człowieka, a w gruzach legnie jej mały domek z czerwonej cegły, te ściany, które pamiętały jej dzieciństwo, młodość, jej miłowanie i młodego, macierzyńskiego serca szczęście i jej samotną starość, w której jeno mogiłki zostały i niechęć ludzka.

I trzeba między ludzi iść... między tych ludzi, którzy pamiętają jeno, iż katem był jej mąż i syn... podczas gdy ona i te ściany wiedzą, iż byli to ludzie dobrzy, o sercu prawym, którzy pomarli młodo, bo za ciężkie im było rzemiosło ich... Tak, ona tylko i ściany.

Och, gdybyż zapłakać mogła, ale serce jej jeno cięży w piersiach, jak gdyby się nagle obróciło w kamień, a suche, szeroko rozwarte oczy patrzą w przestrzeń bez łez.

— Cóż wam teraz podać, matko? Pośpieszać wam trzeba, bo już na południe blisko, a mistrz lada chwila z końmi powróci — przerwał wreszcie przedłużające się milczenie Stach.

Spojrzała ku niemu, jak ze snu zbudzona.

— Czego ty chcesz, synu? Aha... prawda, pośpieszać trzeba. Poduszki w prześcieradło zwiąż i ten krzyżyk daj mi jeszcze ze ściany i dosyć tego, zostawię resztę, co mnie starej po tym wszystkim, to wszystko jakby żywe, wszystko ma swoją historię. Ot, widzisz, w tym rondlu miedzianym gotowałam zawsze mleko... niby nic... cóż rondel... taki jak inne, prawda? A ja, jak na niego spojrzę, to zaraz widzę, jak drobne rączyny dziecięce obejmują garnuszek i czekają, aż z niego naleję, a oczy się śmieją łakomie, a potem rączki rosną, rosną, aż silne są i potężne, i dźwignę z łatwością już ojcowski topór i ojcowski miecz, a zawdy rano trzymają swój garnuszek na mleko; jeno dużo, matko, jeno dużo! A potem... Ot, tam z łóżka wyciąga się ta sama, jeno trzęsąca się wychudła ręka po to mleko...

— A potem?...

— To już nie trzeba było mleka... Ręce leżały jednego ranka

na pościeli zimne i bezwładne, jak dwa ścięte kwiaty i nikt już nie zawołał: daj mleka, matko...

— Toście wy swoich przeżyli?

— Tak, synu, najcięższy to los, jaki może spotkać człowieka, aleć już pewno niedługo, dziewiąty krzyżyk na barkach dźwigam, sześćdziesiąt już roków, jako mnie odumarł mąż a syn toć jeno dwie zimy go przeżył. Ot, zabiła go niechęć ludzka, zabiła może własna zbyt wrażliwa natura, dwa lata jeno był katem.

— Katem?! — W oczach chłopięcia odbił się lęk, ze zgrozą spojrzał na toporek w rękach staruszki, a ona kiwała głową w białym czepku, z dziwnym uśmiechem, plątającym się na drżących wargach.

— Rzemiosło u nas szło z ojca na syna, dziadowi katem być kazali, bo był najsilniejszym w gminie, a ojciec musiał już katem być, bo już innego wyjścia dla niego nie było, ani innego chleba. Mąż mój, Panie, świeć nad jego duszą, po matce, cygance odziedziczył miękciejszą naturę, a po ojcu fizyczną siłę i nie podołał długo... a mój syn... jeno dwie zimy go przeżył. Pogarda ludzka zabija, a stronili od nas jak od zapowietrzonych, znikąd życzliwego słowa, znikąd w nieszczęściu pociechy... Drwiny jeno... Podajże mi jeszcze, synu, ten krzyż z nad łóżka, och, ile razy on mi ulgę zsyłał w cierpieniu, syn go mój niegdyś rzeźbił, a poświęcili Cystersi w Oliwie. Ten sama poniosę, nie dałabym go nikomu, i jak umrę, to mi go muszą do truchły włożyć, do rąk...

Zajechał przed dom wóz i za chwilę wszedł Otto Gross z dwoma parobkami. Posłuszni swojemu panu, zabrali się do wynoszenia rzeczy, ale spod oka niechętnie patrzyli na Małgorzatę Rüben, jak stała w kącie izby z krzyżem i toporkiem w starczych, drżących dłoniach; wierzyli i oni w chodzące o niej słuchy, że z diabłem trzyma i czarownicą jest...

Ona nie patrzyła na nikogo, usta jej tylko poruszały się bezgłośnie i kurczowo zaplatały palce, serce zaś tłukło się jak roz-

szalałe, to zamierało nagle i kamieniem ciężyło w piersi. Gdy słyszała głuchy łoskot wynoszonej gdańskiej skrzyni, zdało się jej, że to wynoszą trumny jej męża i syna, jak żywa stanęła jej w pamięci ta chwila daleka, cały ból jej ożył w dawnej potędze.

— Wyjdźcie lepiej, babko — namawiał łagodnie Otto Gross, chyląc ku niej swą wyniosłą postać. — Pójdziemy przodem, oprzyjcie się na mnie.

Małgorzata Rüben cicha, milcząca, blada jak płótno, postąpiła krok i padła martwa, serce jej pękło...

— Pierwsza ofiara za Gdańsk i króla... Dla niej tak lepiej... szepnął Otto, składając ją na łóżko w izbie. — Gminę trzeba zawiadomić o zgonie, a reszta zostanie, jako jest.

— — — — — — — — — — —

Po południu głuche wybuchy wstrząsnęły miastem, obłok kurzu jak gdyby welonem mgły zasłonił świat, to w gruzy się rozsypywały przedmieścia. A gdy około popołudnia dnia następnego opadła wreszcie szara mgławica kurzawy, to miasto spichlerzy, domów, kościołów, ujrzeli Gdańszczanie masy kamieni i cegły, sterczały jeszcze drzewa, smutne, zimowe, z liści ogołocone, ale i te podzieliły wkrótce los domów, już im siekiery przyłożono do pnia, już pracowały piły i raz wraz, chyliło któreś nagle potężną koronę i waliło się w pył.

Wieki stawiały, a kilka godzin potrafiło dokonać zniszczenia.

— — — — — — — — — — —

Cały Gdańsk powiewał chorągwiami, stroił się festonami świerkowej zieleni, rozbrzmiewał melodią dzwonów, od samego rana ściągały przed ratusz tłumy ludzi przybranych odświętnie, spokojnych, skupionych, udzielających sobie półgłosem najświeższych nowin dnia... Na terasie przed ratuszem i wiodących na nią schodach, rozłożono czerwone sukno, w olbrzymich srebrnych świecznikach bielały świece, a wśród nich czernił się krzyż.

Gdańsk, w obliczu niebezpieczeństwa, postanowił odnowić w tym dniu przysięgę wierności dla Polski i jej króla. Po uroczystych nabożeństwach w kościele Panny Marii i kościołach katolickich i w zborach ewangelickich, na terasie stanęła rada miejska, a burmistrz Fryderyk Ehler przemówił do ludu. Donośny jego głos rozbrzmiewał daleko, w głębokiej ciszy panującej dokoła.

— Postanowiliśmy pozostać wiernymi Polsce, naszej macierzy, postanowiliśmy bronić Gdańska przeciw szwedzkiej potędze, wymaga tego od nas nasz honor kupiecki, a leży to również i w naszym interesie. Szwedowi nie idzie dziś o pozyskanie miasta portowego o potężnie rozgałęzionej sieci handlowej, ale o zrabowanie naszego mienia. Każdy obywatel miasta Gdańska ponowi przysięgę wierności dla Polski i jej króla, każdy potwierdzi jej złożenie, za siebie i swoich, własnoręcznym podpisem w księgach miejskich. Kto by zaś nie odnowił przysięgi, ten traci prawo przebywania w mieście. Bo jak twierdza pewną być musi wierności swojej załogi, tak i miasto znać powinno ducha, panującego wśród obywateli, bo jeno wtedy pewne być może obrony.

Uroczysta, podniosła to była chwila, gdy za doniosłym głosem kapłanów lud powtarzał słowa przysięgi, a gdy przebrzmiały ostatnie wyrazy:

— Tak nam dopomóż Bóg!

Rozkołysały się dzwony, wieszcząc ziemi i morzu burzą tonów, jako Gdańsk w uczciwej wierności dotrwać pragnął swojej macierzy.

Stały przed ratuszem olbrzymie beczki, do nich to cisnęli się mieszczanie i mieszczki, rzucając w ich głąb, co kto mógł, pieniądze, klejnoty, łańcuchy złote i ślubne pierścienie, jako dobrowolną ofiarę na obronę Gdańska. I panna Anna niosła tam rodzinne klejnoty...

— — — — — — — — — — —

Wiosna była w roku 1656 wyjątkowo wczesna: w marcu już przyszły ciepła, południowe wiatry, puściły lody i rozkołysała się nad ziemią ta przedziwna wiosenna woń zoranej gleby, młodych traw, pierwszego deszczu, woń budzącego się życia.

W Gdańsku było słychać huk dział, a z wieży ratuszowej, przez szkła, wygodnie można było obserwować ruchy wojsk szwedzkich. Karol Gustaw szturmował Mindę. Nie czekając oblężenia, Gdańszczanie wysłali odsiecz do Malborga, odbili Szwedom Oliwę, a wreszcie do Pucka, który miał zamiar otworzenia bram królowi szwedzkiemu, wprowadzili swoją załogę. Mieli się połączyć z wojskiem Stefana Czarnieckiego i ubiegając oblężenie, uderzyć razem w centrum sił szwedzkich, ale Karol Gustaw ubiegł ich tym razem, rozporządziwszy szturm pierwszej linii obronnej.

Kupieckie miasto stało się nagle obozem warownym, na ulicach palono ognie, gotowano w kotłach strawę dla żołnierzy, na dalsze szańce młódź i niewiasty donosiły potrawy i napoje, nie zważając na szwedzkie kule. Stach z Witkiem chodzili najczęściej do szańca stylborskiego, bo tam był żołnierzem Wolf Kummerstel...

Olbrzymi podmajstrzy wypróżniał dokładnie koszyk z darami panny Anny, a chłopcom kazał się wynosić z powrotem, bo jak mówił, żołnierskie języki, gdy je piwo lub miód posmaruje, zbyt swobodnie chodzą, a chłopiętom rzeczy nieprzystojnych słuchać nie należy.

— Choć raz pozwólcie nam zostać — prosił Stach.

— A poco, mój mały? Dzieci chętnie naśladują starszych, bez względu na to, czy przykład godny naśladowania, a tu moglibyście się nauczyć słów, za które, gdybyście doszli do rozumu, wstyd by wam było. Mowa ludzka, to cenny dar Boga i w poszanowaniu mieć ją należy.

ROZDZIAŁ X.

Kula, która nie zabiła.

Jakże dawno już Stach nie widział swoich, z tęsknotą patrzył nieraz przez okno na deltę wiślaną i morze dalekie i rozmyślał, co się dzieje z osadą i z Mrągwami, a gdy wieczorem daleka łuna rozpalała niebo, lęk w nim wstawał, że to może u nich, iż to z dymem idzie chata rybacka i dobytek ojców przybranych.

Wojska szwedzkie rozpoczęły oblężenie, zbliżyła się kanonada dział, przywożono już rannych i chorych, a wokół był cudny maj, kwitły jabłonie i grusze, wieczorem przez rozwarte okno płynęła upojna woń bzów i narcyzów, a huk dział w owe dni wiosenne pełne czaru i krasy, przy niebie bezchmurnym, zdawał się jak gdyby echem dalekim szalejącej gdzieś w pobliżu chmury. Na tarasach przed domami siadywano, jak zwykle o zmierzchu, gawędząc, jeno że te gawędy teraz nie dotyczyły spraw kupieckich i domowych, jeno były jak gdyby kroniką dnia, sprawozdaniem z placu boju. Ten padł... tamtego przywieźli rannego, groza bieliła twarze ludzi i smutne były te gawędy o zmierzchu. W mieście utworzono pogotowie pożarne, pan Otto pozwolił zapisać się doń Stachowi i Witkowi, a szczególnie Witek, umiejący chodzić po lince, piąć się na górę po byle jakiej drabinie, okazał się pożądanym nabytkiem. Zaczęło się dla chłopców nowe życie, praca w warsztacie stanęła zupełnie, na naukę czasu nie było, chodzili więc na ćwiczenia, roznosili amunicję i jedzenie na szańce, a w domu mieli co opowiadać pani Annie. Kilka miesięcy, spędzonych pod dachem mistrza Grossa wystarczyło, by serca chłopaków przylgnęły całą mocą uczucia do tej słodkiej, gospodarnej, niewyzyskane skarby macierzyńskiej czułości posiadającej do rozdania „cioci Andzi".

— Żeby jeno raz był nareszcie prawdziwy pożar, zobaczyłbyś, jakbym się piął po linie na ratunek, cóż, kiedy wszystkie granaty lecą na przedpola.

— A ty byś chciał, żeby gwoli twojej zręczności padały w sam środek miasta — śmiał się Stach.

I rzeczywiście, prawdziwego pożaru nie było dotąd, kule nieprzyjacielskie padały na zniszczone przez Gdańszczan przedmieścia, wybuchały wśród gruzów, nie czyniąc szkody.

Czasem, gdy chłopcy wracali później z szańców, przejmował ich lęk, gdy iść musieli wśród rozwalonych przedmieści, gdzie jeno czasem wychudły pies szukał czegoś wśród gruzów, lub żałośnie, rozpaczliwie, jak dziecko skrzywdzone, płakał bezdomny kot.

Zdawało się im nieraz, że wśród zburzonych murów kupi się jakieś życie tajemnicze, że czasem cienie jakieś przewijają się wśród gruzów i nikną. Zazwyczaj gdy im wypadła droga przez wyspę spichlerzy, położoną w rozgałęzieniu Motławy lub przez Petershagen, to przebywali ją biegiem i dopiero w murach Gdańska, wśród jego pięknych i cichych, wysokich domów, zwalniali kroki, doznając miłego uczucia bezpieczeństwa.

I teraz właśnie wracali z kilkunastu wyrostkami, bo nosili kule i proch na szańce, szli brzegiem leniwie płynącej Motławy, z pustymi koszykami, śmiejąc się i śpiewając, młode ich głosy leciały hen, daleko po fali.

Pobijemy Szweda
gdy pozwoli Bóg;
poprzed gdańskim gryfem [1])
będzie zmykał wróg.

Poprzed gdańskim łokciem,
zmienionym na broń,
cofnie się król szwedzki
aż za morską toń.

[1]) Gryf — herb Gdańska.

Nie podda się rychło
gród kochany nasz,
każda pierś mu szańcem,
w każdym sercu straż!

— Hej, Witek, słuchajno mały, ty pono na poczekaniu śpiewki robić potrafisz.

Henryk, syn bogatego Uphagena, zerwał gałąź kwitnącej jabłoni i muskał nią w przechodzie fale Motławy. Błękitne oczy Witka patrzyły na bladoróżowe kwiaty, jak się deszczem rozsypały po fali i zaczął śpiewać:

Lecą płatki białe,
z kwiecistej jabłoni,
fala je swawolna
aż ku morzu goni.

A drzewa zielone
skarżą się z wichrami:
Dzieci nasze białe
nie zostały z nami.

Mrok wokół się snuł, tajemnicze cienie pełzały wśród zburzonych domów, w pustce echem dzwoniły śpieszne kroki chłopców i dźwięczał śpiewki ton żałosny.

— E... przestań Witek, lepiej zaśpiewajmy coś wesołego i tak tu dość posępno... dodajmy sobie ducha...

A oto już jakiś młody głos zanucił wesoło:

Pani Małgorzata, potężna niewiasta,
wedle gdańskiej bramy sprzedawała ciasta.
Czego tam nie było, kram pełen łakoci,
każdy chłopak wzdychał do tej słodkiej cioci;
słodkie obwarzanki... cukrem osypane,
toruńskie pierniki, miodem nadziewane,
z pieprzem dla waćpana, z migdałkiem dla dzieci,
dla jejmości samej babka złota świeci.

— Żeby jeno Szwedzi nie zaczęli walić z dział; nie boję się, ale robi mi się zawsze tak jakoś mdło koło serca i tak mi się czegoś zatrzęsą nogi. — Wyznawał swoje wrażenia czternastoletni Giano Bertoldy, syn włoskiego złotnika.

— Jak galaretka wieprzowa, co ją całą na stół podadzą, a potem zacznie się trząść, trząść, aż się rozpadnie. To musi być niemiłe gdy się ma takie nogi, — drwił Uphagen. — Człowiek nigdy nie jest pewny, kiedy się trząść zaczną.

— A żebyś wiedział.

Gdzieś z ruin nadleciało wycie psa, głębokie, przejmujące, żałosne; bezwiednie prawie chłopcy przystanęli, zbili się w gromadkę, było coś bezmiernie smutnego, a zarazem przejmującego grozą w tej psiej skardze, leciała nad zwaliskami przedmieść, konała na falach Motławy.

— Śmierć wietrzy!...

— Albo i pożar.

— E, co tam! Dalej chłopcy!

Przy Polsce wiecznie będziem trwać,
ona nam dobra pani,
ona nam ukochana mać,
życie jej niesiem w dani.

Nie wejdzie wróg
przez gdański próg!
Nie wejdzie wróg!

W tej chwili rozległ się ogłuszający huk pękającego granatu, odłamki kamieni, żwir, piasek zasypały i obaliły chłopców.

— Żyjecie? — pytali wzajemnie, gramoląc się z rozpadlin, w jakie ich wrzucił prąd powietrza.

— Witek, cały?

— Cały, jeno mi gdzieś czapkę porwało i znaleźć nie mogę.

— E, co tam czapkę, dobrze że nie głowę.

— Myślałem, że to we mnie.

— Giano, roztrzęsły ci się nogi?

— Nie, kamień mnie tylko jakiś w sam nos zwalił i krew się puściła.

— Wiwat!... jeden z nas już krwawi... za ojczyznę.

— No, ale teraz pędem, dzieci, boć oni nie posłali tego jednego granata na wywiady; jeno patrzyć, jak przylecą za nim inne.

— Widzisz, Henryku, innym dogadujesz, a sam radbyś już w bezpieczeństwie siedział.

— Cichono... — Witek pochylił się nagle słuchając, zdało mu się, że do wesołych głosów towarzyszy, domieszał się czyjś jęk, a może to jeno pies zawył... Ale nie, ktoś jęczał i klął, słyszeli wyraźnie skowyt psi i ludzki jęk gdzieś blisko.

— Uciekajmy! — krzyknął Giano, ale ponieważ zatrzęsły mu się nogi, więc wbrew woli, usiadł nagle na kupie kamieni.

— O... teraz wyraźnie słychać, ktoś wszystkich diabłów wzywa ku pomocy...

— Co robić?

— Szukać go trzeba.

— Pewno, tak zostawić niesposób.

— Wołaj, może się odezwie...

— A może to jeno złe wodzi.

— No... dalej, chłopcy!

— Hej, jest tam kto? odezwijno się, pomoc blisko.

Jęk umilkł nagle, jak gdyby rannego przeraziła bliskość ludzi. Witek szedł za Stachem, nagle omal się nie przewrócił, coś białego runęło mu do stóp, żałosne, radosne skomlenie wstrząsnęło nim do głębi.

— Dedalus! Jezus, Maria... Dedalus, psina moja, moja...

Chłopak przyklęknął, drżącymi ramionami ogarnął psa, odczuł na rękach wilgotne ciepło krwi, a pies tulił rozwalony łeb do jego rąk i skowycząc, lizał gorącym językiem odnalezionego towarzysza niedoli.

— Ded! Ded! biedna psia morda, co ci to zrobili, co? —

Witek płakał, a u psa skowyt przeszedł w charkot, korpus drgnął kilka razy w ramionach tulącego chłopca — i zesztywniał.

— Jest... prędko... o Jezu!

Chłopcy skoczyli żywo, było coś w okrzyku Stacha, co mówiło o niebezpieczeństwie i wzmogło ich odwagę. Witek nagle się porwał, ostrożnie zesunął łeb Dedalusa na rumowisko i rzucił się Stachowi na pomoc. W coraz bardziej gęstniejącym mroku dojrzeli, że chłopak walczył z jakąś ludzką postacią w dziwacznym czarnym chałacie, w jednej chwili rozerwali ich, a Henryk Uphagen zdjął pasek i obcemu człowiekowi związał ręce.

— Nic, jeno szpiega mamy.

— Omal mnie nie zadusił — macał się Stach po obolałym gardle — leży i jęczy cicho, chylę się nad nim, a on prosi: „Bliżej, synu, wstać mi pomożesz" — i cap za gardło... Ledwiem wrzasnąć mógł, myślałem, że mnie udusi, tchu mi zbrakło, a on trzymał, jak w kleszczach, alem ci go ugryzł gdzieś w rękę i popuścił trochę, a wyście nadbiegli.

— Nie macie który krzesiwa? Ranny być musi, opatrzyć go trzeba, boć nam jeszcze padnie w drodze, a Bóg wie, co to za ptak.

— Co ze mną zrobić zamyślacie?

— Do gminy cię odstawimy, niech cię przesłuchają, coś ty zacz?

— Puśćcie mnie, dam wam talara.

— Widzicie! Przekupić chce.

— Wziąć go między siebie i pędem do zielonej bramy, już ją widać.

Witek nagle skoczył, za ramię obcego uchwycił, jego niespokojne spojrzenie usiłowało dojrzeć twarz pochylonego.

— Dziad!

I znowu gdzieś w pobliżu granat pęknął, a wraz za nim drugi i trzeci. Chłopcy, raczej niosąc, niźli prowadząc więźnia do mostu, przebyli go i stanęli za zieloną bramą...

— Uf... — odetchnęli pełną piersią.

— Stary człowiek jestem, nikomu nic złego nie uczyniłem. Puśćcie mnie, chłopaczki.

— Jakeś porządny człowiek, to się nie masz czego bać, bo cię puszczą.

W sercu Witka tymczasem szalał niepokój, poznał głos starego Piegoniusa, on to był, wątpienia nie było, skądże by się był wziął wśród ruin Dedal? Ale, dlaczego ukrywał się wśród ruin przedmieścia, dlaczego chwycił za gardło Stacha, który mu pomoc niósł, dlaczego talara chciał dać chłopcom za to, by go puścili...

Szli teraz przez długą ulicę i Witek pozostał nieco w tyle ze Stachem.

— Stachu...

— Co?...

— Wiesz, że to stary Piegonius... dziad...

— Co bajesz?...

— Naprawdę, poznałem głos, a zresztą Dedalus był z nim. przyczołgał się do mnie i zdechł mi na rękach, granat mu łeb rozwalił.

— No, dobrze, dziad, ale widzisz, to dlaczego on mnie za gardło ucapił? Do gminy iść nie chciał, ma coś nieczyste sumienie ten twój dziad. W gminie go przesłuchają, a jak niewinny, to go i puszczą... Ale mocną ma rękę, jak przełykam, to mnie w gardle jeszcze tak boli.

— A jeżeli on... szpieg...

— To będzie wisiał...

— Polecę do pana Grossa.

— Po co?...

— Dziada mi żal.

— Strasznieś za te kije wdzięczny...

Witek podszedł do wiedzionego w triumfie jeńca i pociągnął go za czarny płaszcz.

— Dziadu... czyście to wy?

Piegonius spojrzał na chłopca; wchodzili właśnie na taras przed ratuszem i światło z sieni padało im na twarz.

— Czego chcesz?

— Polecę do pana Grossa...

— A leć do samego Belzebuba, nie mogłeś to powiedzieć tym zacnym młodzieńcom, kim jestem, aby mnie byli puścili? Byłeś i jesteś fujara i ciesz się, że kija nie mam pod ręką. Polizał mnie granat po ramieniu i piecze, jak ogniem; także dowcip gnać starego człowieka po nocy, Bóg wie po co, do gminy. Puścilibyście mnie, zacni młodzieńcy, widzicie, że jednego z was wyhodowałem tak starannie, że i ojciec rodzony nie zdołałby lepiej.

— Och, nic z tego — wstrząsnął głową Stach. — Co Gdańszczanin złowi, tego nie puści.

— A Dedala zabiło, wiesz, dziadu.

— Szkoda, że nie was wszystkich — mruknął stary. — Takie puste łby, to byłyby pewno trzaskały, jak purchawki.

— Uważajno na język, dziadu — wybuchnął Uphagen. — Pan Fryderyk Ehler sam cię postanowił przesłuchać, właśnie od niego wracam. Jeżeli wyrządziliśmy ci krzywdę, to Bóg widzi, z całego serca gotowiśmy cię przeprosić.

— Umarłemu kadzidło, młodzieniaszku... umarłemu kadzidło pod nos podetkniesz, a nie kichnie. Wstydu się jeno najecie, za tę waszą zbytnią gorliwość, zobaczycie. Dezyderemu Piegoniusowi, co na królewskich dworach bywał, ręce paskiem od spodni wiązać... o smyki niegodziwe! Ja w tym, że was pan burmistrz ochłostać każe za ten brak szacunku dla wieku podeszłego i włosów siwych.

W tej chwili Piegonius urwał, skurczył się jeszcze bardziej, a jego lewe ramię podniosło się nagle nerwowym ruchem, do sieni wszedł burmistrz miasta Gdańska, pan Fryderyk Ehler.

ROZDZIAŁ XI.

Wolf Kummerstel.

Pachnął bez rozwity, jego białe, wonne kiście kładły się na potężnym murze szańca stylborskiego. Ranek był świeży, wonny; po nowym szturmie panowała dzisiaj świąteczna cisza... Załoga spała, gdzie kto mógł przysiadł, o szańce się oparł albo o plecy drugiego, ot, byle zdrzemnąć się trochę, byle chociaż trochę wypocząć. Od tygodnia przeszło szaniec stylborski był w ogniu, dziś nareszcie pierwszy cichy poranek bez huku dział, bez szczęku ręcznej broni, wrzasku oblegających i obleganych, bez grozy śmierci.

Wolf Kummerstel patrzył w dal, a jego olbrzymia ręka gładziła pieszczotliwie białą kiść bzu, który mokry od rosy, chłodny, zakwitnął wśród kul. Jak zawsze i wszędzie — życie się rodzi na mogiłach, a mogiły chłoną życie.

Gdy znowu wrócę do warsztatu — myśli Wolf Kummerstel — zrobię w mozaice drzewnej taką gałąź bzu. Jakie to piękne, jakie misterne, jakim mistrzem niedoścignionym jest Bóg, który to wszystko stworzył, każdemu kwiatu, każdej roślinie dając taką rozmaitość kształtów i barw, i taką pełń piękna.

I w duszy podmajstrzego wstaje modlitewne wzruszenie, splątają się ręce na dziale, czci Boga, twórcę życia i piękna, korząc się przed Nim i dziękując Mu.

Wokół jeno chrapanie słychać śpiących żołnierzy, podobne jednostajnemu zgrzytowi tartacznych pił:..

A teraz dzwony słychać od Gdańska...

I przed jego domkiem nad Wisłą bzy się już pewno rozwinęły, na bosaka jego mała Anula ugania po ogródku, biedna Anulka, pewno o ojca pyta, a matka jej mówi, że broni Gdańska dla Polski... on Niemiec.

Uśmiech przesuwa się po łagodnej twarzy olbrzymiego podmajstrzego; nieraz, gdy Anulka była malutka, zastanawiał się

nad tym, że w nią można by wszczepić narodowość i wiarę, jaką by kto chciał. Dziecko, maleńkie dziecko, kocha wszystko i do wszystkiego się garnie, rączki wyciąga, pyta, naśladuje, jest jak gleba urodzajna, oczekująca ziarna, można na niej zasiać wszechludzkie miłowanie lub nienawiść plemienną, można na niej wyhodować lilie białe, co mistyczną bielą na ołtarzach zapłoną, kapustę przyziemnych pragnień lub złego chwast. I dlatego zapewne Chrystus uczył, byśmy byli jako dzieci, pełń miłowania mieli w duszach, a nie znali nienawiści, ni zła...

Wolf Kummerstel w ostatnich czasach powziął nienawiść olbrzymią, nieokiełzaną nienawiść do wszystkiego co burzy porządek społeczny, wykoleja człowieka z codziennych linii życia, odrywa od pracy zbożnej. Nienawidził szwedzkiego króla, chociaż go nigdy nie widział, całą pierwotną siłą swojej prostej niezłożonej natury. Widział w nim sprawcę złego, przyczynę krwawej wojny, siewcę niedoli po całej polskiej ziemi. Nienawidził Szweda za te miesiące zmarnowane na szańcach, za każdą dziecinną łezkę małej Anuli, za każdy uśmiech, za każdy spokojny dzień, poświęcony pracy, spędzony wśród kochanych, a które im wszystkim ukradł ten królewski rabuś...

O, gdybym go kiedy dostał w linię strzału!

Ściskały się w pięść potężne ręce podmajstrzego, a w głęboko osadzonych, dziecięco jasnych oczach palił się ogień nienawiści, tego daru piekła, co rodzi wszystko złe, wszystko nieszczęściem brzemienne na ziemi.

Odpłaciłbym mu za wojnę, za jej nieszczęścia, za poniewierkę prawego króla, za to, iż śmiał zaborczą rękę nawet na Częstochowę ściągnąć...

— Cicho coś u Szweda... — posłyszał za sobą zaspany głos Johana Müllera, przeciągał się, ziewał, zapinał guziki kurtki. — Zjadłbym co... jeno że nie ma... strasznie mi w kiszkach kręci... Z Gdańska nic nie donieśli, pościć zdaje się trza będzie i dziś... Może tu dadzą jeszcze jakiś suchar i solone mięso, po których

człowiek Wisłę by wypił bez szkody. Ty wiesz, co mówią, że się Grebyn poddał.

— Także coś! — oburzył się Wolf. — Amunicji jest przecie dość, a jedzenia też.

— Ducha nie było... ot poddali się. A ot Elbląg tak samo się przy Polsce opowiadał, jako i Gdańsk, a w końcu przecież Szwedowi bramy otworzy... A Toruń...

— Toruń podstępem wzięli...

— A Malborg... Ot, kupcowi miecz trudny do udźwignięcia, i my do wojny serca nie mamy. Nie nasze rzemiosło.

— Pewnie... aleć i zjeść się nie damy. Odsiecz też może i przyjdzie niedługo, pan Czarniecki zaatakuje Szwedom tyły, zobaczysz. A zresztą naszego Gdańska nie damy, pókiśmy żywi...

— A o uniwersale słyszałeś?

— O jakim?...

— Król szwedzki obdarza każdego szlachcica, który by powstańca polskiego pojmał lub głowę jego do obozu przyniósł, połową dóbr zabitego, a każdego chłopa wolnością, wieczystą własnością uprawianej roli i sześcioletnim używaniem dóbr zabitego. Hojny pan...

— Z cudzej kieszeni... Na takie judaszowe srebrniki lud w Polsce nigdy nie był łakomy, przesadził w obietnicach król szwedzki, boć rozdaje co nie jego, grunt mu się w całej Polsce pali pod nogami. Odkąd na Częstochowę się porwał i odstąpić od niej musiał, odmieniło się serce w Polakach, zewsząd ścigają Szweda. Pisał ponoć do rady pan Barkmann, co jako wysłannik Gdańska przy królu jest, iż mają niepłonną nadzieję wkrótce wygonić Szweda... W Janie Kazimierzu też jakby cud się dokonał: on lękliwy, szukający wiecznie oparcia i pomocy u sąsiadów, zrozumiał, iż zaufać Bogu i sile swego narodu, to jak gdyby połowa zwycięstwa.

— Ale ci bez kwitnie...

— Wiosna...

— Patrz... jak beztroskliwie biały motyl lata i miodem się opija, dobrze mu. Wiesz, w maju to i śmierć mniej straszna.

— I Szwed dziś wiosny używa... patrz, jak się to do słońca grzeją.

— Ale czego się oni tak na nasz szaniec gapią?

— Ot, tak sobie.

— Patrz! gromadkami stoją, pokazują sobie coś, śmieją się...

— Wyrżnąłbym w tę kupę.

Wolf Kummerstel spojrzał w kierunku, w jakim patrzyli Szwedzi, i jego potężna ręka zacisnęła się kurczowo, a serce przestało bić na mgnienie. Na szczycie szańca stylborskiego, w ciepłym powiewie wiosennego wiatru chybotała się biała chorągiew.

— Zdrada!

Ochrypły krzyk Wolfa rozbudził ludzi, powstał gwar, hałas, krzyki:

— Poddają nas!

— Biała chorągiew na szańcu!

— Jezus Maria, co za wstyd!

— Wolejbym był poległ pod gruzami; już mi się chyba nigdy w Gdańsku nie pokazać...

— Trudno... my jeno słuchać mamy, a starsi rządzą.

— Wygarnąć w tę szwedzką, śmiejącą się hołotę i już.

— Cicho tam.

Nagle żołnierze umilkli, stanął wśród nich komendant szańca, otoczony starszyzną. Przywykła do karności załoga powitała go głuchym milczeniem.

— Lepiej się było prochami wysadzić! — zadźwięczał w tej chwili ochrypły wzruszeniem głos Wolfa Kummerstela.

— Żołnierz ma słuchać, a nie deliberować. Szaniec stylborski poddał się jego wysokości królowi szwedzkiemu Karolowi Gustawowi, bo się dłużej utrzymać nie mógł, załoga otrzymała pozwolenie wymarszu z bronią w ręku, pod warunkiem jednak,

że jej przeciw królowi szwedzkiemu więcej nie użyje. Po przebyciu linii wojsk szwedzkich wolno się wam rozejść, gdzie chcecie. Nikt nam ani tchórzostwa, ani zdrady zarzucić nie może, mamy poważne szkody w murach, naprawiać pod ogniem nieprzyjaciela trudno, pod kulami ich ciężkich dział dziś może jeszcze zdobyto by szaniec szturmem. Spełniliśmy obowiązek wobec króla i Gdańska, dość naszej krwi i wysiłku, czas nam teraz pomyśleć, że i my ludźmi jesteśmy, że mamy dzieci i żony, czekające z naszych rąk chleba, a od nas opieki. Do góry głowy... formuj się! Za chwilę opuścicie szańce i przejdziecie przed frontem nieprzyjaciela, ba! przed samą jego wysokością królem szwedzkim Karolem Gustawem, który patrzyć podobno będzie na wasz wymarsz; nie wyglądajcież, jak skazańcy.

W głuchym milczeniu formowała się załoga...

— Na ramię broń!

— Marsz!

Załoga szańca stylborskiego opuściła mury, poczerniałe od dymu, pełne wyłomów od kul; przez ostatni tydzień przeszli tutaj piekło, nie było chwili wytchnienia, nie było czasu jeść, ni spać, a jednak... mieli wrażenie, że coś drogiego bardzo pochowali wśród szańca: swój honor żołnierski, i niejeden z nich żałował, iż nie było mu dane raczej zginąć w obronie ojczyzny i ukochanego miasta.

Raz jeszcze zwrócili oczy na szaniec... Milczący, obumarły, w powodzi wiosennego słońca lśniła biała chorągiew u szczytu i kiście białego, wiosennego bzu, co się tej nocy majowej rozwinął i otoczył szaniec swoim radosnym kwieciem.

Przed jednym z namiotów stał Karol Gustaw, niski, krępy, brzydki, opalony od wichru i słońca, o oczach niespokojnych. Król szwedzki wyglądał na małego, złośliwego demona wojny, człowieka, który własny niepokój pragnąłby rozsiać po świecie całym. W rajtarskich butach za kolana, w skórzanej kurcie, z trzciną w ręku, ten chłopak o ledwo puszczającym się wąsie,

nie miał w sobie nic z królewskiego majestatu, — a jednak żołnierz go kochał, bo dzielił z nimi trudy, bo w ostatnich czasach tygodniami całymi nie zrzucał butów i kurty, jak i oni wszyscy. Od bitwy w widłach Sanu wymykało mu się z rąk zwycięstwo. Czarnieckiego pułki spokoju nie dawały w dzień i w nocy, alarmując i cofając się bez walki, męcząc przeciwnika lękiem i bezsennymi nocami.

Patrzył teraz na przechodzącą załogę szańca stylborskiego, ze złośliwym uśmiechem na wygolonej twarzy.

— Przed namiotem jest król...

— Który?

W oczach podmajstrzego przesunął się zły błysk nienawiści, która się rozpaliła pożarem.

— Ten mały, krępy, co się teraz uśmiecha tak pogardliwie?

— Ten!

Wolf Kummerstel dojrzał ten uśmiech złośliwej pogardy, krwawa mgła przesłoniła mu oczy, a ręka szukała broni.

— Baczność! W prawo zwrot!... — brzmiała komenda.

— Prezentuj broń!

— Wolf!

Huknął strzał i u boku króla zwalił się, jak piorunem rażony jeden z oficerów.

Byłaby kula z pewnością dotarła do małego demona wojny, gdyby w ostatniej chwili Johann Müller nie był podbił broni.

Karol Gustaw nie cofnął się, nie drgnął nawet, jeno uśmiech na ustach zgasł, a rozpalił się w oczach czarnych niesamowity blask, przed tym błyskiem w jego oczach drżeli poddani.

— Kto strzelił?

Wolf Kummerstel wystąpił, rzucając na ziemię dymiący pistolet.

— Ja...

— Dlaczego?

— Bo gdybyś padł, panie, byłby koniec wojny...

— Wiesz, co cię czeka?

— Śmierć... nie lękam się jej, panie, żałuję jeno...

— Czego?...

— Żem nie trafił.

Tymczasem Szwedzi otoczyli ciasnym pierścieniem załogę szańca, rozbłysła biała broń.

Karol Gustaw nikły wąs nad wydatnymi ustami gładził i spojrzawszy na załogę szańca stylborskiego, rzucił:

— Złamali zobowiązanie... wymordować!

— Jezus Maria!

Wolf Kummerstel całym wysiłkiem swoich potężnych mięśni odrzucił trzymających go żołnierzy... chwila wahania, zdało się, że chwyci za gardło Karola Gustawa i zdusi, ale nie, runął mu do stóp.

— Panie... litość miej... toż jeno ja zawiniłem... jeno ja...

— Wymordować!... — powtórzył zimno Karol Gustaw.

A oto już jego rozkaz wprowadzono w czyn. Wolf Kummerstel słyszał palbę ręcznej broni, jęki, nie widział nic, jego usta przylgnęły do rajtarskiego buta Karola Gustawa.

— Panie, miłosierdzia... ci ludzie mają dzieci, żony... Panie...

Ciężkie ręce żołnierzy trzymały go znowu.

— Dlaczego wpierw nie pomyślałeś o tym?

— Zaślepiła mnie nienawiść. Puść ich wolno, bo ci nie zawinili w niczym, puść ich, jeżeli nie chcesz, by Bóg sprawiedliwy pomścił się za nich, dając ci kiedyś konanie długie i męki pełne.

Po dumnej twarzy Karola Gustawa przesunął się cień, było coś w słowach podmajstrzego, co lękiem przejęło nawet to twarde, niewrażliwe serce.

Długie konanie...

— Zaprzestać... Rannych opatrzyć, resztę puścić, niech idą na złamanie karku... A tego... tego tu... powiesić... Spójrz, — do-

rzucił nagle król, ulegając popędowi swojej żywej natury, — cóż ci przyniosła ta nienawiść twoja? Ja żyję, ty umrzesz, a to krwawe pobojowisko twoim jest dziełem... Ilu zginęło z załogi szańca stylborskiego?

— Około dwustu ludzi, panie...

— Widzisz, twoja zasługa i tobie będzie ciężko umierać. Żałujesz teraz?

Wolf Kummerstel nie odpowiedział, zabrakło mu głosu, jedna myśl jeno, jedno pragnienie szalało w jego skołatanej głowie... skończcie już ze mną... skończcie, bo oszaleję... I wdzięczność odczuł dla Karola Gustawa, gdy ten odwracając się od niego, rozkazał:

— Albo nie, nie wieszać, rozstrzelać na szańcu stylborskim, bo wierny był z niego żołnierz... a wierność nawet u wroga cenić należy.

ROZDZIAŁ XII.

Tajemnica Piegoniusa.

— Nie mogłem nic uczynić dla starego Piegoniusa, Witek. Wzięty na męki, zeznał, jako szpiegiem był, wpuścił go w obręb Gdańska oficer z załogi w Grebynie, który był też w tajemnym porozumieniu ze Szwedami i wczoraj zamek Grebyn poddał. Stary światłami dawał znaki Szwedom o wszystkim, co się działo w mieście.

I Otto Gross, kładąc rękę na pochylonej jasnej głowie chłopięcia, dorzucił:

— Dziś niedziela, a dnia Pańskiego nie gwałci się wykonaniem wyroków, powieszą go jutro o świtaniu. Idźcie do kościoła, chłopcy, a potem zgłoś się, synu, do wartownika przy tymczasowym więzieniu koło izby katowskiej; może ty starego namówić zdołasz, by się z Bogiem pogodził przed zgonem. Ka-

płana nie chce, grzeszny swój żywot w grzechu chce zakończyć... Masz tu pozwolenie...

— Mistrzu!

— Co dziecko?

— I powieszą go? Naprawdę, powieszą?

— Sprawiedliwość i prawo musi być synu, wszędzie gdzie chcemy, by był ład i porządek. Gdyby złe pozostało bez kary, a dobre bez nagrody, ludzie rychlej stoczyliby się w przepaść zupełnego bezrządu... Szczególniej, gdyby złe bez kary było, bo dobry czyn zawiera już nagrodę w tym uczuciu zadowolenia, jakie przejmuje człowieka, gdy go spełni. Ot, i dzwony już biją, wzywając na Mszę św., śpieszcie się chłopcy. A módlcie się gorąco, by nam Bóg zesłał swoją łaskę, modlitwa dzieci ponoć najłatwiej do Boga trafia. Mówił mi ojciec Grzegorz, że czynicie postępy i że w dzień Zesłania Ducha Św., jeżeli go nam Bóg w zdrowiu doczekać pozwoli, będziecie mogli przystąpić po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. Najpiękniejszy, najbardziej wartościowy to dzień dla duszy człowieka...

Chłopcy ucałowali gorąco rękę Ottona Grossa, a on patrzył za nimi chwilę, z uśmiechem ojcowskiej dumy: jego najmłodsze chłopaki!

Chłopcy biegli tymczasem śpiesznie w stronę Mariackiego kościoła, nagle z zasłony domów wyłoniły się majestatyczne mury gdańskiej katedry, w śmiałych, czystych liniach wznosiła się ku niebu wieża główna i jej boczne siostrzyce, płonąc w powodzi wiosennego słońca...

— Szaniec stylborski się poddał... — wołał ktoś głośno.

— Kiedy?

— Wczoraj jeszcze...

Zwiastuna smutnej nowiny otoczył wnet tłum świątecznie przybranego ludu, — kobiety płakały.

— A co z załogą?

— Pomoc połowę Szwedzi wymordowali.

— Boże dobry, co się też z Kummerstelem stało? — szepnął Stach. — Toć się pan Gross zmartwi.

— Z Kummerstelem? Powiesili go Szwedzi na szańcu, bo ponoć do ich króla strzelił, gdy załoga opuszczała szańce...

Chłopcom ścisnął serca żal bezmierny, jak żywo stanęła im w pamięci olbrzymia postać podmajstrzego i jego dobrotliwy uśmiech... On, który co dnia wróblom sypał okruszyny i muchy byłby nie zabił, chciał zastrzelić króla szwedzkiego?

— Chyba, że to jaki inny — głośno wyjawił swoje powątpiewanie Stach.

— Biedna Anula — szepnął Witek, przypomniawszy sobie maluchną, złotowłosą dziewczyninę, co przychodziła czasem z matką do warsztatu, siadywała na kolanach ojca i śmiała się tak beztroskliwie...

W Mariackim kościele przystanęli zaraz u drzwi, tu się zapominało o całej grozie wojny, jak zawsze płonęły świece u ołtarzy, pachły upojnie wiosenne kwiaty i modlił się kornie tłum ludu. Wysoka, gotycka nawa, łącząca się w górze śmiałymi ostrołukami sklepienia, rozbrzmiewała łagodnymi tonami organów i chórem młodzieńczych głosów.

W takiej ciszy Bóg jest blisko, staje wśród nas niewidzialny i zsyła nam w dusze ukojenie...

Po skończonym nabożeństwie chłopcy się rozstali, Stach poleciał do domu pomagać, bo na obiedzie miał być komendant Gdańska, Winter, kilku wyższych wojskowych i radnych miasta. Witek zaś stanął wkrótce przed niewielkim domkiem z czerwonej cegły, mieszczącym izbę tortur i tymczasowe więzienie. Serce mu biło niespokojnie, groza jakaś szła od tych murów, które słyszały tyle jęków, widziały tyle zła i niedoli. Nieśmiało podał pozwolenie żołnierzowi, stojącemu na warcie, i w chwilę potem dozorca z pękiem rdzawych, ponuro dźwięczących kluczy wezwał go, by szedł za nim; żółte światło latarni rozświecało słabo niskie, sklepione mury podziemnego korytarza, głucho

dźwięczały kroki, wśród grubych murów, wilgotne, chłodne powietrze przejmowało ziąbem...

Coś przeleciało obok nich... szybko po ziemi, jak cień... Serce Witka waliło, jak młotem, a ręka mimowiednie chwyciła za opończę dozorcy.

— Toć szczur... nie bój się mały, pełno tutaj tego tałatajstwa.

Klucz zazgrzytał w zamku, weszli. Na tapczanie siedział stary Piegonius, światło latarni padało na jego brzydką twarz z przełamanym nosem, wokół ust osiadła linia bezmiernego znużenia, oczy patrzyły tępo i martwo...

— Przyprowadziłem wam gościa... przyjdę tu po ciebie, mały, za godzinę, dobrze?

— To ty, Witek?

— Ja, dziadu...

— Ostań się dłużej... jeżeli możesz...

— Oho, dłużej jak godzinę nie wolno... — zaprotestował dozorca, — za godzinę, to się można sto razy pożegnać.

— Latarnię chociaż ostawcie... chłopak nienawykły do takiego mroku...

— To mogę...

Wyszedł... Zgrzytnęły znowu zawiasy i klucz, echo kroków ciężkich, powolnych przebrzmiało. Witek modlił się w duszy, by go Bóg natchnął, by mu dozwolił znaleźć słowa, które by trafiły do duszy starca.

Piegonius milczał, czuł nieznośny ból w stawach, w krzyżach, w głowie, paliło go pragnienie.

Pierwszy raz w życiu odczuł samotność, pustkę, lęk...

Gdy po przesłuchaniu, gdzie usiłował kłamstwem się wywinąć, wyślizgnąć dowcipem, i po mękach, na których wszystko wyznał, zamknięto go w tej wilgotnej, zimnej, wnętrzu grobowemu podobnej celi, a rdzawy klucz zazgrzytał... z Piegoniusa opadł cały sztuczny humor, dowcip, którym usiłował zjednać

sobie sędziów i kata, poczuł się nagle zmęczonym, chorym, starym.

A wokół była cisza straszna cisza izby więziennej, której wrota mają się otworzyć jutro po to, by jeno oddać skazańca śmierci.

Ucieszył się z przyjścia chłopca, ale zaraz potem pytał zgryźliwie:

— A ty pocoś tu właściwie przyszedł?

— Pożegnać się z wami, dziadu.

— Także coś! — spojrzał podejrzliwie z ukosa. — Chcesz może czego?

— Ja tylko tak... żeby was zobaczyć...

— Także przyjemność, ano, to się napatrz dowoli, dobrze że dozorca zostawił latarnię, bo by ci był przepadł ten cenny widok. Cóż, dobrze ci tam u tego kupca?

— Jako mi nigdy w życiu nie było.

— No, to i dobrze... a Dedalusa zabito?

— Głowę mu rozerwało, po południu pójdę i zakopię go w rumowisku.

Poszedł naprzód... — I nagle dorzucił łagodniejszym jakimś niżeli zwykle tonem: — Dobrze, że przyszedłeś, straszmie jest tak na śmierć czekać... samemu...

— Dziadu... — Ramiona chłopca otoczyły nagle szyję starca, jego gorący policzek przytulił się do zwiędłej twarzy Piegoniusa. — Pozwólcie, by do was ksiądz przyszedł z ostatnią pociechą, ulżyjcie duszy, dziadu.

A na starego dziwnie jakoś oddziałała ta niespodziewana pieszczota, odsunął szorstko chłopca, skurczył się, nie ogolona broda zaczęła mu się trząść podejrzanie.

— E... co mi tam.

A Witek u stóp mu przyklęknął i wznosząc ku niemu błękitne, łzawe oczy, prosił:

— Zobaczycie, dziadu, tak lekko wam się stanie na duszy, tak pogodnie. Nas przygotowuje teraz do pierwszej spowiedzi

i Komunii świętej ojciec Bernard od Dominikanów; chcecie, dziadu, to wam powtórzę wszystko, co on nam mówił, dobrze pamiętam..

— No, to... powtórz.

I w mrocznej celi więzienia, chłopięcy głos snuł opowieść o miłowaniu Boga dla człowieka, o męce i odkupieniu.

A starzec skulony, trzęsący się od wewnętrznego zimna, słuchał poważnie. I budziły mu się w duszy echa dawno zapomnianej wiary. Zmartwychpowstał daleki obraz dzieciństwa, wstawał żal...

Fala wzruszenia ogarnęła serce, dławiły w gardle łzy i nagle zadrżały w starczych oczach i zaczęły płynąć po skrzywionej boleśnie twarzy. Dezydery Franciszek Piegonius... płakał.

— Co wam to, dziadu?

— Nic, dziękuję ci, dziecko... mów dalej. Zda mi się, że jestem w twoim wieku i u kolan matki siedzę... ona mi niegdyś mówiła o Bogu, z tą samą siłą wiary. Dawno to, dawno temu... starczyło, by Boga zapomnieć. Mówiłeś, jako Jezus na krzyżu przebaczył łotrowi, mówże dalej...

Chłopiec powtarzał wiernie, czego ich nauczył ks. Bernard, a miał dar barwnego opowiadania, więc chwilami zdało się, że opowiada o czymś, co widział, gdy kreślił mękę i śmierć Chrystusa za winy i dla odkupienia ludzkości. Skończył, zaległa cisza, starzec głowę zwolna podniósł, wreszcie rzekł:

— Witek... mam ci jeszcze coś rzec, dla ciebie ważnego bardzo, może ci się i przyda w życiu... Jesteś synem szlachcica z Litwy, mającego posiadłość w pobliżu Wilna, niejakiego pana Antoniego Brzeszczyca, herbu Topór. Niemowlęciem byłeś, gdy cię ukradła stara cyganka, kupiłem cię od niej i rzekła mi, jako cię ukradła przed dwunastu laty w maju, z zemsty, że jej pan Brzeszczyc nie chciał pozwolić na osiedlenie się w jego siole.

Chłopak słuchał i zdawało mu się, że śni, drżące ręce do serca przytulił, tak biło to biedne, osierocone serce... Więc tam, kędyś daleko ma może rodziców, braci, siostry... Boże!

— Zakonotujże sobie dobrze, Brzeszczyc Antoni pod Wilnem, nazwa sioła mi się wymknęła, Wilkiszki, czy Psikiszki, śmieszna jakaś nazwa była, toć wiem.

— Dlaczego nie mówiliście mi o tym nigdy, dziadu? Aż teraz... dopiero teraz.

— Boć mi byłeś potrzebny, a potem, ot, człowiek jest zły, myśli sobie: nacierpiałem się ja dosyć, naponiewierali mną dosyć ludzie, niechże i inni cierpią, niechże i nimi los pomiata. A gdybyś tu nie był przyszedł, ty, coś ode mnie tyle kijów nabrał, z twoim dziecięcym dobrym sercem, co współczuło staremu zbrodniarzowi nawet, i pragnęło mu przynieść pociechę, byłbym tę twoją tajemnicę zabrał z sobą do grobu, bo zawsze sprawiało mi to specjalne zadowolenie, gdy mogłem komuś wyrządzić coś złego. Krzywy i brzydki na świat przyszedłem, śmiali się ze mnie ludzie, że nos mam przełamany, a ramię do góry podrzucam i znienawidziłem ich... a z każdym rokiem przeżytym nienawidziłem więcej. Oszukiwałem, drwiłem z ludzkiej głupoty, cieszyła mnie krzywda ludzka, wreszcie zostałem szpiegiem, nie najgorsze to jeszcze było w moim życiu rzemiosło... Jedyną miałem miłość w życiu: talary, cieszył mnie ich blask i dźwięk, i w końcu zaprzedałem za nie duszę diabłu.

— Dziadu... jeno żal w sobie wzbudzić szczery, jeno wyznajcie wszystko, a Bóg wam z pewnością przebaczy. Jezus Chrystus przebaczył nawet tym, co Go do krzyża przybili.

— Ale nie tym, co Go na krzyż przybić kazali... nie Judaszowi...

— Bo w Judaszu żalu nie było ani skruchy...

Stary się zamyślił, miał w czarnym płaszczu zaszyte talary, cóż z nimi uczynić?... Chciał je przedtem wypruć, nacieszyć raz jeszcze oczy ich blaskiem, a potem gdzieś w kącie zakopać, skoro ich wziąć nie mógł z sobą na tamten świat, bo tam bogacz i nędzarz biorą jeno ciężar swoich win lub zasługi cnoty, brzydotę ducha lub jego piękno, reszta zostaje na ziemi, zarówno zaszczyty

jak pogarda ludzka, bezmiar bogactwa czy nędza. Na drugim świecie bezwartościowe to walory.

Ale teraz słowa dziecka wzbudziły w nim tęsknotę za miłosierdziem Boga, stary grzesznik walczył ze swoją największą winą, ze swoim jedynym umiłowaniem.

Co z nimi zrobić?... Na toż je zbierał tak starannie, płacąc za nie krzywdą ludzką, a czasem i krwią, by je teraz wydano na byle co?

Podniósł oczy i spotkał spojrzenie błękitnych oczu chłopięcia, współczucie w nich było i głęboko odczuta litość.

— Słuchaj, Witek, talary mam... co z nimi zrobić?

— Oddajcie je księdzu, dziadu, rozda biednym, pomodlą się za waszą duszę.

Rozległ się na korytarzu ciężki krok dozorcy.

— Ot, i pójdziesz już... niechże mi przyślą księdza... a tobie niech Bóg błogosławi.

Witek przytulił usta do tej ręki, która go biła tyle razy, a nie popieściła nigdy.

— Ostajcie z Bogiem, dziadu.

Chłopczyna wybiegł, a starzec na kolana się usunął, twarz w dłoniach ukrył, czynił rachunek sumienia, ciężki, długi, bolesny rachunek zmarnowanego życia byłego włóczęgi, skąpca, oszusta, co się nawet przed zbrodnią nie cofał... ale czynił go z pełnią pokutnego żalu i zbudzonej nagle wiary.

ROZDZIAŁ XIII.

Złota karta Gdańska.

Gdańsk wrzał ruchem od samego rana, wieść o poddaniu Grebynia, o kapitulacji szańca stylborskiego, a wreszcie o zajęciu Głowy przez Szwedów, niepokojem napełniła miasto. A oto wczesnym rankiem przybył poseł od Karola Gustawa i księcia

Croy, biskupa kamieńskiego. Poseł króla, młody, piękny człowiek, szedł obok jednego z pułkowników ulicami Gdańska do ratusza... szedł dumny, jak zwycięzca.

Zwołano zaraz trzy stany miejskie, rajców, ławników i radę stu.

Król szwedzki ponownie wzywał miasto do układów, do dobrowolnego otwarcia bram, biskup Croy, jako dostojnik ewangelickiego kościoła, rozwiązywał Gdańszczan ze złożonej królowi i Polsce przysięgi.

Długo trwały narady, wreszcie wręczono posłowi list, opatrzony pieczęciami i podpisami całej rady.

Karol Gustaw, obawiający się lada chwila ataku Czarnieckiego na tyły wojsk oblężniczych, rozerwał pieczęcie, przebiegł pismo oczyma, do opalonej twarzy uderzył rumieniec gniewu, list księciu biskupowi przez stół rzucił.

— Uparte głowy... miałaż by zatrzymać się moja szabla?!... Nie chcę drugiej Częstochowy, jeszcze pod moim własnym dowództwem. Słuchaj, Steinbock, walcz ty sobie dalej o Gdańsk, ja mam już tego dosyć.

— Dobrze, ja jestem cierpliwy, — odpowiedział z uśmiechem osiwiały generał.

— Tak, i nieruchliwy... ty gotowyś leżeć pod Gdańskiem, aż się kupczyki doczekają pomocy z Holandii, mam swoje wieści, że się starają o nią... A mnie pieniędzy potrzeba! Pieniędzy... i pomyśleć, że tam za tym murem leżą miliony i że ich zagarnąć nie można.

Biskup Croy, czytał tymczasem uważnie:

„Od czasu, jak zostajemy w poddaństwie i wierności królowi polskiemu, zawsze należytą cześć oddawali Gdańszczanie królom szwedzkim".

— No, toć ładnie, jak na początek.

— Czytaj jeno, wasza wielebność, dalej.

„Lecz niestety, nadbiegły smutne gońce z wieścią, iż najmiłościwszy król, któremuśmy wiarę poprzysięgli, został napad-

nięty od króla Karola, a wojsko szwedzkie plondruje Polskę, wiele ziem, miast i grodów spustoszono i do gruntu zburzono. Mamy w poważaniu majestat Jego Królewskiej Mości Szwedzkiej i dlatego nie chcemy wglądać i certować się, azali słusznie wydał wojnę Polsce, albowiem o tym swego czasu sądzić będzie Ten, który nad nami mieszka i sądzi, aliści i On to widzi, jako podług Jego zdania mogą być dopuszczone powody wojny szwedzkiej. Gdańszczanie wiedzą dobrze, ile korzyści dla nich płynie z faworu panujących, a szczególniej z łaski Karola Gustawa, lecz przyjąć jego warunków nie dozwoliła im wierność królowi swemu najmiłościwszemu od Boga samego przez wolną elekcję im danego, panu swemu prawemu, któremu być posłuszni obowiązywali się przysięgą. Wierność tę przechowali niezachwianie w przeciągu lat dwustu od czasu, jak zostali do Rzeczypospolitej wcieleni. A jeżeli w obecną popadli niedolę, to jeno dlatego, że ojców swoich szli prawym torem i pragnęli mieć czyste sumienie przed Bogiem, zaś u ludzi bezstronnie sądzących dobre o sobie mniemanie. Te przyczyny spowodowały do ujęcia za oręż.

„Jeżeli Jego Królewska Mość Szwedzka oceni te powody, nie wątpimy, że sam nas uniewinni. Niechaj jeno zważy, że sam ewangelickiej jest wiary, niechaj przeto nie dopuści, aby nam przeszkodzono w dopełnieniu tego, co wszak wszystkim chrześcijanom nakazuje nauka Ewangelii.

„Niechaj także rozważy, że burza, co spadła na Jana Kazimierza, pana ze wszechmiar łaskawego i miłościwego, jako też na jego państwo i dzierżawy, może kiedyś dotknąć i samego Karola Gustawa. A jeżeli wtedy senatorowie jego, albo poddani, albo miasto jakie niezachwianą stałością będzie się trzymało przy prawym panu, nie dając się zwieść żadnym darem, żadnym mamidłem, a nawet jeżeli dużo nieprzyjaźniej stawiać się będzie, niżeli to dziś czynią Gdańszczanie, zali będzie król sam mógł zaprzeczyć, że ta cnota chwalebną jest u poddanych i zaszczytną nawet w nieprzyjaciołach? Zresztą, polegając całkowi-

cie na Opatrzności Boskiej pozostają, wyjąwszy co się obowiązków względem Polski tyczy, najpokorniejszymi sługami Jego Królewskiej Mości Szwedzkiej.

Rajcy, Ławnicy i Rada Stu".

Po wyrazistej twarzy biskupa przesunął się cień.

— Niechże mi wasza królewska mość dozwoli posłować jutro do Gdańska.

— Po co?

— Nakłonię ich do poddania...

— Alboż oni nakłonić się dadzą?! Zdaje mi się, że z nimi to najlepiej armatami rozmawiać. Nauki dają oni mnie! Kupczyki — królowi szwedzkiemu.

— Bóg pokarze pychę. Aleć dobrotliwym byłeś zawsze, miłościwy panie, będziesz nim i dzisiaj; dozwól mi raz jeszcze do nich przemówić, zanim się krew chrześcijańska z obu stron poleje.

— Ano dobrze... Wolałbym i ja wziąć Gdańsk w drodze układów, ale mieć go muszę! Prawda, Steinbock, że oni nie wytrzymają długo, ich przecież cud nie uratuje.

— Ja, gdybym był na miejscu waszej królewskiej mości, przebiłbym kanał Raduni i odebrał miastu wodę do picia. Można się bez wszystkiego obejść, ale bez wody trudno.

— Będą pić z Motławy albo z Wisły.

— I wymierać na cholerę.

— Rób, co chcesz, jenerale, ja jutro i tak pociągnę nad Noteć, bo mnie takie stanie pod murami wściekle nudzi. Aleć jedno pamiętaj, Gdańsk i jego skarby mieć muszę.

— Może już jutro Gdańsk odda je dobrowolnie waszej królewskiej mości, — wtrącił biskup Croy.

— Po takim liście! — zaśmiał się król.

— Miejmy nadzieję, że przemówi do nich głos zdrowego rozsądku.

— Właśnie obawiam się, że mają poniekąd słuszność: wilk w owczarni, chociażby w owczej skórze cały, jednak wilkiem zostanie, dobrze o tym wiedzą nasi kupcy i dlatego bram mi nie otworzą.

— Otworzymy je sobie sami, — zapewnił Steinbock.

— Ja tam jutro rankiem maszeruję nad Noteć, zwariowałbym w tej bezczynności.

— Wasza królewska mość nie zaczeka na wynik mojego poselstwa?

— Poślecie za mną gońca...

— — — — — — — — — — —

Ksiądz biskup Croy zdjął przepaskę z oczów i spojrzał uważnie w chmurne twarze Gdańszczan, ogromna sala rady była zapełniona szczelnie, nie brakowało nikogo.

— Szlachetni obywatele miasta Gdańska, przyszedłem do was, jako przedstawiciel kościoła, do którego większość z was przynależy, by was skłonić do układów z królem szwedzkim Karolem Gustawem. Przyszedłem jako przyjaciel, nie jako wróg, nie jako poseł króla szwedzkiego, ale jako człek bezstronny, co wam dobrą przynosi radę. Bronić chcecie Gdańska? Zaliście się zastanowili? Bronić się wprawdzie możecie, ale obronić nie zdołacie. Na odsiecz ze strony Polski rachować wam trudno. Polacy nie rozporządzają jeszcze odpowiednimi siłami, by wam z nią pośpieszyć mogli. Spodziewacie się podobno pomocy ze strony Holandii... ale zanim ta pomoc przyjdzie... może być Gdańsk jedną kupą gruzów... Dziś natomiast, jeśli dobrowolnie otworzycie bramy, możecie uzyskać od Karola Gustawa wiele swobód i przywilejów kupieckich. Wojska szwedzkie wprowadzą tu swoją załogę, aleć nikomu nie uczynią krzywdy, zachowacie cały swój dobrobyt z łaski miłościwego króla, wzmoże się wasza potęga.

Kupcami jesteście, powinniście rozumieć interes kupiecki. Cóż wam przyjdzie z wierności dla króla, w którego państwie

rządzi król drugi, którego połowa ziemi jest... w naszych rękach, a którego opuścili właśni poddani. Miasto wasze może legnąć w gruzach w czasie oblężenia, osierocone dzieci odziedziczą nędzę, miast dobrobytu. Miejcie litość nad dziećmi waszymi. O co wam chodzi? O to, żeście dali wasze słowo i waszą przysięgę... Ja was z niej rozwiązuję, jako dostojnik waszego kościoła.

Biskup Croy skończył, odpowiedziała mu cisza, głucha cisza, a potem zadźwięczał w niej czysty, doniosły głos Fryderyka Ehlera:

— Pozwólcie, sławetni rajcowie, iż oświecę księdza biskupa co do sposobów i zasad, jakimi od wieków rządziło się miasto... Przodkowie Gdańszczan przede wszystkim przywiązani byli do ewangelicznej nauki Chrystusowej. Zaraz zaś potem kładli przywiązanie do królów swoich, jako od Boga samego ustanowionej władzy. Po trzecie: strzegli, by nie odpaść od królestwa polskiego, do którego ciała sami się przyłączyli. Po czwarte: bronili, ile sił stało, praw, przywilejów, swobód i zwyczajów swoich. Na koniec zaś przykładali się do wzrostu handlu swego, przemysłu i dobrego bytu. Nigdy zaś u nich pośledniejsze obowiązki nie szły przed pierwszymi, nigdy zysk i interes nie był górą nad prawdą i dobrem. Żaden człowiek przecież nie da wiary, aby Bogu podobało się złamaniem wierności królowi przynależnej podpierać sprawę religii. Sam wrodzony rozum Gdańszczan, aczkolwiek słaby, naucza ich, iż nic tak nie wraża religii w serce i nie umacnia jej bardziej, jak prostota ducha i pokój, o który wszystkie serca i wszystkie języki błagać powinny Chrystusa.

Biskup Croy bladł i czerwieniał na przemian, spokojne, dostojne słowa burmistrza miasta Gdańska przejęły go wstydem, dręczyły spojrzenia radnych.

Spodziewał się w tym mieście, złożonym z ludności napływowej, z narodowości różnych i różnych wyznań, znaleźć jedynie kupców, idących zawsze tam, gdzie nadzieja zysku większa

i większa obfitość chleba, a oto znalazł mężów, dla których umiłowanie prawa i prawdy milszym było od dobrobytu, uzyskanego złamaniem przysięgi.

— Raczy więc wasza wielebność słowa nasze powtórzyć jego dostojności królowi szwedzkiemu. Pragniemy pokoju, pragniemy go z całej duszy nie tylko dla Rzeczypospolitej, ale dla świata całego, bo jeno pokojowa, zbożna praca prowadzi ludzkość do rozwoju, a my miłujemy pracę. Aleć przemocy nie ustąpimy. I gdyby nawet jego królewska mość zdobył Gdańsk, co uchowaj Bóg, to bronić będziemy każdego domu i każdego progu. Czy wasza wielebność ma jeszcze co do nadmienienia?

— Do zguby idziecie...

— Bóg nie opuszcza tych, którzy Mu zaufali.

Biskup Croy opuścił salę radnych, ale uczucie głębokiego wstydu wziął ze sobą.

ROZDZIAŁ XIV.

Pożar.

Nadszedł dzień Zesłania Ducha św. Od wczesnego ranka świeżą zielenią przystrajano domy, przynieśli chłopcy, nie dbając o kule szwedzkie, całe naręcza młodej olszyny spod Biskupiej góry i tatarak z mokradeł i teraz Gdańsk przywdział uroczystą, wiosenną szatę. I w domu Ottona Grossa przybierali chłopcy wraz z panią Anną taras i drzwi wejściowe festonami z zieleni, w dwie wazy kamienne, zdobiące galeryjkę, nalano wody i ułożono wdzięcznie wiązanki jaskrów złocistych na tle ich ciemno-zielonych talerzowych liści.

— Teraz jeszcze chłopaki moje, wysypcie sień i stołowy tatarakiem, by wiosna była w całym domu, a potem idźcie się zbierać do kościoła; ja i brat, też z wami dzisiaj przystąpimy do Stołu Pańskiego, by czystą duszą uświęcić to wielkie święto.

Panna Anna zeszła na ulicę, spojrzała krytycznie przymrużonymi oczyma na swoje dzieło i uśmiechnęła się zadowolona, tak pięknie odbijała młoda zieleń od ciemnej czerwieni starej cegły i kamiennego obramowania bramy i okien, tak lekko sypały jaskry złote gwiazdy kwiecia z kamiennych waz.

Chłopcy stali w drzwiach wejściowych i na nich padł w końcu wzrok panny Anny i ciepły się stał miłowaniem wielkim; z więziami tataraku, z oczyma rozpromienionymi radością, piękni byli obaj. Zamilknęły dzisiaj nawet armaty szwedzkie, cisza była świąteczna, uroczysta, od morza szedł niski wiatr, pachła woda i kwiaty.

— Co tam reszta moich chłopaków robi dzisiaj, — zatroskała się panna Anna... — Tak niedawno byli tu wszyscy, i dom był pełen gwaru i pracy ochotnej, z warsztatu dobiegały echa piosenek i młodego radosnego śmiechu, kilka miesięcy tak całe życie zmieniło... Wolf Kummerstel głowę położył, ciężko ranny Fryc dochodzi w szpitalu, gdzie go przewieźli z bastionu, a reszta co dnia życia nadstawia. Chciała zabrać Fryca do domu, otoczyć go opieką, ale lekarz, uczony pan Hofmann, ruszyć go nie dał, mówiąc, że śmierć mogłoby sprowadzić ponowne przenoszenie; chodziła więc jeno co dnia do niego, czytywała mu książki nabożne, nosiła rosoły i wina, trzymała młodzieńca silną rękę, gorącą jak żar, w swoich dłoniach, uspokajała, koiła. Miała nadzieję życia, chociaż wiedziała, że nie ma ratunku, boć ciężko jest na wiosnę umierać młodemu, gdy wokół życia pełń, więc niech się łudzi, niech marzy o życiu, snuje plany na przyszłość, której dla niego nie będzie.

Łza zadrżała u rzęs starej panny. Nasunęło się jej porównanie życia ludzkiego z losem drzew: jedne gałęzie ledwie listowie rozwiną, a już je ręka ludzka obłamie i zwiędną, nie zaznawszy upałów ni burz lata, ani chłodu zimy, a inne trwają, aż je czerwienią i złotem oblecze nadchodząca zima i mróz je dopiero strząsa siny...

I nie wiedzieć, które piękniejszy mają los.

A człowiek, może i szczęśliwszy ten, co zabiera z sobą, w młodym wieku gasnąc, całą radość i całe młodzieńcze miłowanie życia, niżeli ten, co żyje długo, długo, aż szron zbieli głowę i barki się ugną pod ciężarem przebytego.

Chłopcy rozsypali tymczasem tatarak i wbiegli żywo do swojej izby na górze, myli się raz jeszcze, czesali, a potem przywdziali świeżą bieliznę i przygotowane na ten dzień uroczysty przez pannę Annę ubranie białe.

— Chciałbym, żeby mnie tak matka Katarzyna zobaczyła i Magdusia, tak niby blisko, a dostać się teraz do niej niesposób — wzdychał Stach. — Rodzice to może dziś z nieba widzą, może będą przy mnie, chociaż ja ich widzieć nie będę...

— A mnie tak jakoś uroczyście, tak lekko i radośnie!! — uśmiechnął się Witek, wychylając się przez okno i wciągając z rozkoszą wonne powietrze majowego ranka, a potem nagle przyskoczył do Stacha, przytulił się do niego i prosił:

— Jeżeli ci kiedy dokuczyłem, toć cię z całego serca przepraszam.

— To ty mi przebacz, łatwo mię złość ogarnia i chociaż mi potem nieraz żal, to jednak trudno naprawić. Nieraz mi się coś tak powie, że ani tego nie myślę wcale, i tak mnie potem wstyd i tak mi żal, gdy widzę, że przykrość komuś wyrządziłem niechcący. I tobie może nieraz dokuczyłem, ale naprawdę nie było w tym złej woli.

— Toć wiem.

— A w ostatnich czasach, wiesz, to i zazdrościłem ci trochę, a to też grzeszne i brzydkie uczucie, bo powinienem się był cieszyć... a zazdrościłem, że ty może masz dom, rodzinę, siostry, braci, a przede wszystkim, że masz nazwisko rodowe, że nie jesteś bezimiennym sierotą, znajdą, jako ja.

— Kto wie, czy ich odnajdę, kto wie, czy żyją, a jeżeli żyją, czy mają serce dla mnie.

— Żal ci będzie stąd iść?

— Pewno... co innego wiesz, gdyby tak można zabrać z sobą mistrza, ciocię Andzię, ciebie i te gdańskie wieże i tę cudowną muzykę dzwonów, widok z Biskupiej góry.

— I Wisłę, i morze, i Motławę i Radunię, młyn krzyżacki i kościół Panny Marii.

— Żebyś wiedział, zabrałbym to wszystko, bo wszystko to miłuję, no, ale chodźmy już, trzeba jeszcze Gutę przeprosić, i mistrza i ciocię Andzię, i podziękować za wszystko dobre. Wiesz, Stachu, strasznie jestem dziś szczęśliwy, oto Chrystus Pan zejdzie dziś do nas i zamieszka w naszych duszach, i tak bym pragnął, by Mu tam było wszystko miłe, by Go żadnym grzechem nie obrazić... O, i taki wdzięczny jestem mistrzowi i cioci Andzi, że ja, biedny, mały komediant, co przed kilku miesiącami nawet pacierza nie umiał, i żył jak to zwierzątko, dziś mam udział w życiu ducha, taki piękny, taki bogaty świat, podarowała mi ich dobroć, całym życiem chyba się im nie odpłacę. — Łzy rozbłysły w oczach pacholęcia.

Spiesznie zbiegli do stołowego pokoju, gdzie już czekała panna Anna w bogatym jedwabnym stroju, ze starannie ułożonymi siwymi włosami i dużą książką do nabożeństwa w ręku, i mistrz w wytwornym, na włoską modę uszytym stroju czarnym.

Gorące usta chłopców przylgnęły do rąk rodzeństwa; układali sobie w myśli, jak pięknie wypowiedzą przeproszenie, jak uroczyście podziękują, aleć zabrakło im słów, wzruszenie zdławiło głos, jeno w oczach łzy rozbłysły, stokroć wymowniejsze.

— Niech wam Bóg błogosławi, dzieci drogie, byście zawsze godnie przystępowali do Stołu Pańskiego i żadnym grzechem ciężkim nigdy nie obciążyli sumienia... Kto dobrze żyje, chociażby w pocie, w trudzie i płakaniu, ten i plon dobry obficie zbierze. Przemija ciało człowieka i jego radości i utrapienie ziemskie, a ostaje jeno to, co duchem zdobył i duchem uzyskał. Pamiętajcie o tym, chłopięta, i trwajcie w dobrym.

Pan Otto Gross przycisnął do serca te dwie głowy.

— — — — — — — — — — —

Grają organy, płynie przestrzenią śpiew chłopiąt błagalny, przed głównym ołtarzem, strojnym pękami białych i liliowych bzów, klęczy gromadka biało ubranych dziewcząteк i pacholąt, z woskowymi jarzącymi świecami w rękach, jak stado gołębi białych. Powaga chwili oblekła młode twarzyczki, przez oczy dusza się wydziera, spragniona, oczekująca, szczęśliwa a trwożna, zali godną jest przyjęcia Pana, a ufna w jego miłosierdzie niezmierzone.

A oto chłopiec, usługujący do Mszy świętej zarzuca na balaski obok wielkiego ołtarza obrus biały.

Wielka chwila nadeszła.

Chrystus wyciągnął ojcowskie ramiona. — „Pozwólcie dzieteczkom moim przyjść do mnie".

I oto idą.

Pierwszy szereg uklęknął na stopniu, bieli się Hostia w wzniesionych rękach kapłana.

Oto Ciało i Krew Pańska.

Oto Duch Chrystusowy, który przychodzi w was zamieszkać i wzywa: „Pójdźcie za mną, drogą wyrzeczenia, pokory, miłowania, ofiary".

Dreszcz głębokiego wzruszenia przejmuje ciała dziecięce, do oczu napływają łzy.

„Pozwól nam stać się godnymi niezmierzonej łaski Twojej, o Panie! Niechaj serca nasze będą tak gorące, myśli tak czyste, byśmy zasłużyli na miano dzieci Ducha Twojego. O Boże! Byśmy nigdy myślą, słowem i uczynkiem nie zaparli się Ciebie. Bądź przy nas przez ciąg życia naszego, bądź przy nas w ostatniej godzinie, o Chryste!" Przez witraże przedarł się złoty blask słońca i nagle, jak błogosławieństwo Boże, padł na dziecinne główki pochylone, na biel Hostii w rękach kapłana.

A teraz przyklękają po Chleb Żywota rodzice, biała garstka dzieci rozpierzchnęła się wokół głównego ołtarza.

Grają znowu organy, potężne, wspaniałe, radosne tony wypełniają nawę.

A chłopcy, wzruszeni do głębi, ślubują sobie w duszy, iż ten dzień na zawsze zachowają w pamięci i będzie im on jak gdyby gwiazdą przewodnią w drodze żywota. Że nie zmarnują dobrego siewu, jaki w serce im padł, jeno będą się starali rozwinąć go życiem, by w bujny urósł plon.

A starszym przypomina się podobna chwila z dalekiego dzieciństwa, i prawie wszystkie serca pełne są dobrych, szlachetnych porywów.

— — — — — — — — — — —

Minęło kilka dni, chłopcy poważniejsi się stali, pragnęli jak najdłużej zachować duszę w stanie łaski, więc zabawy ich były cichsze, słowa rozważniejsze, rankiem biegli do kościoła, chociażby na pacierz jeden. I była w nich tęsknota uczynków dobrych, pragnęli obaj, by mogli zdziałać coś naprawdę pożytecznego dla drugich i modlili się o to co dnia. Gdy zobaczyli starca dźwigającego z trudem ciężar nad siły, albo kobietę, śpieszyli z pomocą i mieli potem to cudne uczucie zadowolenia, które przejmuje serce człowieka, gdy spełni jakiś czyn dobry, gdy komu pomocą się stanie. A w oblężonym Gdańsku było dość sposobności do czynienia dobrze, do śpieszenia z oddaniem drobnych, a jednak tak bardzo nieraz potrzebnych usług, szczególniej, odkąd Szwedzi przebili kanał Raduni i odebrali miastu wodę do picia, gdy wszystkie studnie obumarły nagle, a cała ludność śpieszyła z konwiami i wiadrami do Motławy i Wisły. O, ileż razy starowina jakaś gięła się pod ciężarem pełnych wiader i ledwo dech chwytała piersią zmęczoną, jak błogosławiła, gdy chłopcy ofiarowali się z pomocą i uwalniali ją od ciężaru nad siły. To znowu zaczerpnąć trzeba było wody dzieciom, które matki wysłały z dzbankami, to wreszcie wyręczyć Gucię, której przy zbytniej otyłości trudno było chodzić tak daleko po wodę i dźwigać ją do domu.

Minęło znów kilka dni, chłopcy wracali właśnie z pełnymi wiadrami, przystając czasem, bo już ich bolały ramiona, gdy

usłyszeli trąbkę zwiastującą pożar. Z wieży ratuszowej strażnik zawiadamiał o pożarze. Pędem wpadli na taras, zostawili konwie u progu i pobiegli na stację zborną pogotowia; tu już ruch wrzał, zakładano konie do wozów, opatrywano, czy wszystko w porządku. Stacha wysłano na wieżę, by się dowiedział, w której stronie pożar. Po ciemnych, kręcących się nieskończonym wężem schodach chłopak biegł, z początku skakał po dwa i trzy stopnie, ale w końcu szedł coraz wolniej, bo było tych schodów moc, a coraz węższe, coraz bardziej spadziste, aż w końcu była już tylko drabina, wiodąca do galeryjki szczytowej.

— Hej, ojcze! — wołał Stach, drapiąc się z trudem w górę.— Gdzie to pożar?

— Wystawiłem wam przecież chorągiewkę podle Wysokiej bramy, ale jakeś tu już najniepotrzebniej w świecie przylazł, to chodź, popatrz, zobaczysz jak na dłoni, tuż wedle Wysokiej bramy.

Stach wgramolił się na galeryjkę i aż przymknął oczy, tak cudny słał się wokół widok. Gdańsk leżał mu u stóp w całej swej krasie, wiły się błyszczące w słońcu srebrzyste wstęgi rzek. Pogodne, faliste wzgórza okoliczne świeżą rozbłyskały zielenią, znaczył się murów obronnych wał i daleka błękitna linia morza. Widać było szwedzkie namioty, jak stado motyli spoczywających na łące, i małe obłoczki lecących wystrzałów.

— Widzisz... tam.

Stach spojrzał za suchą ręką strażnika.

Czarny, gęsty słup dymu wzbijał się ku błękitnemu niebu, wytryskały z niego od czasu do czasu czerwono-złote promienie.

Chłopak spojrzał w krąg z żalem, tak tu było cudnie, a śpieszyć się należało... Szkoda, mógłby patrzeć godzinami.

Raz jeszcze zachwycone oczy chłopca objęły Gdańsk i ujście Wisły, a oto znów objął go mrok, chłód murów i przypomniało mu poczucie obowiązku, że śpieszyć trzeba.

— A uważaj przy schodzeniu. W wysokości drugiego piętra wzięli barierę do naprawy i jest jeno sznur! — leciał za nim ostrzegawczy głos strażnika.

Zbiegł dużo szybciej, aniżeli wyszedł, dopadł strażnicy w chwili, gdy właśnie wyjeżdżały z niej wozy z ekwipażami pożarnymi, uwiesił się u jednego z nich. Konie szły, jak wiatr.

O! widać już doskonale czarny, gęsty słup dymu i ognia, wznoszący się w górę, jak gdyby kolumna zdobna jakimś rozwitym pióropuszem. Płonął w pobliżu Wysokiej bramy dom rzeźnika Sebastiana Klotee, wąski, wciśnięty w szereg innych, groził, iż lada chwila ogień przerzuci na sąsiedni dach.

Płacz, lament, gwar, ludzie przez okno wyrzucali na ulicę pościel, meble, ubrania.

Komendant straży w jednej chwili objął sytuację, należało przede wszystkim mieszkańców domu usunąć, zająć dachy sąsiednich domów i nie dopuścić do rozszerzenia się pożaru.

Podzielił więc swoich ludzi. Jedna część na dachu rozścielała mokre szmaty i lała w pożar wiadra wody, od rzeki zaś aż do dachów domów ustawił w odstępach ludzi i jedni drugim podawali pełne wiadra do góry, a puste na dół.

Stach znalazł się na dachu, gorąco tu było strasznie, dym dławił, ale ratunek szedł żwawo, coraz to nowy strumień żygał falą w wzburzone kotłowisko ognia i wtedy słychać było syk, płomień się cofał, zamierał, słup dymu czarniejszy się stawał i bardziej dławiący. Ale oto już znowu wystrzela czerwony język ognia, pełznie wzdłuż krokwi, liże wiązania dachu, leci deszcz iskier ku błękitowi ciemniejącego nieba. Stach pracuje gorączkowo wraz z innymi. Jest jakaś dziwna przyjemność, gdy człowiek walczy z żywiołem, i on ją odczuwa w całej pełni, wie, że może to być walka na śmierć i życie, że jeden krok nieostrożny, a może runąć tam w to kłębowisko rozszalałych płomieni, a jednak stara się dostać jak najbliżej, by wypróżnić swoje wiadro i widzieć, jak to wszystko przygasa na mgnienie.

Do komendanta przypadła rzeźniczka z oczyma obłąkanymi trwogą.

— Córeczka moja chora, leży na trzecim piętrze, zbiegłam na dół, a teraz wrócić chcę, a toć się już schody palą. Dziecko moje... o Boże, Boże!

— Na ochotnika, kto pójdzie na górę po dziewczynkę?!

Chwila milczenia, spojrzenia biegną tam, do tego piekła.

— Ja...

— Ty, dziecko... alboż dasz radę?...

Spojrzenie komendanta obejmuje szczupłą, ale nad wiek wyrosłą postać Witka Brzeszczyca.

— Ano, to idź, prawda, to ty, co tak pysznie po drabinach chodzisz. Kosz weź, byś ją mógł w nim spuścić, linę mocno do okna przytwierdź, my tu na dole trzymać będziemy i spuszczaj zwolna... Z Bogiem, synu.

Witek mokrą szmatę zarzucił na twarz i głowę i wdrapywał się szybko i zwinnie, jak kot.

— W pierwszej izbie na lewo! — krzyczy z dołu nieszczęśliwa matka, a śmiały chłopak wdziera się coraz wyżej i wyżej, ścigany setkami niespokojnych oczów. Ot, głupstwo, przypomina mu się chodzenie po linie, żadna sztuka, żeby jeno nie ten dym, co tak strasznie oddech tamuje i ciężarem zwalistym na piersiach leży. A oto dosięgnął już obramowania okna, szyby potrzaskały od gorąca, więc i dostać się łatwo do wnętrza; odpiął linę od kosza, przeciągnął ją przez okienny krzyż i z powrotem do kosza przytwierdził. Spojrzał w dół, rościelono pościel od wszelkiego wypadku.

Jak ten dym w oczy gryzie... w gardle dusi.

Chłopak krótką, jak mgnienie chwilę, stał niezdecydowany. „Wróć się...“ — szeptał mu lęk... A cóż biedna, chora dziewczynka, ginąć ma w tym piekle? Zawali się może dach za chwilę i pogrzebie ją w gruzach... albo i dym zadusi.

Wskoczył do wnętrza, do łóżka dopadł, nawpół oślepły od dymu, dojrzał jednak, że łóżko było puste...

Jezus, Maria, zwlokła się z łóżka biedota, i gdzie ja jej teraz szukać mam.

Sufit płonie...

Wrócę się chyba...

Będzie, co będzie, kiedym się podjął, to i wykonać należy.

Przecież tak człowieka bez pomocy nie ostawię... i ona pewno daleko nie zaszła.

A sufit płonął — po kasetonach z czarnego dębu szły czerwone, drżące, wibrujące liźnienia i pełzał dym...

— Zdrowaś Mario! łaskiś pełna... — modlił się całą duszą chłopak, rozglądając uważnie, a oto przy drzwiach wejściowych, rozróżnił w walącym przez nie dymie, zemdloną dziewczynkę, w koszulinie, z twarzyczką bladą, jak opłatek, a ku niej pełzały już drobne, lśniące migotania płomienia... Chwila jeszcze, a ogarną ten warkocz czarny, co się po podłodze wije...

Witkowi, jak gdyby sił przybyło, skoczył, ramionami ją objął, ku oknu ciągnął i nagle ogarnął go lęk, że jej nie da rady do kosza wsadzić, szczupła była i mała, aleć i tak ciążyła zbyt wielkim ciężarem jego chłopięcym ramionom. Byle tylko do okna ją dowlec, byle do powietrza...

W głowie czuł już coś z tego czadu dokoła, plątały mu się myśli i słabły członki, coś jak sen zaczęło go ogarniać, wstawała pokusa: „połóż ją, wypocznij... na mgnienie tylko oczy przymknij"...

Omdlewam, czy co?!

Do okna dopadł... na gzyms wyszedł, rozpaczliwym wysiłkiem dziewczynkę ku sobie przyciągnął i w koszu umieścił.

— Ciągnąć! — wołał w dół.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... Amen...

Widział, jak kosz zsuwał się w dół, coraz niżej i niżej.

Pochwycił drabinę i zaczął się po niej zsuwać... nagle usłyszał nad sobą głuchy trzask, fala dymu i ognia ogarnęła go, to runął przepalony sufit trzeciego piętra...

Tak bliską była śmierć.

Z dołu słyszał radosny krzyk ludu, ale naglę drabina, płonący dom, wszystko zaczęło wirować w krąg, migać... Ostatkiem mierzchnącej świadomości przechylił się na drabinie i skoczył w dół.

ROZDZIAŁ XV.

W nurtach Wisły.

Gdy po długim omdleniu Witek otworzył oczy, zdało mu się, że wszystko minione snem było, albo że teraz śni. Leżał na szerokim, dębowym łożu Ottona Grossa, w jego pościeli; nad łóżkiem ze złotych matowych ram wychylała się Madonna z Dzieciątkiem. Wyczerpanemu chłopcu wydało się, że Madonna dziecko kołysze, a mały Jezusek śmieje się radośnie. Zaczął i on uśmiechać się do tego obrazu.

A potem zwolna wracała świadomość, powoli, powoli przypominał sobie wszystko. Głowa go bolała, piekły oczy, nieznośny smak dymu czuł w ustach, a gardło miał jak gdyby odrapane. Zresztą czuł się zdrowy, zdawało mu się, że mógłby zaraz wyskoczyć z pościeli, jeno pić mu się chciało bardzo... bardzo.

Powiódł oczyma po pokoju i zobaczył przy oknie Stacha, chłopak siedział i wycinał coś cieniuchną jak włos piłeczką.

— Próbuje robić intarsję — pomyślał Witek, a równocześnie dojrzał na stoliku szklankę z jakimś płynem.

— Stachu!

— Wituś! — chłopak rzucił piłkę i do łóżka podbiegł. — Jakże ci?

— Dobrze, jeno mi się strasznie pić chce i w gardle mnie drapie. Wisłę bym wypił.

— Masz tu wodę ocukrzoną z cytryną, skosztowałem jeden łyczek, wyborna, mówię ci! Prawda?

— Prawda.

— No, chwała Bogu, że ci nic, najpierw zemdlałeś, a potem przyszedłeś na chwilę do siebie i zaraz zasnąłeś i spałeś, spałeś całusieńką dobę, aż nas lęk brał. Ciocia Andzia siedziała przy tobie całą noc, a potem mistrz, a teraz ja... Zaraz polecę ucieszyć ich dobrą nowiną, że patrzysz przytomnie. I naprawdę nic cię nie boli?

— Głowa trochę, i więcej nic.

— Ciocia Andzia zaraz wezwała lekarza, powiedział, żeby cię nie budzić, a potem, żebyś w łóżku się wyleżał ze dwa dni.

— A toż bym się urwał chyba. Głowa mnie boli, ale to z tego czadu, wyjdę na powietrze, to odwietrzeję. A czemuż mnie tu położyli?

— Bo się panna Anna bardzo bała o ciebie, a tu byłoby jej wygodniej dozorować cię w chorobie, niżeli wciąż do nas na górę latać...

— Dobra ciocia Andzia!

— Ty, Witek, wiesz? Nasi robią tej nocy wycieczkę, by przebić wał w Kłodawie i zatopić całą okolicę od Tczewa aż do Müggenhallu, zaś od strony Żuławy mają zniszczyć groble i spuścić jezioro Lubiszewskie, by zatopić szwedzkie kwatery, a potem się cofnąć do Gdańska. Użyją Szwedzi kąpieli, niespodziewanie ich zaskoczą w nocy, a...

Stach urwał nagle i zaczął pilnie oglądać wyrzynaną deszczułkę.

— Ty, ty... jeszcze masz coś do powiedzenia, jenoś zjadł... Gadajno, Staszek.

— Nie.

— A oczy odwracasz... ej, ty... No, co?

— Naprawdę, nic...

— Pokaż nos, Guta mówi, że jak się kłamie, to ma się wtedy nos ciepły, pokażno twój.

— Aleć mówię ci, że nic.

— A cóż ta chora dziewczynka?

— Kiepskawa podobno... Pójdę do panny Anny... zjadłbyś co może?

— Jakoś wiesz, nic a nic mi się jeść nie chce, a cóż ogień?

— Udało się ugasić w jakąś godzinę, zapadła się jeno jeszcze powała na drugim piętrze, na pierwszym i na parterze wszystko ocalało, tylko czarne od sadzy.

— Długoście tam jeszcze pracowali?

— Do północy.

— A ty gdzieś był?

— Na dachu, tak wiesz chlust, chlust, konew za konwią, a ogień za każdym razem sy... sy... jak gdyby w twarz dostał i jęczał z bólu. Ale ci potem spałem, mogli mi Szwedzi nad uchem strzelać, a pewno nie byłbym się przebudził.

— Staszek... — Witek na łokciu się podniósł, ale uczuł taki zawrót głowy, że opadł na poduszki z powrotem. — Staszek, ty jeszcze coś wiesz i język cię okrutnie swędzi, ale ci gadać zabronili.

— W sednoś utrafił. A tyś czego taki ciekawy? Gdańska Szwedzi nie wzięli, a reszta furda!

— Bo wy pewno chcecie iść z wycieczką beze mnie?...

— Właśnie! Wzięliby nas. Zresztą Uphagen i Bartoldy powiedzieli, że przyjdą do ciebie wieczorem, ty ich wypytaj, wiesz, że Bartoldy zawsze wychlapie, jak tylko ma co.

— A ty nic...

— Jak ta czasem... ciocia Andzia powie ci, ale jutro.

Stach wybiegł, bo za wielką miał ochotę opowiedzenia Witkowi o nowinie dnia. Pan Otto miał wyjść dzisiaj w nocy z wycieczką i gdy woda zaleje obóz szwedzki, skorzystać z zamieszania i przedostać się przez linię wojsk oblężniczych. Chodziło o to, by ktoś listy Rady miasta Gdańska, wzywające pomocy Jana Kazimierza, do Czarnieckiego odwiózł, by ten ktoś do Elbląga dotarł i oddał tam pisma, donoszące o położeniu ogólnym miasta, o stanie oblężenia i obrony, naglące o wysłanie pomocy,

a przeznaczone dla Holandii. Tych listów byle komu powierzyć nie było można, los Gdańska zawisnął może od tego, by doszły swego przeznaczenia. Więc podjął się pan Otto Gross ponieść tę ofiarę dla ojczystego miasta; korzystając z zamieszania, jakie w szwedzkim obozie sprawić musiało zalanie okolicy wodą, wydostanie się jakoś poza linię wojsk, w żebraczym przebraniu przez kraj pójdzie i listy doręczy.

Stach, gdy się o tym planie dowiedział, dotąd błagał, prosił, przedstawiał, aż go pan Otto obiecał wziąć ze sobą, bo chłopak miał w pogotowiu trafne argumenty: we dwóch będzie śmielej, bezpieczniej, zna wiślane łęgi, bo na nich wzrósł i przeprowadzi nimi pana Grossa, wreszcie poniesie listy, których u niego nikt szukać nie będzie, boć i któż podejrzewałby żebracze pacholę o polityczne sprawy. A wreszcie przyszła Stachowi myśl, której słuszność uznał i pan Otto. Otóż, kędyś tam, w rumowiskach spichlerzy pozostać musiała buda starego Piegoniusa, a w niej były jego papiery, które obecnie mogłyby się im przydać. Poszli więc po południu na poszukiwania; Stach pamiętał dokładnie miejsce, gdzie przyłapał starego włóczęgę, niedługo odnaleźli ukrytą w piwnicy budę na kółkach, były w niej flaszki z rozmaitymi napisami. Leki te zdaje się były sprzedawane przez Piegoniusa na targach i odpustach, bo na flaszeczce, którą do ręki wziął pan Gross, widniał napis: „Dla swarzących się stadeł kordiał niezawodny, podać w polewce albo w winie". Ale nie tego szukał pan Gross. Znalazł węzełek ze szmatami starego, te mogły mu się przydać do przebrania, wreszcie w kieszeni starego wyrudziałego płaszcza znalazł przepustkę, upoważniającą Franciszka Dezyderego Piegoniusa do przebywania na linii wojsk szwedzkich. Pan Gross ucieszył się szczerze, ten dokument tworzył pewnego rodzaju gwarancję bezpieczeństwa.

— Pysznie, będę do Piegoniusa tak podobny, jak jego brat rodzony. Bartoldy ma siwą perukę, bo się w zapusty ubiegłego roku za dziada przebierał... I te stare łachy włożę na siebie...

średnia przyjemność w takie szmaciska włazić, no, ale trudno. Ale ty, Staszku, lepiej by było, byś nie szedł ze mną, bo przy takowej imprezie życie można położyć.

— Za was i za Gdańsk nie żal! — Gorące usta chłopca przylgnęły do ręki opiekuna, czarne, pełne prośby gorącej oczy wzniosły się błagalnie. — Zobaczycie, zawadą wam nie będę, jeno pomocą, silny jestem i śmiały, a za was... w piekło bym poszedł...

— Także mnie to miłujesz? — niezwykle miękko, pytał pan Otto, a usta mu drżały pod czarnym, krótko przyciętym wąsem, a chłopcu słowa zdławiło wzruszenie, ale w oczach rozgorzałych była odpowiedź wymowna.

— A cóż ty włożysz?

— A Witkowe aksamity, ciasne będą i krótkie, ale to nic, tym lepiej właśnie.

— Dobrze. Słuchaj, synu, Anna wie wszystko... ale Witkowi nie mów, słaby jest, wypocząć musi, a szarpałby go lęk o ciebie i o mnie, dowie się, jak wstanie. Dobrze, że chociaż on przy Annie pozostanie, bo byłoby jej może za ciężko, choć dzielna z niej niewiasta. Nie mogłem, Bóg widzi, inaczej. Wszyscy rajcowie, ławnicy i członkowie Rady stu, to ludzie, mający żony i dzieci, ja jeden tylko mogę pójść, nie zostawiając za sobą żałoby, tym bardziej, że w razie jakowego wypadku, warsztat potrafi już prowadzić podmajstrzy i prowadziłby go dalej. A moja Anula miłowana jest przez nich, jak macierz rodzona, więc jakoś to będzie. A może listy uda się przewieźć szczęśliwie, a wtedy ukochane miasto pomoc otrzyma. Jeżeli nas Szwedzi schwytają, czym nie omieszkają się pochwalić, to ofiarował się pójść jeden z braci pobernardyńskiego klasztoru.

Więc uciekał teraz Stach, by się przed Witkiem nie wygadać, bo straszna go pokusa brała, by się przed nim pochwalić. Wieczorem jednak raz jeszcze zajrzał do Witka i ucieszył się, że ten jego serdeczny towarzysz spał znowu, że nie spojrzą mu w twarz jego oczy bystre i badawcze.

— Stach, kręcisz coś.

A gdy się pochylił nad łóżkiem, nad tą jasną, w tył odrzuconą głową przyjaciela, przyszło mu na myśl, że to może ostatni raz widzi go na ziemi i sercem szarpnął żal. Pochylił się i delikatnie pocałował go w czoło, w to białe, wyniosłe, szlachetne czoło.

Panna Anna pakowała im do torby jedzenie i koszule do zmiany, ale mówiła z nimi tak, jak gdyby zobaczyć się mieli jutro, i ta jej spokojna pewność dodawała ducha i mocy.

Stach, w błękitnych aksamitach Witka, ze swymi czarnymi w kędziorach, opadającymi włosami i z ciemnymi otchłannymi oczyma, wyglądał jak południowiec, pan Otto w starych szmatach Piegoniusa, z siwą peruką i zgolonym wąsem, tak się pochylił i zgarbił, że robił wrażenie starca.

— A może i budę weźmiemy z sobą? — pytał Stach, którego ta cała wycieczka cieszyła po dziecinnemu.

— Także pomysł, krępowałaby nam swobodę ruchów, a kto wie, jakimi drogami iść nam przyjdzie.

— Którędy wyjdziecie z Gdańska? — pytała panna Anna.

— Chciałem od strony Żuławy, ale Winter mówi, że najlepiej Wisłę przebyć, cała uwaga szwedzka będzie wtedy skoncentrowana na zalanych kwaterach, a my przedostaniemy się na drugi brzeg Wisły, zapadniemy w łęgi, pójdziemy w stronę morza, a potem przez deltę Nogatu do Elbląga.

— Może to i lepiej.

— Wiślane łęgi tak znam! — zaśmiał się radośnie Stach, — zapadniemy w nie tak, że nas Szwed nie wytropi.

— No, bywaj zdrowa, Anno, i bądź dobrej myśli...

— Niech was Bóg prowadzi i przyprowadzi.

Zniknęli w cieniach nocy, a panna Anna długo, długo stała na tarasie, teraz już nie potrzebowała panować nad sobą, teraz nikt już jej nie widział, jeno Bóg, więc ukrywszy twarz w dłoniach modliła się, szlochając.

— — — — — — — — — — —

Noc była ciemna, wonna, cudna noc czerwcowa. Po burzy, która przeszła nad miastem po południu, powietrze nabrało tej dziwnej, pełnej świeżości i tężyzny woni, którą można jedynie nazwać aromatem budzącego się życia. Pan Otto ze Staszkiem i Fryderykiem Ehlerem znaleźli się wkrótce nad Wisłą. Nad rzeką była mgła i w pobliżu kilku kroków nie widziało się nic, jeno mgliste zarysy.

— Dobrze jest, będziecie mogli podpłynąć blisko ku brzegowi, a nie dostrzegą was, ale w każdym razie zaczekajcie lepiej, aż nasi dokonają zamierzonego dzieła, będzie wam bezpieczniej.

Otto Gross usiadł na kamiennym obramowaniu wiślanego brzegu, taka była na okół cisza, niczym niezamącona, szemrał w niej tylko jednostajny plusk drobnych fal, płynących wolno, ale niewstrzymanie drogą swego przeznaczenia.

— Po co zabierasz tego chłopca? — przerwał ciszę zapytaniem pan Ehler.

Ręka Ottona spoczęła na głowie pacholęcia.

— Bo miłuje Gdańsk, jako ja, i jako ja nie ma nic do stracenia, prócz życia. Gdybym ja padł, to on pójdzie dalej, wtajemniczyłem go we wszystko, bo wiem, że na nim polegać mogę, jak na samym sobie, a pragnął iść...

— Nie boisz się? — zwrócił się pan Ehler do Stacha.

— Ja?!...

Tyle było w tym pytaniu obrażonej dumy, że pan Ehler się roześmiał.

— Czupurny jesteś. Czyjżeś ty?

— Sierota jestem, znajda, wołają mnie Stach.

— Nic nie wiesz o rodzicach twoich?

— Nic, morze mnie przyniosło... a na piersiach miałem ryngraf z Matką Boską i z napisem: „Stachowi z błogosławieństwem — Ojciec". Stąd widzieli ci, co mnie przygarnęli, żem chrześcijanin i że mi na imię Stach. Pst...

Pochylili się naprzód, słuchali... Zdawało im się, że tam, skądś, daleko, napływa rosnąca z każdym mgnieniem wrzawa...

— Słyszysz?...

A oto słychać już huk wystrzałów... ryk dział i palbę ręcznej broni, a ponad tym wszystkim rozpaczliwy krzyk ludzi, walczących z nieoczekiwaną śmiercią.

— Nasi przerwali groblę... Piekło tam musi być.

Jezioro Lubiszewskie wali teraz całą potęgą... prosto na kwatery szwedzkie... i niejeden utonie... Nie mieli oni litości, odebrali wodę do picia, to niechże się jej teraz opiją po szyję. — Pan Fryderyk Ehler dorzucił po chwili:

— Aleć człowiekowi tych ludzi żal. No, ale na was czas.

— Z Bogiem.

Otto Gross ze Stachem wskoczyli do łodzi, chwycili wiosło i wprędce zniknęła im we mgle i w mroku sylwetka burmistrza i potężne zarysy Gdańska. Płynęli wolno, milcząc; szept wiślanej fali zabijała piekielna wrzawa, płynąca od szwedzkiego obozowiska.

A noc była taka ciepła, wonna...

W pobliżu zaś kosiła śmierć.

Widać było we mgle światła jakieś migocące niespokojnie, otoczone tęczowymi koliskami; zjawiały się, nikły, ukazywały się znowu. Śledziły za nimi zaciekawione oczy Stacha, bo cudnyż to był widok, jak gdyby gwiazdy nagle na ziemię spadły i zaczęły obłędny, szalony, zawrotny taniec...

A teraz z murów Gdańska huknęły działa i na mgnienie z mroku i mgły wykwitnęły czerwonym światłem oblane mury, wieżyce, i zniknęły znowu...

Myśl Ottona Grossa leciała w przeszłość daleką, dźwięczał mu w pamięci łagodny głos Krysty, patrzyły w niego jej oczy otchłanne, Polką była jego żona umiłowana. Przypomniały mu się równie piękne, równie wonne noce czerwcowe, gdy Wisła im weselną nuciła pieśń, a stare mury Gdańska patrzyły dobrotliwie na ich młode szczęście.

Minęło.

A jednak zdaje mu się, że gdyby wyciągnął rękę, to dotknąłby jej drobnej, białej ręki, iż gdyby wytężył wzrok, ujrzałby ją tuż przy sobie.

Ot, złudzenie!

Wieleż by dał, aby prawdą było!

Minęła tak może godzina, może i więcej.

— Mistrzu.

— A co?... — drgnął pan Otto, jako człowiek nagle ze snu zbudzony.

— Brzeg w pobliżu... rozróżniam już dobrze topole...

— Ano to krzyż święty, chłopcze, Patrona twego świętego wezwij na pomoc i w wodę.

— Mistrzu.

— A co?

— Jakbym tak opończę na wiosło zatknął, myśleliby, że człowiek siedzi.

— Zostawno dzieciństwa, i nie marudź.

— Napsuliby trochę prochu.

— W wodę.

Stach posłuchał, ogarnęła go wiślana fala chłodna, pieściwa, dojrzeli wprędce linię wybrzeża nierówną, szarą i odcinającą się od wydm sylwetkę szwedzkiego żołnierza.

— Płyń pod wodą, jak długo ci tchu stanie, a potem na brzeg pomiędzy tą jedną, a drugą wartą, koło tej topoli krzywej. A cicho... mgła wielka i patrzą w stronę obozu, a nie na rzekę.

I rzeczywiście, żołnierze stali wprawdzie, ale byli do Wisły odwróceni bokiem, całą bowiem ich uwagę pochłaniał ów taniec świateł w szwedzkim obozie i ten krzyk, którego nie umieli sobie wytłumaczyć.

ROZDZIAŁ XVI.

Włóczęga.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... Matuś!

Katarzyna właśnie nalewała z garnka wrzące mleko na miskę, i na głos Stacha garnek z rąk jej wypadł, a biała struga popłynęła aż ku drzwiom.

— Jezus, Maria, chłopcze, skądżeś ty tu? I tak ubrany dziwacznie.

— Z Gdańska, matuś, dajcie nam co jeść i pozwólcie się przespać, straszneśmy znużeni, zdaje mi się, że mógłbym spać gadając...

— Szwedzi są u was? Dochodząc do chaty, widziałem podeszwy butów wyglądające z podstrysza, — mówił pan Otto.

— A są, śpią jeszcze na podstryszu, za bydłem przyjechało ich kilkunastu, i rozleźli się na noclegi po chałupach; krowy nam będą zabierać... Ot, życie... a wam chodzi o to, żeby się ze Szwedami nie spotkać?

— Zgadliście, matko.

— Idźcie do komory, jadła wam tam przyniosę i słomę, tam nikt nie zajrzy.

Jej twarda, spracowana ręka gładziła śniadą twarz Stacha.

— Mojeś ty dziecko serdeczne, jakeś to wyrósł, jak zmężniał, oj pusto bez ciebie w chacie, pusto... A gdzież to teraz idziecie?

Stach na pana Grossa pytająco spojrzał, a ten pośpieszył z odpowiedzią.

— Ważne listy wieziemy, matko, i dlatego Szwedów musimy się strzec i w ogóle najlepiej, gdy nikt o nas wiedzieć nie będzie.

Matka Katarzyna podniosła dumnie głowę.

— Jak ta chcecie, panie, ale lękać się nie macie czego. Jak wam Szwed wróg, to wam każdy Kaszub dobry brat, bo tu polskie biją serca pod zgrzebną koszulą, wierne serca.

— Nie poznaliście mnie, matko Katarzyno, pod przebraniem, chociaż byliście u mnie tyle razy...

— Ja? u was?... Pierwszy raz was w życiu widzę.

Klasnął w dłonie Stach, śmiejąc się radośnie.

— Pana Grossa nie poznaliście, matko?

— Przecież.

— Co?

— Włosy macie białe, jak mleko, panie, a pan Gross młody jeszcze człek.

— To nie moje, jeno w tym przebraniu przejść łatwiej. Starego dziada, idącego z pacholęciem po żebrach, żołnierz nie ukrzywdzi.

Weszli do komory, a w chwilę potem Katarzyna przyniosła chleb, ryby suszone i żur na rybim smaku. Dobre im się to wszystko wydało niezwykle, po trudach całonocnej wędrówki głodni byli. Matka Katarzyna wróciła do izby, by Szwedom uwarzyć śniadanie, wpierw jednak jeszcze przytuliła do piersi ciemną głowę Stacha.

— Takam rada, że cię widzę, takam rada. A jak się ojciec ucieszy, poszedł o świtaniu, ryby w nocy ułowione solić.

Jedli, nadsłuchując, jak w izbie coś Szwed jakiś z matką Katarzyną rozprawiał, znać i tam jedzono śniadanie, a Stachowi zaczęły się nagle oczy kleić, głowa opadać, rozbudzał się przemocą, bo głodny był jeszcze, ale w końcu usnął z chlebem w ręce.

Pan Otto wstał cichutko, chłopaka na słomie ułożył i zwiniętą opończę wsunął mu pod głowę.

Przez okienko komory wpływał ożywczy podmuch morza i wiślanej fali, szumiał cicho w kwieciu stojący sad. Jabłonie, oblubienicom podobne, wglądały przez okienko komory.

Otto Gross wyciągnął się na słomie, oczy przymknął, ogarnął go zapach jabłoni i rozkosz wypoczynku.

— — — — — — — — — — —

Od czasu do czasu matka Katarzyna zaglądała do komory, zaglądała o południu, gdy słonko wysoko stało, a kasza ciepła czekała spożycia, i wieczorkiem, gdy już ku zachodowi szło, ale ci spali, więc jeno poprawiła Stachowi głowę, na słomie przysiadła i leciusieńko gładziła spracowaną ręką po czarnej, falistej czuprynie chłopięcia, a on snać śnił coś miłego, bo na purpurowe, lekko rozchylone usta wybiegł radosny uśmiech.

Przed wieczorem Szwedzi zabrali kilka krów z osady, jaja, ryby świeże i suszone i odjechali. Mrąwa z połowu wrócił i ucieszył się szczerze chłopakiem. Wreszcie zbudził się pan Gross, do izby przyszedł, witając Mrąwę silnym uściskiem dłoni.

— Ot, i przyszliśmy do was, ojcze, wypocząć, a tak nam szumiało morze, tak pachły jabłonie, że się spało po królewsku.

— Czy wy chcecie, panie, dziś w dalszą drogę?

— Pewno, czas nagli, tam — ręką w kierunku Gdańska wskazał — każdy dzień drogi.

— Nie radziłbym wam, na burzę się ma. Wiślane łęgi zna Stach wprawdzie dobrze, bo ciekawość go zawsze po nich gnała, aleć niebezpieczne są, raz murawy, raz piaszczyste rozpadliny, w dnie przejść dobrze, nocą bym wam nie radził, łatwo nogę można skręcić, albo i kąrk.

— Radzicie więc zanocować?

— Ano, pewnie. A potem nie łęgami idźcie, jeno brzegiem morza, mówiła mi Katarzyna, że do Elbląga chcecie. Dojdziecie do Nogatu, a potem was rybacy podwiozą. Szwedów nie spotkacie, bo kiego licha by się nad morzem włóczyli! Jedna noc opóźnienia niewiele znaczy, a jakbyście nocą w rozpadlinę jaką wlecieli, albo woda wielka przyszła, to byście mogli łatwo śmierć znaleźć.

— Ano, to zostać trzeba. Woda duża?

— Nie, jeno mętna, znać, że gdzieś niżej burze były i deszcz.

Zbudził się Stach, do izby wpadł, Mrąwie do rąk przypadł, na pana Grossa spojrzał.

— Idziemy? Matuś, straszniem głodny...

— To jedz synku, ot chleb masz i ryby wędzone i mleko kwaśne.

— Jutro pójdziemy o świtaniu, bo tak Mrąwa radzi.

— A przelecieć się po wsi można? Do krów na łąkę zaglądnąć, do starego Marcina, do Magdy.

— Pozwólcie mu, panie — prosiła Mrąwowa.

— Kaszubom zaufać można, nikt was tu nie zdradzi.

— No, to leć!

Stach porwał kawał chleba i rybę, pocałował Katarzynę tak gwałtownie, że jej biały czepek przekrzywił, i jednym skokiem za drzwiami był.

— Hej! Ha! — leciał jego młody, swawolny głos po zielonej murawie, aż hen do sosnowego boru. Pognał tam, gdzie zwykli byli krowy pasać i myślał: ku zachodowi się ma, niedługo Magda ku chałupom popędzi.

— Hej! Ha! — cienko, piskliwie odpowiedział mu dziewczęcy głosik od boru.

— Magda! ani chybi!

A ot. już i Bryś leciał ku niemu w ciężkich podskokach, przypadł, łapy mu na ramionach wsparł, i omal nie obalił. Magda też przybiegła zaraz, w czerwonej chusteczce, na jasnych włosach, uradowana ogromnie.

— O Jezu! Stach.

A on ją za ręce opalone porwał i zaczął z nią wywijać po murawie, aż jej kosy zaplecione furczały i zbrakło tchu.

— Skądżeś się wziął?

— Z deszczem spadłem!

— Długo będziesz?

— Calusieńki wieczór. Pognamy krowy ku chałupom.

— Czas jeszcze, siądź i gadaj... o Gdańsku, o Szwedach, dużoś biedy użył? Nie znać na tobie... Ale co to za ubranie? Uważaj, jak siadasz, bo ci pęknie...

Chłopak wyciągnął się na murawie i zaczął jej opowiadać bez ładu i składu, co robił przez ostatnie miesiące, a oczy mu się śmiały i śmiały usta. A Magda „źródełko" płakała nad starym Piegoniusem, Witkowym bohaterstwem i nad małą Anulą Kummerstela.

— A tyś co zdziałał? — zapytała w końcu.

Chłopak się zaśmiał.

— Ostałem się cały i zdrowy, a to też sztuka...

— A gdzie teraz idziecie?

— Witek tyle o włóczędze naopowiadał, jako bardzo miła jest, więc wybraliśmy się z panem Grossem spróbować.

— A tam naprawdę tak granaty latają?

— Jak jaskółki i też świergocą, lecąc. A wam Szwedzi nie dokuczali?

— Nie, jeno krowy pozabierali i ryby i wszystko, co się dało zjeść; bieda teraz po chałupach, warzy się pokrzywy i podsypuje otrębami, mleka się trochę chlipnie, bo lepsze krowy wygnali gospodarze na wiślane wyspy, a dla niepoznaki to tylko najgorsze zostały, aleć za to dzielą się bogatsi mlekiem i omastą, a jak się cieliczki podchowają, to dadzą za zabrane bydło.

I gadali tak jedno przez drugie, aż się słońce schyliło nisko, nisko i zaczęła padać rosa.

Pognali więc krowy ku chałupom, a chłopak zbierał po drodze astry polne i wyki ciemno-liliowe, chciał ten bukiet oddać Magdusi, aleć jakoś nie śmiał, i ofiarował go w końcu Krasuli, która kwiaty zjadła z apetytem.

— — — — — — — — — — —

O świtaniu ruszyli w dalszą drogę, ranek był chłodny po nocy burzliwej. Wisła wezbrana szumiała groźnie, niosąc na rozpętanych falach pnie drzewne, łodzie wywrócone, trupy ludzkie, a barwę miała brudnoszarą, zmętniałą do dna.

W południe wypoczęli w borze sosnowym, a worek z zapasami panny Anny, zelżał znacznie. Wzmocniło ich stare wino, nasycił pyszny biały chleb ze szynką.

— A cóż zrobimy z noclegiem? — pytał Stach.

— Zobaczymy, jak będzie noc pogodna, to i pod otwartym niebem zaśniemy.

— Moc komarów bywa tu nocami, — zauważył Stach. — Wody stojącej i płynącej dużo, to jak słonko zajdzie, wraz zaczynają żaby i komary muzykę. Mówią, przecie, że w Wiślicy ksiądz nigdy nie może mieć kazania, bo żaby rechotają tak głośno, iż głuszą wszystko... A żaby to głupstwo, rechocą tylko, ale komar na krew ludzką łakomy, jak jaki Szwed.

— Ano to trzeba będzie jakiegoś gościnnego dachu poszukać i ku osadom iść.

— I moja znajomość łęgów się kończy, musimy sobie kogo wziąć, co by nas poprowadził dalej, bo się tu w tych piachach, moczarach i borach zgubić można albo na gościniec wyjść.

— Nogi cię bolą?

— Ej, nie.

— Bo coś pomału idziesz.

— To tylko tak...

Ale rzeczywiście bolały Stacha nogi, i z rozkoszą marzył o tym, jak się położy i zaśnie, taki był skwar, czerwcowe słońce paliło jak w najgorętszym lecie. Szli teraz łąkami, to znów wśród urodzajnych, zbożem rozkołysanych pól, w dali widać już słomiane dachy rybackich chat, na których mchy lśniły w słońcu przecudnym zielonym tonem. Mijali teraz wąwóz, wijący się wśród dwóch piaszczystych wydm, porosłych karłowatymi, pogiętymi cudacznie wierzbami, gdy nagle, na skręcie natknęli się na patrol szwedzki; uciekać było za późno, patrol jechał wolno, konie i jeźdźcy pokryci byli kurzawą, zmęczeni spiekotą dnia.

Serce w Stachu szalało niespokojnie, ale mistrz przystanął,

pozdrowił uprzejmie i pytał po niemiecku, którą drogą najlepiej udać się do Elbląga.

— Coś ty za jeden?

— Włóczęga... lekarz, artysta... — Otto Gross do kieszeni sięgnął i wyciągnął z niej szpiegowską przepustkę Piegoniusa, dowódca okiem rzucił na dokument, skrzywił się i pogardliwym gestem papier staremu rzucił.

— W porządku... A do Elbląga, jutro albo pojutrze wracać będziemy, zabrawszy u chłopów jaja i ryby; jak nie masz nic pilnego, to poczekaj, a zabierzemy cię z sobą.

— Mam coś pilnego.

— Ano to ludzi po drodze pytaj. Umiesz po polsku?

— Umiem.

— To do chłopów po polsku mów, bo oni tu coś nie bardzo chętnie na nas patrzą, a Polakom pomagają, gdzie mogą.

Konie poczłapały dalej, a Otto Gross szedł wolno, starczym, leniwym krokiem, tak długo, jak długo Szwedzi nie zginęli na zakręcie. A potem rozśmiał się tak wesoło, jak niegdyś, dawno, gdy wyrostkiem był i figla komuś niewinnego, a udatnego spłatał.

— Dobrze jest; po tej próbie gościńcem sobie teraz pójdziemy, a straże szwedzkie puszczą nas na pewno i do Elbląga.

W osadzie rybackiej Otto Gross poszedł do sołtysa i powiedział mu wprost, że z ważnymi listami z Gdańska do Elbląga idzie, że potrzebny mu spoczynek i przewodnik, który by go na elbląski gościniec zawiódł.

— Zanocujcie u mnie, a przewodnikiem będzie wam mój syn, aleć w Elblągu pewnie szwedzka załoga.

— Wiem.

Porzucili więc uciążliwą drogę i szli gościńcem. Papiery Piegoniusa otwarły mu bramy Elbląga, i tegoż jeszcze dnia listy, przeznaczone do Holandii znalazły się w rękach kapitanów.

Pozostało jeszcze doręczyć pismo Czarnieckiemu, ale zarówno pan Otto, jak i Stach oswoili się już z włóczęgą i nie było im ciężko ruszyć w dalszą drogę.

Przez dni owej tułaczki, bardziej jeszcze przylgnął Stach do Ottona Grossa, byli teraz wciąż razem, idąc, gawędziło się tak dobrze, i Stach coraz goręcej miłował mistrza, zachwycając się z młodzieńczym zapałem tą nawskróś szlachetną naturą. Pan Gross również pokochał chłopca, jak się miłuje coś na prawdę swojego.

Zeschli i zmizernieli obaj, a słońce opaliło ich żarem swoich promieni i osmalił wiatr.

Otto Gross odzyskał jednak na tej włóczędze swój dawny młody śmiech, cieszył go każdy ranek rosisty, każda noc czerwcowa. Wyszli już z wiślanych mokradeł i sypiali teraz na sianie, które w kopicach na łąkach stało, ogarnęła ich słodka, upojna woń, a nad głową migotały gwiazdy tajemniczym światłem obietnic.

— Teraz rozumiem, dlaczego Witkowi było czasem tęskno za życiem włóczęgi. Cudne są takie noce letnie i poranki, gdy się świat cały budzi, taki świeży i radosny i rozbrzmiewają ptaszęce chóry... i tak się dobrze śpi na sianie.

— Tak, jest w tym piękno, Stachu, i człowiek jak gdyby się skąpał w ożywczym źródle, co siłę duszy daje, a ciału świeżość, aleć takie życie dobre jest na tydzień, na dwa, a nie na dłużej. Bo ludzie, zamiast wzrastać duchem, staliby się wkrótce podobni do zwierząt. Próżniactwo pociąga za sobą prawie wszystkie inne grzechy i występki, jest ono źródłem złego. I tworzy takich ludzi, jak stary Piegonius. Wypoczynek, dobrze pracą zasłużony, zdwaja w człowieku siły, wypoczynek ciągły zatraca nie tylko siły ducha, ale i ciała. Żaden włóczęga ani długo nie żyje, ani zadowolony z życia nie jest, bo mu w nim brakło głównej radości, błogosławieństwa, ostoi, brakło mu w nim pracy. Jeżeli spotkasz rzeźkiego starca, a zapytasz go o przebieg

życia, to ci z pewnością odpowie, że pracował przez cały jego ciąg, a gdy spotkasz brudem obrośniętego włóczęgę, któremu nawet mycie jest pracą zbyt ciężką, a wdasz się z nim w rozmowę, to się dowiesz jak go próżniactwo zjadło. Praca jest źródłem siły, chłopcze, zarówno dla narodu, jak i dla człowieka, tworzy ona wokół siebie dobrobyt, siłę, zdrowie, zsyła pełnię błogosławieństwa Bożego. Kto chce, by jego kraj bogaty był i silny i w poważaniu u obcych, niech pracuje, jego codzienny trud lepiej bronić będzie ojczyzny od mieczy i szabel.

Zaległa cisza, a wreszcie pytał znów szeptem Stach:

— A co jest tam w górze? Czym są te światła takie cudne, zawieszone, jak nieskończona ilość lamp w przestrzeni?

— Światy te są, jak i nasz, i jak my, patrząc na nie, widzimy blask, tak może i stamtąd patrzą w tej chwili ku nam i widzą także małą, zielonawo płonącą gwiazdę, jedną z miliona.

— Mistrzu, i nikt nie zbadał dotąd tajemnicy tych światów?

— I nikt zapewne z żyjących nie zbada. Możemy przypuszczać, ale dziś to, jutro inne twierdzenie może mieć za sobą pozory prawdy. Aleć i każde przypuszczenie, poparte nawet mozolnymi obliczeniami, zawsze będzie tylko przypuszczeniem, i zarówno prawdą, jak i błędem być może. Toć jeno tylko pewne, iż Ten, który je stworzył, który im drogę wykreślił w bezkresach, Bogiem jest, Panem zarówno tego koliska światów, jak i naszych dusz, i wielbić człowiek powinien Jego potęgę twórczą w każdym źdźble trawy, w każdym kwieciu, co się na łące rozwinie, w każdej kropli rosy, co życie niesie, i do Jego trudów dołączyć swój trud.

ROZDZIAŁ XVII.

Smutne dziedzictwo.

Odstąpili wreszcie Szwedzi od oblężenia Gdańska, rozpoczęły się rokowania pokojowe i znowu miasto otwarło bramy, znów zaczęły iść Wisłą olbrzymie tratwy drzewem ładowne, galary z pszenicą, miodem, skórami, zwolna wracał spokój i dobrobyt i niczym nie krępowany ruch portowy. Kupiectwu gdańskiemu dawał się jednak we znaki ogromny spadek wartości pieniądza polskiego; po wojnie polsko-szwedzkiej pieniądze polskie straciły sto procent wartości, olbrzymia fala drożyzny zalała kraj, powodując nędzę stanu średniego.

A jednak oblężenie, jak ciężki sen, legło w zapomnieniu, a praca wrzała, usiłując być ową tamą przeciw nędzy i była nią. W warsztacie Ottona Grossa po dawnemu słychać było zgrzyt pił, świst pilników, monotonny szept tokarki, po dawnemu dźwięczał śpiew nabożny przy pracy, a czasem, dla odmiany, wesoła piosenka żołnierska, pamiątka z wojny minionej. Kierunek warsztatu objął podmajstrzy Eryk Koch, bo pan Otto nie powrócił dotąd. Po oddaniu listów Czarnieckiemu, oburzony traktatem szwedzko-brandenburskim, którym Karol Gustaw wydawał całą Wielkopolskę w ręce kurfirsta za pomoc przeciw Polsce, zaciągnął się w szeregi, pragnąc jak najprędzej przyjść w pomoc oblężonemu Gdańskowi, ale się wojska polskie nie kwapiły z odsieczą. Natomiast, w jednej z walk podjazdowych, pan Otto otrzymał postrzał w płuca i od tego czasu do zdrowia jakoś powrócić nie mógł. Stach przewiózł go do Pucka, i tam się leczył, rana zagoiła się prędko, ale ból w piersiach i gorączka zostały. A z kraju szły wieści radosne: w lipcu wojska polskie zdobyły Warszawę, do Gdańska przybyły okręty z Holandii, wraz z sławnym inżynierem Petersem van Peruwal, — wreszcie i Szwedzi odstąpili. Ale przyszła zima i mrozy i niesposób było puszczać się w drogę. Panna Anna przez zaufanych ludzi pienią-

dze słała, sama się też ruszyć nie mogła, bo przechodziła zapalenie płuc.

— Wrócimy na wiosnę, Stachu, — uśmiechnął się Otto Gross. — Gdy jabłonie znów będą pełne kwiecia i woni, wraz z jaskółkami, na wiosnę...

Tak jakoś strasznie odległą wydawała się ta wiosna Stachowi, jak gdyby nigdy nadejść nie miała. Chłopak wyrósł, zmężniał, spojrzenie jego czarnych oczów nabrało głębi, całe dni spędzał przy chorym, a gdy było gorzej, to i noc mu nieraz zeszła na czuwaniu. Mieli teraz obaj tyle wolnego czasu, więc pan Otto usiłował go wykorzystać, uczył Stacha dalej, pragnął przelać w chłopca bogactwo własnej duszy, stać się ojcem jego myśli, by nie wszystko z nim poszło do grobu, by jego śmiałe plany i twórcze pomysły miały dziedzica.

A Stach chłonął jego słowa, jak letnią suszą spieczona ziemia deszcz chłonie, by młodą rozbłysnąć zielenią.

I tak im zeszła zima. Przyszła wiosna, ciepły wiatr południowy muskał fale wiślane, szło światem życie, pęczniały gałęzie drzew młodymi pędami. Na łąkach podmiejskich, zaledwo śnieg stajał, zabieliły się dzwonki śnieżyczek.

Pan Otto czuł się lepiej, wychodził wsparty o ramię Stacha na słońce. Od panny Anny wieści szły, że jak jeno ociepleje, przyjedzie. Z początku mieli zamiar wracać Wisłą, ale, że panu Grossowi dziwnie teraz szkodziła wszelka wilgoć, zdecydowano się na drogę lądową.

Wpadł Stach rozradowany do izby, zamieszkałej przez pana Grossa, z pękiem białego bzu:

— Wiosna, mistrzu, tak ciepło! Jeno patrzeć, jak ciocia Andzia kolasą zajedzie i pojedziemy do Gdańska.

— Spocząć, — uśmiechnął się pan Otto, patrząc w słoneczną dal i kończył sobie w myśli: spocząć obok Krysty.

I nie czuł lęku, ani niepokoju, przeciwnie, głęboką radość, że znużony jest i spocznie. I myślał o cichym cmentarzu, pełnym

kwiatów, z którego tak pięknie widać Gdańsk, i słychać cudowną muzykę jego dzwonów.

— A wiesz, Stachu... przed drogą dobrze by było do Stołu Pańskiego przystąpić jutro... dobrze?

— Dobrze, mistrzu.

Pan Otto głowę na poręczy fotela wsparł, patrzał jak Stach krzesał ogień, nałożył smolnych szczap, wiórów, i krzesał, a z hubki szły skry, a ot, już padły na wióry, płomyczek drobny przewinął się, przygasł i buchnął ogniem, a Stach koło komina się krzątał, gotując polewkę winną. W czasie choroby poznał dopiero pan Otto całe szczere przywiązanie chłopaka, wciąż był przy nim, wciąż na jego usługi, staranny, troskliwy, poważny się zrobił nad wiek, i gdy pan Otto czasem leżał z przymkniętymi powiekami, to widział, jak Stach potrafił godzinami siedzieć nieruchomo, byle go tylko nie zbudzić. I pan Gross postanowił w duszy zostawić Stachowi po sobie mienie ojców swoich, zapewnić mu przyszłość, dać nazwisko. Anna wychowa go do reszty, tak, by był z niego Gdańska dzielny obywatel i godny dziedzic znanego z uczciwości rodu Grossów. Na Litwę do Brzeszczyca posłał z listami, i spodziewał się też wysłańca lada dzień, i ciekaw był, jakie przyniesie nowiny.

Rozległo się pukanie, Stach pobiegł otworzyć i wszedł na Litwę wysłany posłaniec, a za nim wtarabanił się potężny szlachcic, dostatnio ubrany, o poczciwej, wesołej, słowiańskiej twarzy. Spojrzenie jego padło na Stacha i zaraz pomyślał sobie z żalem: Szkoda było drogi, toć to cygan jakiś, ale nie mój chłopak serdeczny.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Teraz i na wieki wieków. Amen.

— Przywiozłem wam, panie, miast odpowiedzi, pana Brzeszczyca samego, a raczej, to on mnie przywiózł.

— Witam waszmość pana i przepraszam, że na jego powitanie nie wstaję, aleć po ciężkiej chorobie jestem i tak mi czasem sił brak. Chodziłem dziś więcej i bardzo zmęczony jestem.

Proszę, niechże waszmość usiądzie, zdrożeni jesteście pewnie i głodni. Stachu, moje dziecko, przynieśno szynkę i chleb z komory i butelczynę węgrzyna.

— To chyba nie mój? — pytał szlachcic, patrząc za smukłą, giętką postacią chłopca.

— O nie, Witek jest jasny blondyn, a oczy ma niebieskie, jako bławaty, co we zbożu rosną.

— Matka takie ma! — z dumą oświadczył pan Antoni Brzeszczyc. — Zaraz sobie pomyślałem, ujrzawszy tego czarniawego chłopaka, że to chyba nie mój, boć u nas z ojca na syna czupryny jako len jasne. Odebrawszy pismo waszmość pana, rada w radę z moją Dorotką, a ona nic... jeno jedź jegomość i jedź, do wasąga szkapiny zaprzęgaj i z Bogiem; od Szweda kraj oczyszczony, może Bóg da, że dojedziesz szczęśliwie — no i jestem. Bo trzeba jegomości wiedzieć, że mieliśmy konsolację dość liczną, Bogu dziękować, ale synów najstarszych dwóch na wojnie zginęło, córuś umarła i my się na starość sami ostali, no i smutno było, ani człowiek nie wiedział, dla kogo żyje, ani dla kogo pracuje i nieraz Dorotka mówiła w żałości wielkiej: „Oj, Antosiu (to niby ja), samiśmy się ostali, i nawet nie będzie nam miał kto oczu zamknąć ręką kochającą, a dobytek Wojtalińscy... rozdrapią..." Siostrzeńcy niby... Aż tu naraz przychodzi od jegomości pismo, jakby słońce w dom. Dorotka, myślałem, że zwariuje z radości, jakby lat kobiecie ubyło, a ja sam klepek pewny nie byłem, tak mi jakoś było... jakby się nade mną cud spełnił, i dziękowałem Panu Bogu, przez cały nieszpór krzyżem leżąc, że się dziecko znalazło i nie zmarnowane. A on tu z jegomością jest?

— Nie, w Gdańsku, pojedziemy tam razem, chłopak jest taki cichy i dobry, jeno talent do nauki i do muzyki ma, trza go dalej uczyć.

— Dziecku jedynemu nie będę żałował, mój jegomość.

— To i dobrze. Niech waszmość pan izbę wpobok weźmie,

odpocznie dzień lub dwa, a pewno siostra moja z Gdańska przyjedzie, to razem ruszymy.

I zdarzyło się, że zaraz drugiego dnia przyjechała panna Anna. W milczeniu uściskała brata, z uśmiechem pogodnym na ustach, ale z rozpaczą w sercu, bo od pierwszego zaraz spojrzenia odczuła, jako tu już ludzka nie pomoże sztuka. Ucieszyła się szczerze przyjazdem pana Brzeszczyca, tym bardziej, że szlachcic, otwarty i szczery, do serca jej przypadł, ale jej było żal, iż Witka zabierze...

Następnego dnia rankiem ruszyli w drogę karetą, własnością burmistrza Ehlera, wyłożoną poduszkami. Panna Anna usiadła obok brata, na przednim zaś siedzeniu zajął miejsce Stach, za nimi wlókł się wasąg pana Brzeszczyca, zaprzężony w śniade bułanki.

— Anoć i będzie miał Witek nasz, dach własny nad głową i miłujące serca i schedę, zdaje się niezgorszą, sądząc z zaprzęgu i ubrania pana Brzeszczyca, — mówiła panna Anna, nie mogąc się jednak oprzeć westchnieniu, a pan Otto po chwili rzekł:

— Tak, Witek pójdzie na własny, rodzicielski chleb, ale Stachowi coś obmyślić trzeba. Gdyby mnie co zaszło, to pamiętaj o tym, proszę, pani siostro, iż chciałbym, by wziął nasze nazwisko rodowe i wychowany był godnie, jak na naszego dziedzica przystało.

— Dobrze, bracie, — spokojnie zapewniała panna Anna.

— A ty, Stachu, pamiętaj, byś godny był zawsze wielkiego zaufania, jakie położyłem w tobie, byś siostrę moją, jako matkę rodzoną czcił i szanował i jako ja starał się być ojcem sierót i chować ich na ludzi pożytecznych. Warsztatem zawiadywać będzie na razie podmajstrzy, a później, gdy do lat dojdziesz, ty. Pojedziesz za granicę, do Holandii, Szwecji i Francji, zobaczysz tamtejsze wyroby i warsztaty i spożytkujesz później twoją wiedzę dla dobra bliźnich i kraju, podnosząc wytwórczość przemysłu i jego artystyczną wartość. Przylgnąłeś mi do serca, chłopcze... boś mi był oddany jak najlepszy syn.

Stach do ręki mu się pochylił, do tej przejrzysto białej, szczupłej ręki, co leżała tak spokojnie na kocu, otulającym nogi. Jak grom uderzyły w niego słowa mistrza, zrozumiał, że to są ostatnie zarządzenia, i wszystko inne zniknęło wobec tej jednej strasznej prawdy, że oto tego najdroższego mu człowieka utracić musi. Łkanie zatamowało głos, ale w czarnych, wymownych oczach odbiło się tyle męki, taki olbrzymi ból, że pan Otto odniósł wrażenie, jak gdyby w głąb tej chłopięcej duszy zajrzał, i zwilgotniały mu powieki.

— Trudno, dziecko... każdy musi myśleć o tym, że kiedyś odejdzie, a człowiek chory, jako ja, tym bardziej. Czeladników moich, te biedne moje sieroty, zaopatrzysz odpowiednio, każdemu otwierając, gdy mistrzowską pracę cechowi doręczy, warsztat własny, ale nie w Gdańsku, jeno po ziemiach całej naszej Polski, by się krzewiło rzemiosło nasze i rósł dobrobyt kraju. Opisałem tę moją wolę ostatnią dokładnie i posłałem Fryderykowi Ehlerowi jeszcze zimą.

W drodze wypoczywano często, jechano wolno, to też podróż trwała kilka dni i gdy z daleka dojrzano wreszcie wspaniałe mury i strzeliste wieże Gdańska, świat wokół był jak jeden ogród, kwitnęły wiśnie, jabłonie, woń wiosny przestrzenią szła. Pan Otto milczący był tego dnia i skupiony spoczywał na poduszkach bez ruchu prawie i tylko jego szare oczy, powiększone chorobą, patrzyły teraz rozszerzonymi źrenicami w dal, chłonęły piękno budzącej się natury i widok ojczystego, tak bardzo ukochanego miasta.

Tak pachniały wiśnie, tak chyliły się bladoróżowym kwieciem obciążone jabłonie, a oto wjechali już w przedmiejskie ogrody, a wydelikacone powonienie chorego odróżniało już poprzez woń kwiatów, ożywczy, słony podmuch morza.

— Morze pachnie.

I blady uśmiech okrasił mu wargi.

— Ot, i zaraz będziemy w Gdańsku, Ottonie, — wesoło mówiła panna Anna, zadowolona, że nareszcie skończą się dla cho-

rego niewygody podróży. — Położymy cię zaraz do łóżka, i wypoczniesz.

— O tak... spocząć bym rad, bom już i znużony bardzo.

— O, zobaczycie, w Gdańsku odżyjecie, do sił wrócicie, mistrzu drogi. — Stach przytulił do ust jego rękę, jak to w ostatnich czasach często czynił, i nagle radosne oczy zmierzchły mu smutkiem, taka wątła, zwiędła była ta ręka, zupełnie taka w dotknięciu, jak uwiędły kwiat, chłodna i bezsilna.

O oto wyłoniły się już potężne mury Wysokiej bramy, jej most zwodzony i zalśniła błękitna woda fosy.

— Dzwony!

Płynęła od Gdańska muzyka dzwonów, potężne dźwięki przelewały się falą, niosąc w ten wiosenny dzień jakąś radość niepojętą.

— Gdańskie dzwony!

Pan Otto ręce splótł, modlił się może, bo usta mu drżały, a w rozszerzonych źrenicach był dziwny wyraz, jak gdyby życie całe skupiło się w nich i cała dusza...

Boć mu się zdawało nagle, że od głębokich wnęków Wysokiej bramy oderwała się biała postać niewieścia i idzie ku niemu w promieniach słońca, w woni kwietnej, w melodii dzwonów.

...Jego Krysta!

Idzie, jak uosobienie wiosny, wcielenie pełniejszego życia, jak szczęście, jak światło, jak pieśń.

Blisko jest, już coraz bliżej...

Kurcz szczęścia serce chwyta...

— Krysta!

Pan Otto podniósł się nagle, wyciągnął ramiona, jak gdyby coś przytulić chciał, i opadł martwy na poduszki powozu, ale na twarzy został mu uśmiech radosnego zdziwienia, a w oczach rozwartych szeroko zastygł błysk szczęścia.

A właśnie powóz wtaczał się wolno w chłodne wnętrze Wysokiej bramy, a Gdańskie dzwony grały.

— — — — — — — — — — —

Umarł... zrozumieli to oboje, Stach i panna Anna, nie rzekli jednak ni słowa, chłopak skurczył się i szlochał głucho, panna Anna ogarnęła go ramieniem, przytuliła jego czarną głowę i tak trwali.

ROZDZIAŁ XVIII.

Po dziesięciu latach.

Zmierzch zapadał, szła przestrzenią słodka woń kwitnących lip, na tarasie przed domem Grossów siwiutka, ale czerstwa jeszcze panna Anna odmawiała modlitwy.

Z warsztatu, po skończonej pracy wysypali się pracownicy, chylili się do tej szczupłej ręki, a ona każdego wypytywała dobrotliwie o dom, o rodzinę, znała ich żony, pamiętała imiona dzieci, byli to prawie wszyscy, jak gdyby wnukowie jej z Bożej łaski.

Ostatni wpadł na taras młody, smukły mężczyzna w czarnym stroju, jego czarne oczy objęły wesołym spojrzeniem grupę oddalających się robotników, potem usiadł na ławce i tuląc śniady policzek do ręki starej kobiety, mówił półgłosem:

— Zmęczony jestem, ciociu Andziu, aleśmy skończyli wreszcie to zamówienie dla Holandii, może potem pójdziesz zobaczyć... Jutro się opakuje i zabiorę na okręt, dziś kazałem ołtarz ustawić, abyś go mogła zobaczyć w całości, zdaje mi się, że jest to jedna z najlepszych moich prac.

— To chodźmy, Stachu.

— Zaczekajmy, aż się lepiej ściemni, teraz światło dnia kłóciłoby się ze światłem świec. O czymże rozmyślałaś, siedząc tak cichutko, ciociu Andziu?

— Ot, modliłam się, moje dziecko, za wszystkich moich, to tak, jakbym wtedy w odwiedziny do nich szła, widzę ojca, matkę, Ottona... Przypominają się dni jasne i chmurne... Ot, dziś przypomniał mi się wjazd Jana Kazimierza do Gdańska, gdy jechał, by podpisać ze Szwedami pokój w Oliwie. Jakże go serdecznie witało miasto.

— Pamiętasz, ciotko, wszędzie dywany, kwiaty, białe dziewczątka, bogate stroje i potężna muzyka gdańskich dzwonów. Ale wiesz, ciotko, mam dzisiaj coś dla ciebie, co cię ucieszy.

— No?

— Pisanie przyszło od Brzeszczyca, przeczytam ci później, cioteczko, bo teraz ciemno.

— Od Witka, — ożywiła się stara panna. — I cóż on, chłopak serdeczny? Gadajże, Stachu.

— Ożenił się, ciociu Andziu.

— Boże mu szczęść zawsze i we wszystkim, takie to lube było chłopię. A wiesz, Stachu, że i tobie byłby już czas.

— Mnie?

— Popatrz, wąs już duży, a Gdańsk niechętnie widzi nieżonatych obywateli; człowiek, co rodzinę ma, stateczny jest, i na jutro się ogląda. A i jabym tak chętnie oddała już klucze młodej pani i popatrzyła na młode szczęście.

— Chciałem już dawno pomówić z tobą, cioteczko, ale... tak jakoś.

— No, mów... mój Stach złego wyboru uczynić nie mógł.

— Otóż, ciotko droga... będąc zagranicą widziałem dziewczęta i kobiety piękne i bogate, aleć do żadnej nie przylgnęło moje serce, i tu w Gdańsku także jakoś trudno byłoby zdobyć mi się na wybór, co by miał być na całe życie... Są tu dziewczynki nad podziw cudne, jak Bartoldych Gina, albo Uphagen Berta, i gospodarne a miłe, jak Schröderów Róża... ale... — mło-

dzieniec się zająknął, milczał chwilę, a potem nagle w oczy ciotki spojrzał, i zapytał: — Prawda, że znam cię, ciotko?

— Prawda.

— Grossowie o grosz stać nie potrzebują.

— Majątek szczęścia nie daje, i nie dają go zaszczyty, — szepnęła stara panna.

— Co byś więc rzekła, ciotko, gdybym za żonę pojął... Magdę Rybitwów?

— Magdusię? — uśmiechnęła się stara panna, bo przed jej oczyma zarysowała się wspomnieniem dzieweczka do róży polnej podobna. Przychodziła do nich często z Katarzyną Mrąwową, a wtedy stary dom Grossów rozjaśniał się, jak gdyby doń wpadło słońce i wiosna. Nie myślała wprawdzie nigdy panna Anna, że z tej rybackiej świeżej dziewczyny może urość żona dla Stacha, i dlatego zaskoczyło ją wyznanie młodzieńca. Ona, gdy zwyczajem kobiet starych plany na przyszłość snuła, to widziała przesuwającą się po domu cichą i słodką Rózię Schrödera albo oglądając rodzinne klejnoty, stroiła nimi w myśli Ginę Bartoldego, i trochę jej się żal zrobiło tych marzeń... — Magdusię... — powtórzyła raz jeszcze, ale bez uśmiechu już.

— Pracowita jest, gospodarna, dobra, wesoła, a pobożna i cicha, — bronił swego miłowania Stach, chociaż z ust cioci Andzi nie padł jeszcze wyrok ani sprzeciw. — Prawda... posagu nie ma, ale radość nam wniesie w dom, ciotko, a to więcej warte niż pieniądze. Rybaka prostego córka, ale dla mnie od księżniczek droższa, bo miłowana. A ty ją nauczysz prędko tego, co świat od kobiet naszego stanu wymaga, jak mnie nauczyłaś.

— Tak to ją bardzo miłujesz?

— Miła mi jest, idzie od niej radość z życia i spokój.

— Gina Bartoldych bez porównania urodziwsza.

— Ale sercu niemiła. Ciociu Andziu... bądź dobrą, nie broń...

— Ja ci nie bronię, miłujesz, to bierz miłowanie twoje,

i ciesz się nim, bo raz tylko w życiu ma człowiek wiosnę. A Witek kogo pojął?

— Niejaką pannę Halszkę Ostroróg, kuzynkę jakąś, ubogą też. Ciotuś?

— A co?

— Ale będziesz dla Magdy dobra?

— Jak dla córki własnej.

Pochylił głowę do jej rąk, a potem na jej kolanach ją wsparł, a wokół pachniały lipy rozkwitłe i słał się mrok.

— A praca wasza... — przypomniała ciocia Anka.

— To wesprzyj się na mnie i chodź.

Oparła się na jego silnym, młodzieńczym ramieniu, a on prowadził ją do warsztatu, świece woskowe w świeczniku zapalił i patrzył z błyskiem radości i dumy na jej wzruszenie.

Piękna to była praca, ołtarz w gotyckim stylu, przecudnie rzeźbiony ażurem, a w pośrodku rzeźba w drzewie Stachowego dłóta, wyniosła, cudna postać Madonny, wznoszącej w górę błogosławiące Dzieciątko. Uśmiech był na twarzy Madonny i śmiało się Dzieciątko, pogoda i ukojenie szły od tej pracy. Była to rzeźba, co do serc ludzkich przemawia:

— Pokój on Boży daję wam!

Zalśniły łzy rozczulenia u rzęs starej panny, dumą wezbrało serce, boć w godnych rękach spoczął ster warsztatu, i jeżeli dotąd kochała Stacha za jego dobre serce, za szacunek i wdzięczność, jakie jej okazywał na każdym kroku, teraz miłowała go jeszcze za jego pracę, za jego twórczy talent.

— No, ciotko?

A ona przygarnęła jego głowę i kładąc na niej ze wzruszeniem drżące usta, rzekła krótko:

— W lepsze ręce nie mógł przejść dom Grossów.

* * *

I zamieszkało szczęście w starym domu Grossów.

KONIEC.

Wojewódzka Biblioteka Pedagogiczna w Gdańsku

SPIS ROZDZIAŁÓW:

Str.

ROZDZIAŁ I. Dziwny połów 5
ROZDZIAŁ II. Nad polskim morzem 12
ROZDZIAŁ III. Targ w Gdańsku 21
ROZDZIAŁ IV. „Nie nasz“ 36
ROZDZIAŁ V. „Mały komediant“ 40
ROZDZIAŁ VI. Burza 53
ROZDZIAŁ VII. U mistrza Grossa 65
ROZDZIAŁ VIII. W przededniu walki 73
ROZDZIAŁ IX. Za Gdańsk i króla 81
ROZDZIAŁ X. Kula, która nie zabiła 90
ROZDZIAŁ XI. Wolf Kummerstel 98
ROZDZIAŁ XII. Tajemnica Piegoniusa 105
ROZDZIAŁ XIII. Złota karta Gdańska 112
ROZDZIAŁ XIV. Pożar 118
ROZDZIAŁ XV. W nurtach Wisły 128
ROZDZIAŁ XVI. Włóczęga 137
ROZDZIAŁ XVII. Smutne dziedzictwo 146
ROZDZIAŁ XVIII. Po dziesięciu latach 153

80
4936/84

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku
209274
010000209274
NIE WYPOŻYCZA SIĘ
DO DOMU